

CRACOVIA LEOPOLIS

KWARTALNIK

ISSN 1234-8600



Patrz III str. okładki

4

(56) 2008

O Obronie Lwowa w 1918 r. ♦ Okupanci w naszych oczach ♦ O profesorze Mozerze ♦ Rozmowa z dr Kulińską o ludobójstwie ♦ Wiersze M. Wolskiej i J. Masióra ♦ T. Krzyżewski przypomniał literaturę o Lwowie ostatnich 80 lat ♦ O malarzu Dębickim ♦ Kolędy i życzenia

TEN ROK

Rok 2008 – zwłaszcza jego druga połowa – obfitował w ważne dla nas rocznice, które chciałoby się upamiętnić. To, czego nie udało się wspomnieć w trzech poprzednich numerach, staramy się uzupełnić w niniejszym.

Najważniejsza w tym roku była 65. rocznica ukraińskiego ludobójstwa na Wołyniu i w województwach wschodniomałopolskich – tarnopolskim, stanisławowskim i lwowskim. Rok 1943, to data oczywiście symboliczna, bo mordowanie ludności polskiej trwało wszak przez kilka lat okupacji sowieckiej, niemieckiej i znowu sowieckiej. Przyjęto więc jeden z najbardziej tragicznych dni – apogeum zbrodni – wymordowania Polaków w niedzielę 11 lipca 1943 r. w ponad 160 miejscowościach Wołynia.

W poprzednim numerze zamieściliśmy na naszych łamach głos Feliksa Budzisa. Warto jednak zanotować to, z czym spotkaliśmy się w życiu publicznym w okresie tej rocznicy, a były tego dwie strony. Strona pierwsza: niegodne niestety zachowanie się dwóch najwyższych (formalnie) dygnitarzy państwowych. Najważniejszy usiłował rzecz ominąć jak się tylko dało, ale całkiem się nie dało. Napisano ostatecznie w miarę sensowny list (choć omijający skrętnie słowo *ludobójstwo*), a odczytała go „w imieniu” osoba niższa rangą. Był więc *wilk syty i owca cała*, generalnie jednak nie udało się uniknąć niesmaku. Niestety dalej poszedł następny dygnitarz (druga wedle Konstytucji osoba w państwie). Ten odpowiedzialność za mordy ukraińskie przeniósł na sowietów. Trudno się oburzać na obciążanie komunistów, bo ilość i jakość ich zbrodni jest w istocie nieporównywalna, tyle że akurat w tym przypadku posądzanie ich jest bezpodstawne. Jak ocenić wybryk tego pana? Ignorancja? Ale skąd. To bezsensowna polityka, pełna naiwności i braku wyczucia (co najmniej w dwóch kierunkach). Wśród wysoko postawionych polityków godnie znalazł się tylko wiceprezes PSL, Jarosław Kalinowski, co notujemy z uznaniem.

Na wysokości zadania stanęła za to część prasy, i to niekoniecznie prawicowa. Szczególny aplauz trzeba wyrazić naszemu czołowemu dziś dziennikowi, „Rzeczypospolitej”. 14 VII wydano tam 12-stronicowy dodatek *Rzeź na Kresach*, z wieloma rzetelnymi artykułami i wieloma fotografiami. Nieco wcześniej (26–27 IV) był ważny artykuł Rafała Ziemiakiewicza *Myśmy wszystko zapomnieli*, a 2–3 VIII opublikowano wstrząsające opowiadanie Włodzimierza Odojewskiego *On był Polakiem, ona Ukrainką*. Odpowiadając na obudzone zainteresowanie Kresami zamieściła „Rzeczypospolita” 23–24 VIII artykuł Grzegorza Górnego *Zobaczycie Kresy*, a 13–14 IX esej znakomitego pisarza Włodzimierza Paźniewskiego *Tylko we Lwowie*. O tym ostatnim – szerzej w następnym numerze CL.

Satysfakcjonujące artykuły na powyższe tematy publikuje często krakowski „Dziennik Polski”, omawiamy je zwykle na bieżąco. Cała seria niezwykle ważnych tekstów ukazała się w „Naszym Dzienniku”, żeby wspomnieć *Ludobójcze rzezie na Kresach* Jerzego R. Nowaka (30–31 VIII) oraz *Niewygodną pamięć* Danuty Nespiaak (5–6 VII). W „Gazecie Polskiej” znajdujemy co tydzień doskonale artykuły ks. Tadeusza Isakowicza-Zaleskiego.

Natomiast pokrętne i zamazujące rzeczywistość artykuły zafundowała swoim czytelnikom – jak zwykle – „Gazeta Wyborcza”. Przykładem z 11–13 V rozmowa M. Wojciechowskiego z Jarosławem Hrycakiem o Banderze. Tytuł: *Romantyczny terrorysta*. Inny artykuł w tym samym okresie – autorstwa Mirosława Czecha! Dobór nazwisk pełen subtelności wyczucia. Wypadałoby zadać pytanie, czyja to jest gazeta?

* * *

dokończenie na III s. okładki

Za łaskawym przyzwoleniem p. dr. Karoliny Grodziskiej, autorki *Księgi cytatów o Lwowie – MIASTO JAK BRYLANT*, przedstawiamy ostatnią serię cytatów z literatury i tekstów o Lwowie z pierwszej ćwierci XX wieku. Księgę tę omówiliśmy w CL 1/08.

MIASTO JAK BRYLANT... (4)

Zołnierze! Pod naporem waszych bagnatów pierzchły barbarzyńskie hordy, które przed 22 dniami opanowały Lwów. Broniąc całości i niepodzielności Polski, spełniliście swój obowiązek oswobodzając spod jarzma brutalnej przemocy miasto Lwów, zaskarbiliście sobie wdzięczność mieszkańców, odważnym orężnym czynem zyskaliście sławę.

Michał Karaszewicz-Tokarzewski, 23 listopada 1918

Czym jest Lwów dla Polski, jak jest jej drogi, jest nieodzowny, tego chyba Polakom tłumaczyć nie trzeba. Na południowym wschodzie Lwów jest najpotężniejszą wolności ostoją, jest strażnicą polskiego ducha, jest ogniskiem polskiej myśli. Jeżeli Warszawa była i jest sercem Polski, to przez długie lata ucisku i niewoli Kraków i Lwów były jakoby płuc dwoje, którymi cały naród chłonał niezbędne dla życia wolności powietrze. Lwów był polski, jest polski i polskim będzie.

Fragment mowy Ignacego Paderewskiego w Sejmie, 20 lutego 1919,
„Gazeta Lwowska” nr 46 z 25 II 1919

Lwów był w ową wiosnę 1919 skoncentrowaną radością. Świeżo wyzwolony z wielomiesięcznego oblężenia ukraińskiego, opromieniony chwałą niezapomnianej obrony, gród Orłąt, jak mało które inne miasto polskie przeżywał oswobodzenie ojczyzny. Ślady walk rzuciły się wszędzie w oczy, gmach posejmowy (późniejszy Uniwersytet) był poryty pociskami, poczta główna zrujnowana, a w naszym mieszkaniu przedziurawiła szafę kula, która cudem ominęła moją matkę, wpadłszy przez okno ze wzgórza św. Jura. Ale radość była silniejsza od wspomnień złych miesięcy. Kiedy po nacieszeniu się rodziną poszedłem przywitać się ze Lwowem, ulice zdały mi się jeszcze weselsze niż dawniej, ogrody zieleńsze, twarze znajomych przyjaźniejsze.

Ignacy Wieniewski, *Lwowski fotoplastikon*, 1919

Musimy pokazać raz jeszcze, że Lwów jest częścią Polski. Ufajcie Bogu, a odpędzimy nieprzyjaciela. Polska ocali znów chrześcijaństwo i utwali pokój w Europie.

Arcybiskup Józef Bilczewski, 1920

Lwów, któreż polskie serce nie drgnie na to miano? Lwów, dumniejszej przeszłości, Lzyskiwał sławę, zaskarbił zasługi, ale niezapomniana jego w historii rola zaczyna się w noc najczarniejszej niewoli. Wtedy, gdy mroki naszej doli narodowej stawały się najbardziej gęste, ciężkie, Lwowowi przypadano być sercem Polski. Po roku 1863 Lwów był miastem najmniej ugodowym. Wówczas to wszędzie wszechwładnie panowała ugoda, wszędzie hasłem była tzw. rozważa, tak często równoznaczna z tchórzostwem. Wszędzie panował tzw. rozsądek, który, jakże często był tylko bojaźnią.

Lwów był zawsze najbardziej bez trwogi. Tu serca Polski były najsilniej. Kto pragnął odechnąć uczuciem wolności i pracą swoją nawiązać nic tradycji walki, musiał oprzeć pracę o Lwów, by móc oddychać powietrzem Polski, być bliżej swobody, tu, gdzie były serca rwące się do wolności. Na tarczy waszej herbowej wypisane są słowa: „zawsze wierny!” i dlatego iluż tu wiernych szukało ucieczki. Ilu wiernych złożyło tu głowy, by swym duchem otoczyć opieką to, co tu w sercach najgoręcej żyło – wiarę, że jeszcze nie zginęła. Niech mi będzie wolno jako temu, który tu we Lwowie o ruchu zbrojnym marzył i w czyn realizować go się starał, złożyć osobistą podziękę miastu, które mnie i moich uczniów chowało, gorącym uczuciem grało.

Józef Piłsudski, 22 listopada 1920

PRZEŻYWAMY 90. ROCZNICĘ OBRONY LWOWA 1918-2008



Reduta najmłodszych, fragment tryptyku z cyklu „Obrona Lwowa” pędzla Stanisława Bąkowskiego, 1938

Władysław Orobkiewicz

ZNACZENIE OBRONY LWOWA

Artykuł ten przepisujemy z „Jednościówki” wydanej we Lwowie w r. 1928 ku uczczeniu dziesięciolecia walk o Lwów 1918–1928.

Obrona Lwowa to nie epizod wojenny tylko, godny stanąć w jednym rzędzie z największymi czynami oręża, ale przede wszystkim akt państwowy, stwierdzający wobec świata integralną przynależność zieleni do Polski.

Nie zrodził się on z politycznych koncepcji dyplomatów, roztrzęsających tę kwestię pod kątem korzyści i szkód, jakie nam dane rozstrzygnięcie przynieść mogło, ale z przeświadczenia całego bez wyjątku społeczeństwa.

I ten właśnie spontaniczny, przez nikogo nieprzygotowany, a w najkrytyczniejszej chwili poczęty, stanowi dla nas i dla świata najważniejszy dokument prawdy i słuszności, na którym opiera się prawo Polski do tej ziemi.

Chwila rozpadu Austrii i tworzenia się na jej gruzach nowych państwowych tworów zastała zupełnie nieprzygotowanymi nasze polityczne czynniki tak urzędowe, reprezentowane wówczas przez Radę Regencyjną, jak i obywatelskie, zgrupowane w różnych stronnictwach politycznych i organizacjach społecznych. Polskie społeczeństwo Wschodniej Małopolski było w tej najważniejszej dla niego chwili pozostawione w zupełności własnym siłom, bez żadnego przygotowania i bez żadnych wskazówek nawet, nie mówiąc już zupełnie o jakiegokolwiek organizacji.

Zawiodły również czynniki wojskowe. Istniały wprawdzie podówczas aż trzy tajne polskie organizacje wojskowe, lecz – jak się okazało – były tak słabe organizacyjnie i technicznie, że ani nie mogły zaraz z początku przeciwstawić się ukraińskiemu zamachowi, ani też później w swoich ramach skoncentrować organizację, opór i walkę.

Mówiąc to bez myśli krytyki, chętnie przyznaję, w ostatnich godzinach przed zamachem uczyniły wszystko, co były w stanie

uczynić, i że ich członkowie oddali sprawie Obrony Lwowa niespożyte przysługi. Niemniej jednak musi się stwierdzić, że tak inicjatywa do oporu i walki, jak i stwarzanie warunków ich możliwości zrodziły się samorzutnie w społeczeństwie.

Choć więc ukraiński zamach, przygotowany i wspomagany przez austriackie władze, od razu zawładnął miastem, już wczesnym rankiem zagrzmiąły na ulicach miasta, a nawet w śródmieściu strzały, jęto rozbrając ukraińskie posterunki i zdobywając uzbrojone silnie ciężarowe automobile, a przed południem jeszcze doszło do pierwszego większego, zwycięskiego dla nas starcia w szkole Sienkiewicza. Wieczorem sporadyczne strzały zwały się już w jednolitą symfonię walki, z każdym dniem, a nawet godziną wzmagającej się na sile i przestrzeni, aż odgłos jej przedostał się do reszty Polski, a nawet poza nią, głosząc światu, że Lwów nie poddał się zamachowi, że walczy, a nawet zwycięża.

Ten moment zupełnego nieprzygotowania stał się później dla nas i dla sprawy polskiej największym atutem dyplomatycznym. Bo, aby porwać się z gołymi rękoma na świetnie uzbrojone, regularne oddziały wojska z dziesiątkami ochotników, w większości pierwszy raz mających do czynienia z bronią, atakować i wypierać z umocnionych stanowisk setki żołnierzy, aby pod gradem kul organizować się wojskowo i mimo szalonych strat, jakie ta rozpaczliwa walka za sobą pociągała, wzrastać z każdą godziną nieledwie na sile, aby o głodzie i chłodzie wytrwać na stanowiskach i po znużeniu, do zupełnego upadku sił sięgającym, przechodzić od zacieklej obrony do niemniej zacieklego ataku, na to trzeba było czegoś więcej nad narodowy szowinizm, czy też państwowy imperializm! Nie pierwszy ani też drugi pchał nieletnie dzieci do ucieczki z domu i składania młodego życia w ofierze. Nie one kazały kobietom chwycić za broń i walczyć, jak tylko najmłodszy żołnierz potrafi. Nie one wy dobyły z kryjówek mężczyźni, chowających

się przed poborem lub zbiegłych z wojska dezertów. Nie one to stawiały w jednym szeregu sędziwego radcę dworu obok dziecka, profesora Uniwersytetu obok ucznia szkół średnich, a robotnika obok księcia, by z ich zespołu tworzyć te pełne poświęcenia oddziały, których sprawność bojowa w podziw wprawiała starych żołnierzy. Tylko niewzruszone przeświadczenie o słuszności sprawy mogło z dusz ich wydobyć ten górny ton poświęcenia i ofiarności, których od większości z nich nawet najskrupulatniej pojęty obywatelski obowiązek nie mógłby żądać. Tak się walczy tylko na własnej ziemi i za nią.

Toteż tylko dzięki Obronie Lwowa uzyskaliśmy uznanie naszych wschodnich granic, mimo iż w gronie decydujących o tym polityków mieliśmy niechętnych, a nawet wprost wrogich nam dyplomatów. Gdy w roku 1923 zjawiała się we Lwowie przed Marszałkiem Francji Fochem delegacja Związku Obrońców Lwowa, składając mu hołd wojskowy i dziękując na jego ręce Francji za jej życzliwość w tej sprawie, on z żołnierską otwartością odezwał się w te mniej więcej słowa: „Nie Francji i nie Entencie to zawdzięczacie, lecz samym sobie. Gdyby nie wasz opór i walka, nic by wam one nie pomogły”.

Obrona Lwowa jest w łańcuchu dziejów naszej dzielnicy nowym ogniwem, spajającym ją z Macierzą. Jest ona bowiem powtórzeniem tych walk o jej przynależność do Polski, które zaczęte zaborem Włodzimierza Wielkiego w roku 981 powtarzały się kilkakrotnie w pierwszych stuleciach, aby przez przeciąg czterech przeszło następnym istnienia Państwa Polskiego uczynić tę przynależność już niesporną, nawet dla samej ludności ruskiej ją zamieszkującej, i to nawet w najcięższych dla upadającej Rzeczypospolitej czasach!

Toteż żadne separatystyczne konszachty i podkopy, żadne zamachy, mordy i sabotaże nie słumią tego zmysłu państwowego, jaki od setek lat i dziesiątek pokoleń każe dzisiejszemu społeczeństwu stać twardo i nieustępliwie pod hasłem przynależności do Polski. A tak samo i Polska, pod grozą utraty swego państwowego bezpieczeństwa, wprost nawet – swego istnienia, nie może się wyrzec tej ziemi, która jest warownią jej

granic na wschodzie, a gwarancją bezpieczeństwa na zachodzie.

Tu, na tej ziemi, w ciągu setek lat stawała Polska czoło grożącemu jej i Europie zalewowi mongolskiej dziczy. Tu, na tej ziemi, postawiła tamę cuchnącej rozkładem i zgnilizną bizantyńskiej pseudokulturze, która w ciągu tylu wieków niczego trwałego stworzyć nie potrafiła, lecz za to skaziła umysły i zatrąła dusze milionów ludu, aby go umęczonego i oglupionego pod carskim knutem rzucić na dalszą pastwę bolszewickim doktrynerom.

Tu, na tej ziemi, polska kultura utrwaliła zachodnioeuropejski ład społeczny, a rzucając pod jego rozwój demokratyczne podstawy, w wielkiej mierze przyczyniła się także do ludowego ruskiego odrodzenia, czy to szczepiąc hasła wolności człowieka, czy też przyczyniając się do obudzenia i rozwoju ruskiej literatury.

Nigdy bowiem nie prowadziła Polska wynaradawiającej polityki! I raczej można by jej postawić zarzut, że zbyt mało dbała o swe pierworodne dzieci, spokojnie znosząc ich wynarodowienie. I teraz również ani Ona, ani nikt z nas, obywatele tej dzielnicy, nie zamysła nikomu odbierać jego praw przyrodzonych do życia i rozwoju i narzucać mu obce. Ale też wszyscy bez wyjątku jej mieszkańcy muszą się pogodzić z myślą, że na polskiej ziemi żyją i muszą bez zastrzeżeń poddać się jej prawom i spełniać wynikające z nich obowiązki. Po autentycznym, sprzed tysiąca lat prawie dokumencie ruskiego kronikarza Nestora, który pod datą 981 roku w słowach: „Ide Władimir k'Lacham i zaniął grady ich Peremyszl, Czerwień i inny i ze sut do seho dnia pod Rusiu”, ponad wszelką wątpliwość stwierdził polskość tej ziemi, stwierdziła ją w ciągu następnych setek lat krew i praca polska, które w nią wsiąkły.

Obrona Lwowa z listopada 1918 roku to jakby nowe potwierdzenie tych dokumentów u progu odzyskanej niepodległości naszej Ojczyzny dokonane i ostrzeżenie dla tych wszystkich, którzy by ośmielili się ich ważność podawać w wątpliwość. A widomą pieczęcią tego dokumentu to cmentarz Obrońców Lwowa, kryjący w swym łonie dzieci całej Polski, tysiącami krzyży dający świadectwo, że jej bronić umiemy i potrafimy obronić!

W tej uroczystej chwili, gdy Polska święci pierwszy Jubileusz odzyskania Swej Niepodległości, myśl nasza zwraca się w holdzie do tych Towarzyszy i Towarzystek broni, którzy ofiarą życia w niemałej mierze tę Niepodległość utrwaliли.

Odpoczywajcie spokojnie, Koledzy i Koleżanki. Spełniliście swój obowiązek. My, pozostali przy życiu obrońcy Lwowa z listopada 1918 roku, przyrzekamy Wam, że i my go do ostatniego tchu, do ostatniej kropli krwi – spełnimy.

Tak to wtedy widziano i rozumiano. Niestety... A czy dziś potrafimy – my, wszyscy Polacy – dożyć grożące nam niebezpieczeństwa? Czy nie za bardzo ufamy nowym układom europejskim?

Nie pamiętacie?

Jak każdego roku 15 sierpnia, z okazji rocznicy „Cudu nad Wisłą”, ukazało się w gazetach sporo okolicznościowych artykułów i notatek. Niestety – także jak corocznie ani słowem nie wspomniano o „Polskich Termopilach” – bitwie pod Zadwórzem, w której zginęło 318 lwowskich chłopców – ochotników do obrony Ojczyzny przed bolszewikami.

Ignorancja czy *polityczka*? Tak czy owak, warto przypomnieć piszącym o tym dziennikarzom warszawskim (bo to oni zapewne nadają ten ton), że Nieznany Żołnierz, który spoczywa w Grobie na placu Saskim (dziś Piłsudskiego) w Warszawie, to młody bohater z poboju lwowskiego. Jego ciało zostało tu przywiezione i złożone uroczysto w 1925 roku. Trumnę z niezidentyfikowanymi szczątkami żołnierza polskiego wskazała Pani Jadwiga Zarugiewiczowa, której syn poległ w bitwie pod Zadwórzem 17 sierpnia 1920 roku. Jest więc ten Nieznany Żołnierz z warszawskiego Grobu jej symbolicznym Synem, bohaterem z „Polskich Termopii” pod Lwowem.

Walczcie więc panowie (i panie) dziennikarze z ignorancją i bezsensowną polityką, obrażającą nasze uczucia, a nie z prawdą.

Radosław Nawrocki

Naprzód

Pieśń żołnierzy zdążających na odsiecz Lwowa

Z okazji 90. rocznicy Obrony Lwowa 1918 r.

Idziemy na Lwów, uparcie i znów,
by wskrzesić na nowo Ojczyznę.
Idziemy bez słów, jak w pieśni ze snów,
by zetrzeć na proch dawną bliźnię.

Idziemu by wskrzesić, co jeszcze przetrwało,
by wzbudzić ten głos dziś od nowa,
odnaleźć co szczytne, co sił dodawało,
zakłętę w ulotne, cne słowa.

Rozpalcie ogniska, niech ogień zapłonie,
co serca i umysł ogrzeje,
żarzące się ognie ujmijcie w swe dłonie,
niech spełnią się dawne nadzieje.

Ponieście ten ogień na Rynek przed Lwy,
a trwoga niech was nie wzrusza,
bo biel i czerwień zakwitnie w te dni
na smukłej wieży ratusza.

15 lipca 2007 r.

RADOSŁAW NAWROCKI, ur. 1973 w Zgorzelcu, w rodzinie o korzeniach kresowych. Absolwent Uniwersytetu Wrocławskiego, pracuje jako prawnik we Wrocławiu. Miłośnik Kresów, pisanie wierszy traktuje jako pozazawodowe hobby.

Wiersz ze zbioru „Ballady kresowe” – Pieśń I. Tomik obejmuje 16 refleksyjnych wierszy – „Pieśni”, poświęconych miejscom i dramatycznym dziejom utraconych ziem wschodnich, w większości wschodniomałopolskich. W następnych numerach CL chcielibyśmy przedrukować także inne Pieśni, jeżeli Autor wyrazi zgodę.

Franciszek Nadachowski

LWÓW 1940–1945

Okupanci w naszych oczach

Opis ten składa się z fragmentów większej całości, przygotowanej jako część rodzinnej kroniki. Określając przedstawione tu spostrzeżenia i odczucia jako *nasze*, mam na myśli nie tylko nastroje własne, mojej rodziny i moich przyjaciół, ale także zasłyszane komentarze innych Lwowian – ich reakcje na zachowanie się Sowietów i Niemców w trakcie wojennych wydarzeń. We Lwowie znaleźliśmy się wraz z matką i siostrą w jesieni 1939, po pośpiesznym wyjeździe z Kobrynia na Polesiu, gdzie mieszkaliśmy w miasteczku koszarowym przez ostatnie 4 lata. Dzięki tej ucieczce udało nam się uniknąć wywiezienia przez władze sowieckie – losu, który spotkał wiele polskich rodzin wojskowych. Mój ojciec, dowódca 83. pułku piechoty, poległ na froncie, w boju odwrotowym 30. dywizji (w tym samym dniu skończyłem 16 lat, ale wtedy jeszcze nie wiedziałem o jego śmierci).

OSOBLIWY MITYNG W SOWIECKIEJ SZKOLE

Niezależnie od wstrząsu, jakim była katastrofa wojenna Rzeczypospolitej i degradacja warunków codziennego życia, musiałem zacząć chodzić we Lwowie do szkoły. Trafiłem do gimnazjum o klasycznym profilu nauczania, z łaciną i greką. Trudno dziś uwierzyć, że taki program był jeszcze jakiś czas kontynuowany mimo włączenia tej części Małopolski w skład ZSRR. Nastąpiła już zima, kiedy władze zabrały się wreszcie do wyplenienia tego rodzaju reliktyw „pańskiej Polski” i do totalnego przeobrażenia systemu kształcenia młodzieży. Jednym z elementów tych działań było zarządzanie typowych dla komunistycznego ustroju *mitingów*, czyli bardziej po słowiańsku mówiąc: spotkań

(ale nie spontanicznych, przeciwnie, jak najbardziej obowiązkowych). Kolejny krok ku sowietyzacji szkoły stanowiło uformowanie się młodzieżowego organu partii znanego pod skróconą nazwą *Komsomoł* (*Kommunistyczny sojuz młodoży*). Jego *prieditatelem* został kolega z wyższej klasy nazwiskiem Fall, znacząco rudy (a więc go zapamiętałem). Zbiegło się to mniej więcej w czasie z rozpętaną przez Stalina wojną z Finlandią, która nie uległa sowieckim żądaniom terytorialnym i innym. Wiadomo było, jaki los spotkał przedtem trzy inne, bezsilne państwa bałtyckie – za przyzwoleniem Niemiec, zgodnie z paktem Ribbentrop–Mołotow. Najpierw wymuszona zgoda na wkroczenie Armii Czerwonej, potem spontaniczna (a jakże!) prośba tych krajów o przyłączenie ich do ZSRR. Finowie od razu powiedzieli twardo nie i, co więcej, dysponowali umocnieniami obronnymi (tzw. linią Mannerheima) oraz sprawną w warunkach zimowych, choć małą, armią. Sowietom ta wojna wyraźnie nie szła, ponosili wielkie straty mimo przesłote trzykrotnej przewagi liczebnej. Propaganda oczywiście milczała na ten temat, ale cały Lwów wiedział, co się działo, cieszył się, i tu i ówdzie pozwalano sobie na kpiny. W jednej ze szkół już wcześniej miały miejsce ryzykowne żarty, na przykład wtedy, kiedy na mityngach intonowano hymn radziecki. Zaczynał się on od słów: *Wyklęty powstań ludu ziemi, powstańcie, których dręczy głód*. Przy pierwszych dźwiękach melodii (zresztą całkiem ładnej) źle wychowany szkolny „lud” nieporuszenie siedział, natomiast wstawał gremialnie, w nagłym ruchu całej sali, kiedy zabrzmiało słowo „głód”, związane z „powstańcie”. Inny kawał był zaiste nie do wybaczenia: w czasie pochodu młodzieży uniesiono nieoczekiwanie transparent z napisem: *Nie damy Lwowa Finom!* W mojej szkole też wyśmiewano się z Czerwonej Armii i tu miarka się przebrała – władze sowieckie postanowiły dać „wrogom ludu” prawdziwą naukę. Uczniów zwołano do wielkiej auli na mityng, ale nie dostrzegłem tam żadnego z moich nauczycieli. Był tylko polonista Wolańczyk, który w mojej klasie nie uczył. Podobno to właśnie on pozwalał sobie na kpiny z przebiegu wojny w Finlandii. Idąc korytarzem zdziwiłem się, widząc wielu wojskowych w mundurach. W sali, w tylnej części, stało pod ścianą kilkunastu podejrzanie

wyglądających mężczyzn; zwróciłem uwagę zwłaszcza na jednego z nich, o zbrojcekiej gębie, z wklęsłym nosem. Wypełniliśmy salę siadając na krzesłach, ja blisko tylnej ściany, niedaleko mnie Tarlerski (bardzo pewny siebie tłuścioch), a także grupa komsomolców z rudym Fallem na czele. Przemawiał po ukraińsku jakiś nieznanymi w szkole typ, wypowiadając oklepane polityczne banały (których nikt nie słuchał) i co jakiś czas robiąc przerwę w oczekiwaniu na oklaski, których prawie nie było. Tarlerski siedział ze znużonym pół-uśmiechem na ładnej buzi. Jednak niespodziewany zwrot w treści płynących zza stołu prezydialnego banałów obudził uwagę sali. Było coś o wyśmiewaniu się z *naszej lubimój Czerwonej Armii*, że robią to wrogowie ludu, padły nazwiska, których nie dosłyszałem. I na końcu: ... *my cich worohiw naroda zniszczymo!* To był sygnał – „zniszczyć wrogów ludu”, i wtedy zaczęło się coś w rodzaju masakry bez strzelaniny: ruszyły te draby spod ściany. Dostrzegłem kątem oka, jak ten z wklęsłym nosem wsuwał paluchy w obręczę kastetu. Widziałem też, jak Fall i jego koledzy wskazywali, kogo bić – w użyciu były nie tylko kastety, ale i połamane krzesła. Krzyk i zamieszanie, uczniowie z tyłu sali uciekali do przodu, w stronę prezydialnego stołu. W pewnym momencie zobaczyłem kolegę z klasy, osiłka Buchmana, z twarzą zalaną krwią (pewnie rozcięli mu kastetem skórę na głowie); bronił się, trzymając w rękę wyłamaną nogę od krzesła. I znowu komenda z przodu sali: *Towaryszy, uspokojcieś*. Od razu otwarto się drzwi na korytarz, okazało się, że w szkole są sanitariuszki w białych fartuchach, nosze itd. Wyniesiono, kogo trzeba, i mówca kontynuował agitkę do stłoczonej masy uczniów; teraz wszyscy uczestniczyli w mityngu na stojąco, ale jak gorliwie: niemal każda krótka przerwa w potoku słów zza stołu prezydialnego była, jak należy, wypełniana oklaskami. Spojrzałem na buzię Tarlerskiego: wyraz nabożnej powagi, a w oczach panika; za każdym razem klaskał ze wszystkich sił, bardzo długo. Ja może trochę krócej, ale też nie ośmieliłem się nie klaskać. Wróciłem do domu wstrząśnięty, opowiedziałem, co się wydarzyło, i moje przerażenie udzieliło się rodzinie. Do następnego dnia, bo trzeba było uspokoić się i dalej funkcjonować w sowieckiej

rzeczywistości. Buchman zjawił się w klasie po paru dniach, z opatrzoną głową; chyba pobili go przez pomyłkę, bo nigdy przedtem nie słyszałem, żeby coś wygadywał na Związek Radziecki. Profesor Wolańczyk miał połamane kości, umarł w szpitalu. Na lekcjach zapanował powszechnie sowiecki styl zbiorowych zachowań – potakiwanie i zakłamanie. Zacząłem myśleć z wielką niechęcią o części młodzieży tej szkoły – moich rówieśnikach.

W odwecie za podbój przez obcych ze wschodu, którzy ewidentnie żyli nędznie w porównaniu z nami, ale pokrywali to zakłamanym wychwalaniem wszystkiego co sowieckie, lwowanie wymyślali kąśliwe żarty. Jeden z nich wykorzystywał zwrotkę chełpliwej piosenki: *Kipiąca, potężna, przez nikogo niepokonana, kraina moja, Moskwa moja, ty najukochańsza*; powtarzają się w niej rosyjskie przymiotniki z żeńską końcówką *-ja*: *kipuczają, moguczają, moja, lubimaja* itd. Brzmienie tej końcówki przechwycili nasi dowcipnicy, układając kontrwierszyk: *Bez butów ja, bez spodni ja, dzień cały głodny chodzę ja*.

KTO ROZGROMIŁ NIEMCÓW POD GRUNWALDEM?

Atak Hitlera na sowieckiego sprzymierzeńca w dniu 22 czerwca 1941 był podobno zaskoczeniem dla Stalina; jak dziś się wskazuje, ten czwarty geniusz ludzkości (po Marksie, Engelsie i Leninie) nie dawał



Franciszek Nadachowski

wiary ostrzeżeniom własnego wywiadu. Nad ranem tego pamiętnego dnia usłyszałem przez radio po rosyjsku dramatyczny komunikat o zdradzieckiej agresji *faszystowskiej* (takie jest w ideologii komunistycznej oficjalne określenie prawicowych totalitaryzmów; nie wiem, dlaczego nie użyto słowa *hitlerowska*). Komunikat uzupełniono przedziwnym komentarzem quasi-historycznym, zapewne w intencji dodania ducha rosyjskim patriotom. Wyobrażam sobie, że zaskoczeni biegiem wypadków radiowi spece od propagandy próbowali nawiązać do jakiegoś historycznego zwycięstwa Rosjan nad Niemcami i – o zgrozo – nic nie znaleźli! Wyszperali więc – Grunwald! Jak to? A tak to, że w tej bitwie uczestniczyły trzy chorągwie ze Smoleńska — *tri smoleńskich polka*. W wersji sowieckiej to one rozbiły armię krzyżacką, bo komunikat ani słówkiem nie wspominał o kilkudziesięciu chorągwiach polskich, armii litewskiej (w której skład zresztą owe smoleńskie chorągwie wchodziły, bo ziemia smoleńska stanowiła wtedy część Wielkiego Księstwa Litewskiego), dowództwie Jagiełły i w ogóle koalicji polsko-litewskiej jako strony walczącej. Chyba ci radiowcy moskiewscy zgłupieli w nastroju popłochu pierwszego ranka wojny; mogli przecież, bardziej wiarygodnie, przypomnieć rzeczywiste zwycięstwo Aleksandra Newskiego nad niemieckim zakonem Kawalerów Mieczowych na jeziorze Pejpus w 1242 r.

Niepowstrzymana ofensywa niemiecka w głąb terytorium ZSRR i początkowe klęski Armii Czerwonej budziły w nas mieszane uczucia. Zrazu wydarzenia te dawały ujście nagromadzonej nienawiści do Sowietów i w jakiejś mierze budowały odruch, który właśnie Niemcy trafnie określają jako *Schadenfreude* – *a dobrze wam tak!* Jednak nowa okupacja nie była mniej groźna, a program wyniszczenia narodu polskiego głoszone niemal jawnie – bez zakłamanej przesłony propagandowej, który stanowił (i stanowi do dziś) nieodłączny składnik komunistycznej ideologii. Już po paru tygodniach narastało pytanie: a co, jeśli Hitler wygra całą wojnę? Broni się przecież tylko jeden nasz prawdziwy sojusznik – samotna Anglia. Zapamiętałem słowa, jakimi odpowiedział na pytanie kobiety stojącej na chodniku jeden z wjeżdżających do Lwowa niemieckich motocyklistów: *Ja, wir sind stark*. Bo byli silni

– bardzo; zajęli już prawie całą Europę i leżli w Ukrainę i Rosję jak nóż w masło. I jeszcze śpiewali: *Wir werden weiter marschieren, bis alles in Truemern faellt, derin heute gehoert uns Deutschland, und morgen die ganze Welt* – czyli, że będą dalej maszerować, aż wszystko legnie w gruzach, bo dziś należą do nich Niemcy, a jutro cały świat; no, no, niezła zapowiedź dla świata. Oczywiście świat na to się nie chciał się zgodzić, a lwowski ludek nucił na przekór: *Siekiera, motyka, bimber, alas* (to trunki, pierwszy z nich pędzony chałupniczo), *przegrał wojnę głupi malarz*. Taka śpiewka trochę dodawała optymizmu, chociaż malarz-Hitler głupi nie był i, jak dotąd, wojnę raczej wygrywał.

„GAZETKI” I „GADZINÓWKI”

Służba w lwowskiej konspiracji dawała regularny dostęp do prasy podziemnej – tzw. *gazetek*. „Biuletyn Informacyjny” bardzo poprawiał samopoczucie – dostarczał wiarygodnych relacji o niemieckich niepowodzeniach frontowych, które od 1943 stały się już znaczące. Stanowił niemal jedyne źródło tego rodzaju wiadomości, bo miejscowa gazeta (określana przez lud lwowski jako *gadziniówka*) nie podawała takich faktów.

Otrzymywaliśmy też sporadycznie inne gazetki; te, które do mnie trafiały, były redagowane, jak zgadywałem, w komórce związanej ze Stronnictwem Narodowym (jedną z czterech partii sprzymierzonych w organizowaniu Polski Podziemnej). Z tej prasy dowiedziałem się o utworzeniu odrębnej struktury partyzanckiej, o nazwie „Uderzenie”, powołanej dla obrony polskich wsi przed nasilającymi się atakami (i masakrami) ze strony licznych i dobrze uzbrojonych (przy współdziałaniu Niemców) organizacji ukraińskich UPA. To była wiadomość, która zmniejszała u nas poczucie przewagi wrogów, wyrażającej się m.in. rosnącą liczbą napadów ukraińskiej milicji na polskie mieszkania w samym mieście. Informacje o rajdach „Uderzenia” zaspokajały też w jakiejś mierze potrzebę odwetu.

Trudno uwierzyć, ale zdarzało się, że złośliwej uciechy dostarczały nam właśnie wydawnictwa władzy niemieckiej, na ogół bojkotowane przez Polaków. Raz jakiś inteligentny dowcipniś wykorzystał to, że

Dokończenie na s. 72

Henryk Kleinrok

SYN ZIEMI TARNOPOLSKIEJ

O Alojzym Mrozie i innych ofiarach sowieckich zbrodni

Alojzy Mróz urodził się w 1906 r. w Kozłowie koło Tarnopola, w wielodzietnej rodzinie chłopskiej, jako syn Michała i Rozalii Falińskiej. Jego pradziad, uczestnik Powstania Listopadowego, został skazany przez władze carskie na katorgę i wraz z rodziną zesłany na Syberię. Tam wskutek niezagojonych ran i wycieńczenia zmarł. Jego trzech synów zostało po kryjomu z Syberii przeprowadzonych na Podole. Tu pojedynczo rozmieszczono ich w zamożniejszych dworach, a dla pełnej konspiracji, zmylenia pogoni oraz poszukiwań prowadzonych przez służbę carską, nazwano ich Mrozami. Syberia zawsze kojarzona była z wielkim zimnem i srogimi mrozami. Jeden z tych trzech synów – Wojciech Wituszyński, a po ucieczce z Syberii – Mróz, ulokowany został na dworze hrabiny Badeni, która po uzyskaniu przez niego pełnoletności obdarowała go i osadziła na dużym gospodarstwie w Draganówce koło Tarnopola. Gospodarstwo to przez wszystkich potomków Wojciecha uznane zostało za ich ojcowiznę i kolebkę rodu Mrozów. Syn Wojciecha, jeden z siedmiorga rodzeństwa, Michał (1855–1948) przeniósł się do Kozłowa, gdzie w parafialnym kościele w 1879 r. poślubił Rozalię Falińską (1865–1944), z którą miał trzynaścioro dzieci, a jednym z nich był Alojzy.

Alojzy Mróz rozpoczął naukę w czasie I wojny światowej w Państwowej Szkole Powszecznej im. Mikołaja Kopernika w Kozłowie. Następnie przeniósł się do Tarnopola, gdzie naukę kontynuował w II Państwowym Gimnazjum im. Juliusza Słowackiego, w którym otrzymał świadectwo dojrzałości w 1925 roku. Po powołaniu do wojska skierowany został do Szkoły Podchorążych 54 Pułku Pie-

choty w Tarnopolu, którą ukończył w 1929 r. a następnie przeniesiony do rezerwy. W tym też roku rozpoczął studia na Akademii Górniczej w Krakowie (obecna AGH) i w 1934 roku uzyskał dyplom inżyniera. Po ukończeniu studiów pracę zawodową podjął w Kopalni Wosku Ziarnego w Borysławiu, gdzie szybko awansował i pod koniec lat trzydziestych był zastępcą dyrektora technicznego Kopalni. Ożenił się w 1938 roku z Marią Krcha, ich ślub odbył się w parafialnym kościele w Borysławiu.



W 1939 roku, po wkroczeniu wojsk sowieckich do Borysławia, ze względu na brak odpowiedniej kadry technicznej pozostawiono go na dotychczasowym stanowisku w Kopalni Wosku Ziarnego, aż do czerwca 1941 roku, kiedy to przedstawiciele władzy sowieckiej – tuż przed wycofaniem się po rozpoczętej przez Niemców operacji „Barbarossa” – postanowili zniszczyć kopalnię. Sowieckie władze Kopalni namawiały Alojzego Mro-

za, aby zgodził się na wyjazd wraz z nimi w głąb Rosji, ale kiedy odmówił im, o jego dalszym losie zdecydowało NKWD. W dniu 29 czerwca (niedziela) 1941 r., kiedy wraz z bratankiem Michałem Mrozem wracali z porannej mszy św., został na ulicy przez zbirów z NKWD zatrzymany i aresztowany. Po kilku dniach, już po wkroczeniu do Borysławia wojsk niemieckich, rodziny aresztowanych wezwane zostały do rozpoznawania zwłok, które leżały w piwnicach gmachu dotychczas zajmowanego przez miejscowe NKWD w Borysławiu. Niestety wśród nich był też mój wuj Alojzy Mróz.

* * *

Podjęte starania w celu upamiętnienia jego tragicznej śmierci zakończyły się

pełnym powodzeniem, bowiem w kościele garnizonowym pw. św. Agnieszki przy ul. J. Dietla w Krakowie, za zgodą księdza dziekana, płk. Henryka Polaka, kapelana Wojska Polskiego, zostało umieszczonych siedem mosiężnych tablic z napisami podającymi oprócz imienia i nazwiska, wieku, stopnia wojskowego i wyuczonego zawodu, również miejsce kaźni. Na dwóch wewnętrznych ścianach tego kościoła, obecnie zamontowanych jest już około 500 podobnych upamiętniających tablic ze wspólnym napisem: *Zamordowani w Katyniu, Starobielsku, Ostaszkowie*. Tablice te zostały umieszczone parę lat wcześniej, a wśród siedmiu nowych tu wspomnianych, oprócz tablicy Alojzego Mroza, jest też tablica mego stryja, przedwojennego policjanta z Tarnopola, starszego posterunkowego Władysława Kleinkrocka, lat 41, haniebnie zamordowanego przez oprawców z NKWD w Ostaszkowie. Mój stryj osierocił żonę i dwie córki, które po jego aresztowaniu zostały wywiezione na Syberię. Z zesłania wraz z Armią gen. Andersa, poprzez Iran, Irak i Afrykę wy dostały się z *nie ludzkiej ziemi* i ostatecznie osiedliły się we Francji. Następna tablica to tablica imienniczki mojej żony, magistra matematyki, absolwentki Politechniki Lwowskiej – pilotki Danuty Sikorzanki, po mężu de Lapierre – moje wspomnienie o niej znalazło się w CL 2/08.

Pozostałe tablice podają nazwiska ojców naszych znajomych: – porucznika Adama Haberkona, lat 35, lekarza, absolwenta Wydziału Lekarskiego Uniwersytetu Jagiellońskiego w Krakowie, który został zmobilizowany we wrześniu 1939 r., następnie dostał się do niewoli sowieckiej i więziony był w Starobielsku. Został zamordowany w Charkowie i pogrzebany we wspólnej mogile w miejscowości Piatichatki, obecnie dzielnica Charkowa. Osierocił żonę i trzyletniego syna.

Trzy ostatnie tablice podają nazwiska ofiar z tzw. *Ukraińskiej Listy Katyńskiej*, które zamordowane zostały w Kijowie i zagrzebane we wspólnych mogiłach w lasach Bykowni koło Kijowa. Lista ta podająca imienne wykazy osób zamordowanych została ujawniona dopiero na początku lat 90.

Bykownia to miejsce kaźni Polaków, które zostało uznane za *Czwarty Katyń*. Zginęło tam, wg Sierowa, Ludowego Komisarza

Spraw Wewnętrznych USRR, ogółem 1057 byłych oficerów armii polskiej, aresztowanych w 1939 r. na terenie województw: lwowskiego, łuckiego, stanisławowskiego i tarnopolskiego. Lista skazanych, na których wykonano wyroki, zawiera również wiele nazwisk osób należących do służb mundurowych, czyli policjantów, pracowników służb więziennych i leśników. W Kijowie zabito 791 funkcjonariuszy Policji Państwowej. Ponadto zgładzono tu wiele osób cywilnych – urzędników państwowych, sędziów, adwokatów, nauczycieli, lekarzy, inżynierów itp. Aresztowania trwały do kwietnia 1940 roku. Również z rodzinami aresztowanych postąpiono haniebnie, bowiem deportowano je w głąb Rosji podczas drugiej, największej zsyłki na Sybir. Bykownia koło Kijowa to jedno z następnych, obecnie już rozeznaczonych miejsc potwornej kaźni inteligencji i patriotów polskich z czasu II wojny światowej, a zarazem jedyny dotąd niewybudowany i oficjalnie niepoświęcony cmentarz, gdzie zakopano około 3500 ofiar *katyńskiego mordu*. Krzyż w lasach Bykowni jest jak dotąd jedynym miejscem spośród tych licznych rozeznaczonych miejsc, gdzie spoczywają ofiary zbrodni dokonanych przez NKWD, które zostało uświęcone obecnością i modlitwą Ojca Świętego – Jana Pawła II w dniu 24 czerwca 2001 roku, w czasie Pielgrzymki na Ukrainę.

Na tych trzech tablicach, upamiętniono: – porucznika Jana Frydlewicza, prawnika, lat 49, urodzonego w Starym Samborze, aresztowanego 11 kwietnia 1940 r. w Drohobyczu. Osierocił żonę i troje dzieci, którzy zostali wywiezieni na Sybir. Syn Adam dostał się do Armii gen. Andersa – zmarł z głodu i wyczerpania chorobami w 1942 roku w Teheranie. Jego żona – Maria Frydlewicz, zdołała zaopiekować się 30 polskimi dziećmi przebywającymi w rosyjskim sierocińcu, które wraz z nią i jej dwiema córkami w 1946 roku powróciły do Polski.

Następna tablica podaje nazwisko Ignacego Tarkowskiego, lat 43, przodownika Policji Państwowej w Drohobyczu, aresztowanego w 1940 r. Osierocił żonę i dwoje dzieci, którzy zostali wywiezieni na Sybir. Żona na Syberii zmarła z głodu. Syn prze dostał się do Armii gen. Andersa, zaś córka przeżyła w sowieckim sierocińcu i wraz z innymi polskimi sierotami wróciła do Polski w 1946 roku.

Ostatnia, siódma tablica upamiętnia starszego posterunkowego Policji Państwowej Klemensa Pietruszkę, lat 42, urodzonego w Sąsiadowicach, aresztowanego w Mościskach w 1940 r., zamordowanego również w więzieniu w Kijowie i pogrzebanego w zbiorowej mogile w lasach Bykowni. Osierocił żonę i dzieci, których zesłano na Syberię. Do Polski szczęśliwie wrócili w 1946 roku.

Odsłonięcie tych siedmiu tablic odbyło się 8 czerwca br. podczas uroczystej, koncelebrowanej mszy świętej w intencji zamordowanych, odprawionej przez proboszcza kościoła garnizonowego Wojska Polskiego w Krakowie, księdza płk. Henryka Polaka. Koncelebransami byli: sybirak spokrewniony z rodziną Mrozów, ks. dr Tadeusz Chromik, jezuita, dyrektor Apostolstwa Modlitwy w Polsce, harcmistrz oraz ks. Dominik Orczykowski, kapucyn, kapelan Harcerstwa Rzeczypospolitej i pilotów polskich. We mszy św. uczestniczyli przedstawiciele Krakowskiego Związku Rodzin Katyńskich i Koła Związku Sybiraków wraz z ich Pocztaami Sztandowymi, przedstawiciele Koła Tarnopolan przy krakowskim oddziale TMLiKPW oraz rodziny pomordowanych.

Proszę Was o westchnienie i modlitwę do Pana Boga naszego o łaskę i wieczne odpoczywanie dla tych, których w sposób niehumanitarny pozbawiono życia, oraz za tych, którzy pozostali po Nich w wielkim smutku i rozpaczli! Prośmy również Pana Naszego o to, aby już nikt i nigdy nie doznał takich poniżeń, upokorzeń i męczarni, które były Ich bolesnym udziałem. Prośmy również Pana naszego o łaskę i odpuszczenie grzechów dla oprawców i katów naszych najbliższych.

OPRACOWANO NA PODSTAWIE:

Edward Mróz, *Szkoła życia*, W-wa 1987

Zofia Ciesielska, Jan Kwiatkowski – *Kijów, Bykownia. Śladami zbrodni katyńskiej*, „Sybirak” nr. 41

Bogdan Tuszyński, *Księga sportowców polskich, ofiar II wojny światowej*, ARS W-wa 1999

Danuta Sikorzanka, *Wrażenia uczestniczki rajdu dookoła Polski*, „Raz Dwa Trzy” 1931

Udostępnione kopie protokołów aresztowania, przesłuchań i wyroku, Archiwum Generalnej Prokuratury Ukrainy m. Lwowa, 18.02.93

Indeks represjonowanych, tom VI – *Aresztowani w rejonie Lwowa i Drohobycza*, Ośrodek KARTA 1998

Eugeniusz Zychowicz

NOC JESZCZE

W 65. rocznicę

konferencji w Teheranie (XI–XII 1943 r.)

W Teheranie i w Jalcie diabeł rozdał karty
I zażądał pieczęci na grabieży dziele;
Anglosasi – zasłużeni Moskwy przyjaciele
Za legalny uznali rozbiór Polski czwarty.

Dżentelmeni z Londynu i znad Potomaku
Prezent hojny zrobili wschodniemu satrapie
Według tego, co on im zakreślił na mapie,
Na której nie zmienili najmniejszego znaku.

Lepiej dawać nie swoje – to ich polityka,
Nie o Szkocji więc tutaj, ni Alasce mowa;
Prezentami była wolność i Polski połowa,
Najbardziej ich wiernego z wiernych – sojusznika.

W haniebnym i nikczemnym, antypolskim spisku
Owi zdrajcy i tchórze, moralni bankruci,
Z zasad solidarności, z godności wyrzuci,
Swoją honor pogrzebali w śmieci wysypisku.

Chytry tyran moskiewski uśmiechnął się mile;
Dwóch naiwnych kompanów wyprowadził w pole
Choć myśleli, że oni grają główne role;
Lecz on był reżyserem – czekał na te chwile.

Z przyjacielem z Berlina miał już pakt bezcenny,
Który terytorialne przyniósł im korzyści,
A teraz, nowy sojusz – z Zachodem – się ziści,
I on zachowa wszystko: cały łup wojenny.

A z Polską, co mu tyle złych wspomnień przymnaża
Dogodna do rozprawy następuje pora;
I kłęski pod Warszawą wreszcie szejnie zmora!
Zemsta za rok dwudziesty – właśnie się nadarza.

W Katyniu zaspokoił krwawy instynkt wilczy;
Las zarośnie mogiły i nikt się nie dowie...
A jeśli ktoś odkopie, to on wtedy powie,
Że to zbrodnia niemiecka! – Zachód to przemilczy.

Przy okazji – Polaków, których poznał wcześniej
W nieudanej, pod Lwowem wojennej karierze,
Teraz srogo ukarze, doskonale wie, że
Zagarniając nam Kresy – ugodzi boleśnie.

Wolne w Polsce wybory? W śmiechu zęby szczerzy,
Lecz oficjalnie powie, że się na to zgadza –
(A on już zdecydował jaka będzie władza
I komu będzie służyć) – Zachód mu uwierzy.

Pół kraju już mu dali zachodni kamraci,
A z niesfornym narodem sam sobie poradzi:
Kadry w Moskwie szkolone do Polski sprowadzi
I kto karku nie ugnie – ten głową zapłaci.

Więc znów się zapełniły syberyjskie stare
Szlaki – tymi, co Polskę ukochali szczerze
I tam, w ziemi nieludzkiej, w męczeńskiej ofierze
Składali swoje życie za polskość i wiarę.

A kościoły, cmentarze, pałace i dwory
I wszelka polskość ducha w kresowej przestrzeni
Miały zniknąć na zawsze, by polskich korzeni
Nie można było więcej znaleźć od tej pory.

Lecz nie koniec dla Polski tych nieszczęść tak licznych,
Tyle zbrodni nieznanych od wielu stuleci,
Okrucieństwem przewyższył je „okupant trzeci”,
Ten spod znaku „tryzuba” i rzezi etnicznych.

Nasiąkła krwią ziemia Podola, Wołynia
I innych miejsc, wylaną Kaina żelazem –
Polskość męstwa wymaga i ofiar zarazem,
Jak te – w kaźni na Kresach i w lasach Katynia.

Zbrodnia zawsze z ciemności wynurza ramiona
I tchórzliwie się kłamstwem w otchłani zespała,
A ratunkiem jest prawda, bo prawda wyzwala,
Gdy wraz ze skruczą z więzów będzie wyzwolona.

Pół wieku milczał Zachód, wszak Katyń daleko,
I to nie ich dosięgła zbrodnia niesłychana,
Więc miała być w tym lesie również pogrzebana
Prawda, która nie rodzi im łez pod powieką.

Zachód milczał pół wieku, bo cóż że stolicę
Brytyjską obronili żołnierze niezłomni;
Po wojnie – bez Ojczyzny – tułacze bezdomni;
Zachód wziął krwi daninę, a Moskwa granice.

Milczał Zachód pół wieku, pokazał swą „klasę”,
Chociaż wiedział, że kłamstwem było milczenie,
Bo nie honor i prawdę oni mają w cenie –
Lecz egoizm, interes swój własny i kasę.

Po pół wieku horyzont rozjaśnił się nieco;
Ponad światem ze wschodu wiatr historii wieje,
Solidarność narodu zrodziła nadzieje,
Że na gruzach przemocy jeszcze dni zaświecą.

Kiedy zatem noc zbladła, nastąpiło świtanie,
Ale zamiast błękitu wzeszła szarość mglista;
Dla kresowych Polaków skra nadziei czysta
Błysnęła i zagasła – jak gwiazdy spadanie.

W stolicy, gdy ustała niewoli szaruga
I ruszyły wskazówki wolności zegara,
Całkiem inni panowie „kurzyli cygara”
I wcale nie myśleli o braciach zza Buga.

Upomnieć się o polski, wschodni dom nieskorzy,
Woleli mieć interes sąsiadów na względzie –
Ślepotą czy niepolskość tę nić zdrady przędzie?
Lub przestrach pochodzący z śladów po obroży...

Dał się nawet głos słyszeć (znanego dewianta),
Który radość wyrażał, że w granicach nowych
Nie ma Lwowa ni Wilna, ani ziem kresowych –
Choć to w dziejach ojczyństw najdotkliwsza strata.

A nad Niemnem i Dniestrem, Prypecią i Styrem
Jest lud, co w zjednoczenie nieustannie wierzy;
Nasze Kresy odcięte od polskiej Macierzy –
Wciąż w niewoli, więc żalu przykryte są kirem.

Więc choć Polskę zdradzili zachodni judasze,
Mimo że im do tego nie dała powodu,
To Kresy – są dziedzictwem polskiego Narodu!
I przyjdzie czas na pewno, że znowu będą nasze.

Polska – wojny ofiara i krymskiego szczytu,
Z Twą pomocą – wierzymy – zjednoczy się Panie,
Więc u stóp Twych składamy pokorne błaganie:
Daj nam rychło doczekać prawdziwego świtu.



Z dr Lucyną Kulińską

rozmawia Janusz M. Paluch



Na temat zbrodni nacjonalistów ukraińskich na Polakach dokonanych na Kresach napisano już sporo książek. Pani jest autorką kilku z nich. Niedawno ukazała się także książka ks. Zaleskiego. Czy można powiedzieć, że ten temat został wyczerpany?

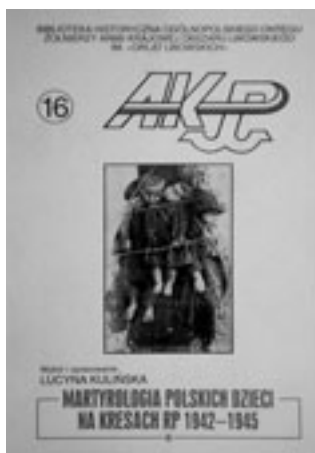
Nie, nie został wyczerpany. Nie wszyscy sobie uzmysławiają, że dotychczas żadna z polskich wyższych uczelni nie podjęła oficjalnie tego tematu. Mówimy tu o dziesiątkach instytutów historii działających obecnie w Polsce. Naukowcy, którzy starają się badać to zagadnienie, muszą liczyć się z dużymi problemami. Jest paradoksem, że najcenniejsze opracowania, które napisano o ludobójstwie na Kresach, powstały poza obiegiem naukowym. Zarówno praca państwa Siemaszków o Wołyniu, jak i obszernie trzytomowe dzieła poświęcone województwom Małopolski Wschodniej, przygotowane przez Wrocławskie Stowarzyszenie

Badania Zbrodni Nacjonalistów Ukraińskich, nie zostały napisane przez zawodowych historyków. I to jest oczywiście pierwszy zarzut, jaki się im stawia. Mimo że jestem historykiem, publikując dokumenty i wydając książki na ten temat z reguły też napotykam na trudności. Kiedy badania prowadzi się poza uczelniami, to powinny je finansować inne instytucje. Ale w Polsce tego rodzaju tematyką nie są zainteresowane prawie żadne instytucje, nie ma więc na nie pieniędzy. Za to prace i artykuły promujące OUN (Organizację Ukraińskich Nacjonalistów) i UPA (Ukraińską Powstańczą Armię) mogą liczyć w Polsce na wsparcie z wielu środowisk i to nie tylko ukraińskich. Dano im po prostu zielone światło.

Dlaczego tak się dzieje?

Niestety kolejne rządzące Polską po roku 1989 elity polityczne przekonały naszych rodaków, że rehabilitacja ukraińskich nacjonalistów z OUN i UPA – morderców – jest zgodna z naszą – polską racją stanu. Podobnie przekonuje się Polaków, że jak najszybsze włączenie Ukrainy do struktur Unii Europejskiej jest naszym głównym celem, nawet za cenę przemilczania zbrodni ludobójstwa. Z jednej strony znika solidarność wszystkich Polaków z poszkodowanymi rodakami, z drugiej – proste polityczne doktrynerstwo bierze górę. Kresowianie spychani są w getto własnych organizacji, a ich upominanie się o prawdę kojarzone jest z czymś szkodliwym i niepożądanym. To wywołuje od lat frustrację wśród przedstawicieli środowisk kresowych.

A ich krzywdy są potworne. Strach części świadków, szczególnie dzieci, trwa do dziś. Ofiarami są nie tylko ci, którzy zostali zamordowani bestialsko w kresowych wsiach. Ofiarami są również ci, którzy ocalili i z tym całym bagażem poszli w życie. Nie mówi się w Polsce o niezliczonej liczbie chorób psychicznych, na które zapadali ludzie ocalili z pogromów. To naznaczyło Polskę, przecież 1/3 obywateli polskich na Kresach doznała okrucieństw ze strony Niemców, Rosjan i Ukraińców, a także Litwinów... To była hekatomba! Młodzi chłopcy z samoobroną często chętnie później wstępowali do „ludowego wojska”. Szli, bo marzyli o tym, żeby wreszcie mieć w ręce karabin i móc się bronić. Oni częstokroć patrzyli, jak Ukraińcy mor-



dowali ich rodziny i ukryci nie mogli absolutnie nic zrobić! Wstępowali do „ludowego wojska”, wtedy innego przecież nie było, by odzyskać wiarę i nie czuć się bezradnymi jak wówczas. Teraz po latach mają problemy, bo się im wytyka komunistyczną przeszłość. A wiele osób milczy dotąd, bo boi się, niebez-

zasadnie, wielkich wpływów nacjonalistów ukraińskich w Polsce. Tym pokrzywdzonym ludziom reszta Polaków powinna powiedzieć – jesteśmy z wami, nie lękajcie się. Do tego była potrzebna uchwała uznająca ich straszliwą krzywdę przed Polskim Parlamentem! Nie doczekali się!

Wielu Polaków jest dumnych ze swego kresowego pochodzenia!

Tak, ale akurat o kwestiach ludobójstwa wolą milczeć, bo inaczej bezrozumnie przypina im się etykietę rewizjonistów, którzy myślą o własnym interesach, np. chcą upominać się o utracone mienie, a na dodatek psują jakże wspaniałe stosunki polsko-ukraińskie. Nikt nie zauważa, lub nie chce zauważać, że oni walczą o pamięć i godność skrzywdzonych Polaków.

Nie mając bliskich powiązań rodzinnych z Kresami, jako historyk-badacz podjęłam ten temat trochę z przypadku, ale może i zrządzenia losu. Wgłębiając się w to zagadnienie odnalazłam tyle niegodziwości, fałszu, znieczulicy i braku zrozumienia dla pokrzywdzonych rodaków, że postanowiłam poprzez swe publikacje dołączyć do grona osób walczących, by ta sprawa ujrzała wreszcie światło dzienne i trafiła na karty podręczników. Walczę i pomagam pokrzywdzonym kresowianom, ponieważ widzę, że politycy i spora część historyków w sposób niedopuszczalny zaniedbuje lub zafalszowuje ten problem. Przypomnę w tym miejscu znane powiedzenie Piłsudskiego: *Polacy, piszcie sami swoją historię, bo inaczej zrobią to inni i źle. Z zafalszowywaniem*

najnowszej historii mamy dzisiaj w Europie do czynienia na co dzień. Sprawa ta nie dotyczy tylko Ukraińców, ale Niemców, a nawet Francuzów, chcących zatrzeć ślady kolaboracji z faszystami. Kiedy dokonuje się takich zabiegów, miesza się katów z ofiarami, a nawet ofiary przedstawia się jako sprawców. Ignorancję Polaków wykorzystują bez żenady pogrobowcy ukraińskich szowinistów budując etos *nieskazitelnej* OUN-UPA, której Ukraina zawdzięcza wolność. To już nie pojedyncze przypadki, to powrót części ukraińskiego społeczeństwa na szlaki banderowskie. Ostatnio dowiedziałam się – o zgrozo!, że upowscy siepacze powołali jako swoją patronkę Matkę Boską. Czyż to nie skandal i bezwstyd i naigrzywanie się z niewinnych ginących z ich ręki z modlitwą na ustach!!!

Tymczasem usprawiedliwianie zbrodni dokonywanych na Polakach stało się specjalnością niektórych ukazujących się w Polsce gazet. Mam tu na myśli przede wszystkim „Gazetę Wyborczą”, która poprzez swą opiniotwórczą rolę – przecież przez lata królowała w tym na polskim rynku prasowym – doprowadziła do tego, że rozmydlono winę, że zaczęto ubolewać nad losem upowskich sprawców, nie ofiar. Mało tego, redaktorzy tej gazety, bez pardonu i *ad personam*, rozprawiają się ze wszystkimi osobami, które usiłują walczyć z takim fałszowaniem historii. Ciekawe jest pytanie, dlaczego gazeta przynajmniej hasłowo walcząca o „najwyższe standardy demokracji” w tym wypadku jawnie popiera, a nawet gloryfikuje odradzający się na Ukrainie wrogi demokracji i Polakom szowinizm, który w przeszłości doprowadził do rzezi i czystki etnicznej na niesłyszczaną skalę. Czy to podwójne standardy czy brak skrupułów moralnych? A może i to, i to?

Nie lepsze informacje płyną z regularnie dotąd organizowanych polsko-ukraińskich seminariów. Wiosną tego roku byłam na kolejnej, trzynastej już konferencji zatytułowanej „Trudne pytania”, która odbywa się we Lwowie. Można było odnieść wrażenie, że z roku na rok, wraz z nabywaniem przez obie strony coraz większej wiedzy o tych wydarzeniach, stanowiska Polaków i Ukraińców zaczynały się zbiegać. A tu nagle mur! Przedstawiciele ukraińscy od nowa przyjęli taktykę nieprzyznawania się do popełnionych czynów. Zamiast jednoznacz-

nego nazwania inspiratorów i sprawców, czyli członków OUN i UPA, zaczęli mówić o jakichś bliżej niezidentyfikowanych bandytach, którzy napadali na ludność polską. Wówczas głos zabrał jeden ze starszych polskich organizatorów konferencji, naoczny uczestnik i świadek tamtych dramatycznych wydarzeń. Zwrócił się do delegacji ukraińskiej tymi mniej więcej słowami: *Chcecie, aby Rosjanie głód na Ukrainie uznali za zbrodnię ludobójstwa popełnioną na Ukraińcach, zbrodnię przeciwko ludzkości. I co wam Rosjanie powiedzą? Powiedzą wam dokładnie to, co wy mówicie teraz nam, że są niewinni. Że może trzeba było się do kolchozów zapisać, a może to, że Ukraińcy się sami zagłodzili? I będziecie się wtedy czuli tak samo jak my teraz, mając świadomość, że dziesiątki tysięcy Polaków zostało okrutnie pomordowanych i nagle okazuje się, że nie ma sprawców, że nikt nie jest winny, jakby ci ludzie sami sięgnęli po noże i siekiery, i sami siebie wymordowali.* Przypomniał też ukraińskiej delegacji, że nie można dochodzić swoich racji, jeśli nie uznaje się racji innych; i fakt, że dopóki strona ukraińska nie weźmie odpowiedzialności za czyny nacjonalistów ukraińskich, to rozmowy obustronne nadal będą bardzo trudne.

A wydawało się, że dojście do władzy prezydenta Juszczenki powinno doprowadzić do postępu, a nawet szybkiego rozwiązania problemów historycznych. Choć muszę się w tym miejscu zastrzec, że ja w taki zwrot nigdy nie wierzyłem...

I słusznie! Przecież to w momencie dojścia do władzy pana Juszczenki pojawiła się w wewnętrznej polityce Ukrainy bardzo niebezpieczna tendencja. Nowy prezydent niemal od razu poparł skrajnych nacjonalistów i wprowadził pogrobowców OUN-UPA na polityczne salony. To miało i ma kolosalne następstwa – postępuje *banderyzacja* zachodniej części Ukrainy, a częściowo i Kijowa, w *heroizację* ugrupowań OUN i UPA wciągana jest młodzież. Dziś prezydent wzywa nie tylko do naśladowania banderowców, ale nawołuje, by *Ukraińcy nie zapominali o mieczu*. Brzmi to złowroźnie. Wciąga w uprawianie kultu OUN-UPA wschodnią Ukrainę. Tymczasem wiemy, że Ukraina wschodnia praktycznie nie miała ze zbrodniami nic wspólnego,

a odpowiedzialność za ich dokonanie spada jedynie na część byłych obywateli polskich narodowości ukraińskiej, zamieszkałych na terytorium II Rzeczypospolitej. Jeśli przyjąć, że państwo polskie istniało, choć jego władze były na uchodźstwie, to legalny status obywatelstwa uległ zmianie dopiero w wyniku porozumień mocarstw w Jałcie, gdzie kresowian sprzedano ostatecznie Stalinowi. Tak więc mordercami byli polscy obywatele narodowości ukraińskiej, kierowani przez swych szowinistycznych prowodyrów. Niewątpliwie część Ukraińców była do dokonywania mordów przymuszana siłą, a reszta kierowała się uludą, że wystarczy pozbyć się Polaków, a powstanie wolna Ukraina. Taki sposób myślenia prezentowała jedynie drobna grupa Ukraińców, mówimy o 1–3%! Teraz z ich poduszczona odpowiedzialność za te straszne czyny ma wziąć na siebie cała społeczność Ukrainy. Wydaje się to rzeczą niedorzeczną, ale skuteczność postbanderowców w realizacji ich planu przeniesienia odpowiedzialności z nacjonalistów na wszystkich Ukraińców jest godna podziwu i przynosi efekty!

Polska strona powinna robić wszystko, ażeby ta wielka Ukraina odcięta się od sprawców tych mordów, by nie chciała mieć z nimi nic wspólnego. Wszyscy Ukraińcy nie mogą wszak brać odpowiedzialności za tę małą grupę. Jako Polacy nie chcemy, żeby Ukraina nas przeproszała, bo nie ma za co. Problem istnieje, ale pomiędzy pokrzywdzonymi, za którymi ująć się powinien ich własny kraj i jego politycy, a mordercami – skrajnymi nacjonalistami z OUN-UPA, osłanianymi teraz przez część ukraińskich elit. Zbrodnia musi być nazwana i jeśli to możliwe – ukarana, a już na pewno potępiona jako czyn zły i niedopuszczalny. Zadośćuczynienie to sprawa honoru i odpowiedzialności władz Ukrainy, ale Ukrainy, która czci morderców i stawia im pomniki, nie takiej, która od tego mordu i jego sprawców się odcina.

Nie można przechodzić do porządku dziennego nad gloryfikowaniem ludzi i ideologii, która doprowadziła do tak bestialskich czynów, i mówić, że dzięki temu istnieje wolna Ukraina. Jeżeli Polacy to tolerują, to znaczy przyznają, że wolna Ukraina mogła zaistnieć, ponieważ setki tysięcy Polaków zostały przeokrutnie wymordowane, a następne setki tysięcy stamtąd wypędzone.

Robimy potworny błąd, przyjmując taką postawę. Ktoś mógłby powiedzieć, że Ukraińcy nie mają się do czego odwoływać, pokazując na drogi, jakimi dochodzili do swej niezależności? Ależ mają! Wystarczy sięgnąć do przedwojnia i popatrzeć, na ilu polach okazali się sprawni. Dzięki Austro-Węgrom, potem Polsce, nauczyli się wspaniale funkcjonować, organizować kooperatywy, umiejają się kształcić, są mobilni, mają ogromne zdolności! Nie trzeba sięgać do przestępstw i do przestępców, żeby Ukraińcom mówić, że dzięki nim mają swoje państwo. Według mnie to wręcz obraża ten naród!

A co dzieje się dziś na Ukrainie?

Wydawać by się mogło, że po 65 latach ten skrajny integralny nacjonalizm razem z hitleryzmem, wszystkimi skrajnymi quasifaszystowskimi ruchami, powinien przejść do lamusa historii, jednak tak się nie dzieje. To, co obserwujemy na Ukrainie, powinno budzić w nas duży niepokój. Ten rodzaj ideologii, jaką kierował się przed i w czasie wojny szowinizm ukraiński, a – było to, proszę mi wierzyć, coś potwornego, co nigdy, przenigdy, nie powinno wrócić. Okazuje się jednak, że Ukraina, pod przywództwem pana Juszczenki i pani Tymoszenko, zaczyna osobom odpowiedzialnym za dokonane ludobójstwo budować pomniki, jak bohaterom narodowym, zaczyna organizować poświęcone ideologii Dmytro Doncowa sesje naukowe. Dziś z racji sporów politycznych pani Tymoszenko wyhamowała nieco swoje probanderowskie sympatie, ale wystarczy prześledzić jej wcześniejsze wypowiedzi i wszystko staje się jasne... Tak czy inaczej – członkom OUN-UPA przyznawane jest kombatanctwo, wypłaca się renty ludziom, którzy mają ręce umoczone w polskiej krwi. Warto też pamiętać, że poza Polakami OUN i UPA programowo mordowała też innych „cużyńców”: Żydów, Ormian, Rosjan, Cyganów. Ukraina, wg skrajnych nacjonalistów, miała być czysta jak szklanka wody. Jeśli ich ideologia, zaklęta w pismach głównego ideologa Doncowa i rozkazach wydawanych przez Banderę, czyni z nich dzisiaj bohaterów narodowych Ukrainy, to współczesna Ukraina musi razem z nimi wziąć odpowiedzialność za czyny tych ludzi. Tam zaczyna się od nowa organizować skrajnie faszystowski ruch, łącznie z marszami, ogni-

skami, manifestacjami itp., które odbywają się już nie tylko we Lwowie, ale i Kijowie. W takiej sytuacji strona polska obojętna zostać nie może. Bo to nie jest dla nas obojętne, w jakim duchu wychowuje się na Ukrainie następne pokolenia. Okazuje się, że na nowo zaczyna się je wychowywać według ideologii skrajnego szowinizmu. I nic nie może tej sprawy usprawiedliwić. Nawet polityka przeciwstawiania się Rosji. To jest strasznie niebezpieczne dla następnych pokoleń, dla moich dzieci, dla moich wnuków. Ukraina, która brunatniej, w której dokonuje się gloryfikacji nacjonalistów, wydaje się ich dzieła, organizuje konferencje, na których powtarza się straszne rzeczy o wielkiej Ukrainie, która, nie zapominajmy, obejmuje także 19 powiatów dzisiejszej Polski, stanowi potencjalne zagrożenie. Wysłuchałam akurat dzisiaj przesłanej mi wypowiedzi w Radiu Maryja Jarosława Kaczyńskiego. Jeden z rozmówców zapytał go, jak Polska powinna zareagować na to, co dzieje się na dzisiejszej Ukrainie. I jaka była odpowiedź? Że to nie pan Juszczenko jest winny, tylko pani Tymoszenko. To nie tylko nieprawda, to oszukiwanie własnych obywateli, którzy probanderowskie manifesty Juszczenki mogą osobiście przeczytać w ukraińskiej prasie czy w Internecie. Z jednej strony przyznaje, że mamy do czynienia z ukraińską zbrodnią ludobójstwa na narodzie polskim, z drugiej stwierdza, że mimo wszystko Ukraina jest naszym najważniejszym partnerem. „Oczywiście nie możemy zapominać o dramacie Polaków, ale musimy pamiętać, że to jest część ich historii, i trzeba być w tym miejscu bardzo delikatnym i ostrożnym”. Wydaje się, że ta retoryka zmienia się dopiero wtedy, kiedy politykom znowu będą potrzebne głosy kresowian! Za to piękna październikowa niedziela 2008 r. przyniosła kolejne finansowe zobowiązania naszych władz, prezydenta, a nawet premiera wobec mniejszości ukraińskiej w Polsce – i obietnice wspierania prawosławia na Lubelszczyźnie i na Chełmszczyźnie. A to z powodu wyciągniętej przez ukraińskie środowiska i przeciwstawianej ludobójstwu akcji rozebrania cerkwi na Chełmszczyźnie w roku 1938! Listy i deklaracje władz zostaną niewątpliwie zwekslowane i to szybko. Nie wiadomo śmiać się czy płakać! To tragiczny brak wyobraźni w dobie odradza-

jącego się ukraińskiego skrajnego nacjonalizmu i to na naszych „nowych kresach”. To prowokowanie kolejnych nieuzasadnionych roszczeń i odwracanie uwagi od niezadośćuczynionych strat własnego narodu. Polska będzie ukrainizować i odbudowywać cerkwie rozebrane w 1938 r. Brzmi to jak ponury żart, ale niestety jest prawdą.

W rozmowach, artykułach na tematy ukraińskiego ludobójstwa często wysuwa się argument, że Polacy zasłużyli sobie na taki los, ponieważ „polscy panowie”, butni i wyniosli, poniżali biednego ukraińskiego chłopca... I choć mam pewność, że to tylko kompleksy narodowe, to jednak – ziarno zostało rzucone – pojawia się myśl: może rzeczywiście jest w tym żdźbło prawdy?

Z powrotem wracamy do badań historycznych. Już niedługo minie dwadzieścia lat od odzyskania przez Polskę suwerenności, a nie pojawiła się ani jedna książka, która ujmowałaby w sposób całościowy, pogłębiony i rzetelny problem stosunków polsko-ukraińskich w XX wieku. Oczywiście powstają prace, ale koncentrują się one jedynie na wątkach politycznych, które są tylko emanacją zachodzących zjawisk społecznych. Wiele z nich koncentruje się na pojedynczych zagadnieniach, np. działalności parlamentarnej mniejszości ukraińskiej. Natomiast na sprawę trzeba spojrzeć szerzej. Przede wszystkim musimy odpowiedzieć sobie na pytanie, czy Polska po 1918 roku była aż tak złym suwerenem w stosunku do Ukraińców, że to, co oni nazywają „odpłatą”, nam się należało? Ostatnie lata poświęcałam badaniom tych spraw. Niedługo ukaże się moja książka poświęcona ukraińskiemu terroryzmowi w międzywojniu. Czy rzeczywiście Polacy gnębili Ukraińców i mieli oni podstawy czuć się w naszym państwie źle? Prawda jest taka, że czuli się dyskomfortowo głównie dlatego, że nie posiadali swoich elit. Była to społeczność chłopska, i to w ponad 90%. Dlatego czuli się niedowartościowani. O ich nastrojach często decydowała zwykła zazdrość i poczucie niższości. Ale takie były przecież uwarunkowania historyczne. Czy na historię należy się obrażać? Większość społeczności europejskich przechodziła taką ewolucję i w końcu drogą ewolucyjną poszczególne nacje dochodziły do emancypacji. Nikt nie ustrzegł się rywalizacji

i waśni. Gorzej gdy jak w przypadku Polski miesza się w sprawę zaborczy sąsiedzi – wygrywający mniejszości przeciwko Polsce. Państwo polskie w międzywojniu nie hamowało rozwoju narodowego i edukacyjnego Ukraińców. Liczby wskazujące ten fakt są jednoznaczne. Polska w tym krótkim okresie przyczyniła się wcale nie do budowy ukraińskich elit.

Ale i tak argument zemsty na „polskich panach” jest chybiony dla usprawiedliwiania dokonanego w czasie wojny ludobójstwa choćby dlatego, że na kresach z „polskimi panami” i osadnikami rozprawili się na początku wojny Rosjanie! Ukraińcy na Wołyniu i Małopolsce Wschodniej mordowali przede wszystkim polskie, zasiedziałe wielodzietne rodziny chłopskie, często nawet biedniejsze od swoich oprawców. Bojówkom przewodzili częstokroć ludzie wykształceni. Jak więc mówić o „zemście uciemżonych”.

Skoro mordu dokonywał chłop ukraiński na polskim chłopie, to musiał być ktoś, kto do tego zachęcał. Może Ukraińcy jednak zaznali jakiejś wielkiej krzywdy od Polski?

Było wręcz odwrotnie. Państwo polskie, od kiedy odrodziło się w roku 1918, jak mogło, tak pomagało ukraińskiej mniejszości. Mieli swoją reprezentację w Sejmie, opanowali ruch spółdzielczy na Kresach – tutaj Polska ustępowała im pod każdym względem. Kooperatywy ukraińskie kwitły nawet w czasie kryzysu! Rozwijał się przemysł ukraiński, głównie przetwórczy, powstawały uzdrowiska, było zielone światło dla wszelkich inicjatyw. Młodzież ukraińska była kształcona. Przecież większość późniejszych dowódców UPA to absolwenci polskich szkół, w tym szkół wyższych, np. Roman Szuchewycz. Mieli możliwości takie same, a często i lepsze niż obywatele polscy. Wołyń jest szczególnym przykładem, gdzie pod rządami wojewody Henryka Józewskie-



go Ukraińcy mieli wszelkie możliwe swobody, często nawet kosztem ludności polskiej. W czasach rządów „sanacji” ścigano i tępięto przede wszystkim rodzimych narodowców, to oni pierwsi zasiedlali więzienia, a nawet byli pierwszymi lokatorami Berezy. Dopiero kiedy zaczęły się na masową skalę ukraińskie akty terroru, władze uświadomiły sobie, że szowinizm ukraiński zaczął już zagrażać bezpieczeństwu państwa. Wtedy zaczęto aktywniej ścigać sprawców.

Nie należy zapominać, że już od lat dwudziestych XX wieku mieliśmy do czynienia z terroryzowaniem ludności zarówno polskiej, jak i ukraińskiej przez członków organizacji UW (Ukraińska Wojskowa Organizacja), a po roku 1929 OUN (Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów). Obie te organizacje w całym okresie międzywojennym prowadziły skrajnie antypolską działalność, dopuszczały się palenia polskich gospodarstw, zabijania, zastraszania nie tylko ludności polskiej, ale i tych, co za Polakami się ujmowali czy utrzymywali z nimi kontakty. Zabijanie Rusinów, jeśli podejrzewano ich o współpracę z Polakami, jest najlepszym dowodem na to, że chciano w sposób niedopuszczalny, dzisiaj kwalifikowany jako przestępczy, wymusić i przyśpieszyć realizację swojej wizji. Uważam, że gdyby nie terrorystyczna działalność UW i OUN w międzywojniu, na kresach o wiele lepiej by się działo. Ukraińcy zaszliby w swojej własności i rozwoju o wiele dalej, młodzież nauczyłaby się pracy i budowania, a nie konspirowania i destrukcji. Terroryzm hamował rozwój wschodnich dzielnic Rzeczypospolitej. Hamował, bo niezgoda zawsze rujnuje, a ponadto polska administracja, wojsko były zmuszone ścigać zaangażowanych w przestępstwa Ukraińców, a wielu z nich było bardzo młodych, wyłączonych tym samym z normalnego rozwoju i nauki...

Tak więc ukraiński terroryzm ujawnił się już u narodzin II Rzeczypospolitej?

Z terroryzmem ukraińskich nacjonalistów zetknęli się Polacy o wiele wcześniej. Jeszcze przed I wojną światową. Znamienny był zamach dokonany na polskim namiestniku Galicji hr. Andrzeju Potockim. Był to zło-wieszczy w swych konsekwencjach mord, dokonany 12 kwietnia 1908 r. Zamachu dokonał 21-letni fanatyk, student ukraiński Uni-

wersytetu Lwowskiego, Myrośław Siczynski, jedenaste dziecko parochia grekokatolickiego, oddając do namiestnika cztery strzały. Być może ważniejsza od samego zamachu była tragicznie rokująca na przyszłość reakcja społeczeństwa ukraińskiego na ten czyn. Kiedy wyprowadzano Siczynskiego, czekający na niego studenci ukraińscy urządzili mu huczną owację. Poza nielicznymi głosami potępienia większość Rusinów-Ukraińców czyn ten poparła i usprawiedliwiła. Także redaktorzy „Diła”, ukraińskiego pisma narodowego ukazującego się we Lwowie, wzięli w obronę sprawcę, a dodatkowo, pisząc o morderstwie, użyli skandalicznego określenia „zaszlachtowanie Potockiego”. Na wieść o zamachu korespondent „Diła” w Wiedniu Wiaczesław Budzynowski wysłał do swojej redakcji telegram ze słowami „Vivat sequens” (kolej na następnego). Ten sam autor w „Neues Wiener Tagblatt” tak opisał moment, gdy wieść o tym zdarzeniu dotarła do Wiednia: *... pierwszym wrażeniem posłów ruskich była żywa radość, postowie rzucili się w objęcia i całowali się.* Poseł Kiryło Tryłowśkij oświadczył w licznych wywiadach, że czyn Siczynskiego będzie sławiony w narodzie ukraińskim jako postępek bohaterski. Poseł Kost Łewickij uspokajał siostrę mordercy, a swoją żonę: *ogólne zadowolenie narodowe niech będzie dla ciebie pociechą.* Ożenie Lewickiej studenci ukraińscy wyrazili podziw za bohaterski czyn brata i zadowolenie „ze znakomych owoców pracy narodowej”. Organ radykałów „Hromadśkij Holos” nazwał zamachowca *najpiękniejszą latoroślą ukraińskiego narodu.* Najdalej posunął się tygodnik ukraiński „Narodne Slovo”, nie cofając się przed używaniem obelg wobec zszokowanych Polaków. Następne wydarzenia nic nie zmieniły. Wrogość nacjonalistów wobec Polaków jedynie narastała. Nadzieje Polaków, że Ukraińców uda się jakoś przekupić, pozyskać, od początku były mrzonką. Nie oznaczało to jednak, że należało wówczas z ziem tych zrezygnować – były wszak plonem 600 lat pracy pokoleń Polaków i miliony z nich żyły tam od pokoleń!

Czy to nie zbytnia tolerancja polskich władz doprowadziła do wojennej tragedii na Kresach? Wynika z tego, że w pewnym sensie wyhodowaliśmy sobie potwora na własnym łonie?

Tu nie chodzi o zbytnią tolerancję wobec Ukraińców. To brak strategii, pomysłu, jak problem wrogości licznej grupy obywateli rozwiązać. Brakło stanowczości, a ustępstwa wobec nacjonalistów zostały od pewnego momentu wpisane w politykę polskich władz. Piłsudscy chcieli przeciwstawić Rosji nacjonalizm ukraiński. W stosunku do Rosji przygotowywano wszystkie armaty: wywiad, najlepszych wojskowych fachowców, bo stamtąd spodziewano się uderzenia. Kiedy koncentrowali się na jednej flance, odpuścili drugą; mało tego, liczyli, że nacjonałiści ukraińscy skierują swoją wrogość przeciwko Rosji, tymczasem wszystkie próby przeniknięcia na teren sowiecki zakończyły się fiaskiem. Działalność terrorystyczna UWU i OUN *de facto* ograniczyła się do terytorium Polski. Warto zaznaczyć, że zarówno UWU, jak i OUN były sponsorowane przez Niemców i to już od lat 20. XX wieku. Obu stronom chodziło o jak najszybsze osłabienie, a potem unicestwienie Polski. Tymczasem polskie władze naiwnie wierzyły, że uda im się z nacjonalistów pozyskać i stworzyć grupy, które odwojują Ukrainę prawobrzeżną. Przykładem takich działań było sponsorowanie przez całe lata organizacji paramilitarnych, jak np. ŁUH czy SO-KiŁ. Te organizacje zostały bardzo szybko opanowane przez UWU, potem przez OUN. Nikt do tej pory nie zwrócił uwagi na fakt, że tam wychowano przez okres 20 lat ponad 50 tys. młodych *bojów*, którzy potem brali czynny udział w wyniszczaniu ludności polskiej. Młodzi adepci UWU i OUN byli tą szpicą, która przedarła się na Wołyń, kiedy po zamachu na Pierackiego, został w końcu złapany Bandera. Dlatego Wołyń zapłonął jako pierwszy. Małopolscy przedstawiciele OUN-UPA najwcześniej tam zaczęli odbywać zebrania, na których uświadamiali społeczność ukraińską, że jedynym sposobem, aby Wołyń stał się ukraiński, jest wymordowanie ludności polskiej.

Rosja sowiecka dała sobie z nacjonalistami radę szybko. Wylapano emisariuszy i członków, wytoczono procesy, skazano. Buntujących się ukraińskich chłopów w bezprecedensowy sposób zamorzono głodem. Tymczasem w Polsce te same karalne czyny, które nacjonałiści próbowali realizować na sowieckiej Ukrainie, pozostawały przez długi czas bezkarne.

Czyli można stwierdzić, iż świadome przygotowania do rzezi trwały znacznie wcześniej.

Ależ tak, przygotowywali się do tego od lat. Ideologia mówiąca o usunięciu przemocą wszystkich obcych z „ukraińskich ziem” zakładała na starcie czystkę etniczną. Jak inaczej przemocą pozbyć się setek tysięcy ludzi, którzy tam żyli, a nie byli Ukraińcami „z krwi”. Druga wojna światowa i pomoc okupantów stworzyła jedynie optymalne warunki do zrealizowania tego diabelskiego planu. Nie musieli też eliminować *czużyńców* sami. Najpierw było współdziałanie z Rosjanami przy deportacjach Polaków. Typowanie... Rosjanie bardzo wygodnie rozegrali sprawę. Powiedzieli Ukraińcom: my nie znamy tego terenu, pokażcie nam, którzy mają zniknąć... No to najpierw całą inteligencję polską, często z rodzinami, posłano na zesłanie, a potem osadników, wszystkich bogatszych chłopów. Kiedy wkroczyli Niemcy, zresztą we współpracy z ukraińskimi formacjami pomocniczymi, znowu zaczęła się zabójcza dla polskiego żywołu współpraca. Organizacje ukraińskie (np. UCK) stały do Niemców petycje, aby Polaków z województw południowo-wschodnich wysiedlić gdzieś za Kaukaz albo wymordować. Na to Niemcy nie przystali. Potem był holocaust kresowych Żydów. Tego mordu dokonali Niemcy rękami ukraińskich formacji pomocniczych, ale w mniejszych miejscowościach mordu dokonały bojówki OUN! I jakoś na ten temat niewiele się mówi. Wiemy, że Niemcy byli na Wołyniu i południowych województwach kresowych nieliczni i rozproszeni. Były całe wsie, gdzie jednego Niemca w czasie okupacji nie widziano, a ludność żydowska we wsiach zniknęła. Jak to się odbyło, dowiadujemy się z zachowanych polskich relacji. Po wsiach i małych miasteczkach kresowych z reguły nie było żadnych gett. Oł, bojówka OUN z danego terenu w porozumieniu z miejscowym Niemcem lub *volksdeutschem* wylapywała okolicznych Żydów, prowadziła do lasu i tam kazała im kopać rowy, w które wrzucano po egzekucji ich ciała. Potem mołojcy i ich rodziny dzielili się mieniem pomordowanych. Niemiec brał tylko najcenniejsze rzeczy.

Kiedy Ukraińcy przekonali się, że można bez problemów i ku zadowoleniu własnym i Niemców unicestwić jedną nację, zabrali

się za Polaków. Mimo to próbowali jeszcze zrobić to drogą pośrednią. Bo był problem miast. Polacy na wsiach byli rozproszeni, ale w miastach kresowych Polacy stanowili z reguły większość lub żyli w zwartych grupach. W miastach były też garnizony niemieckie. Wpadli więc na pomysł, żeby Polaków wsadzić do gett opróżnionych już po wymordowaniu Żydów. Wnioskowali nawet w tej sprawie do Hansa Franka. Ale gubernator Frank powiedział im: nie. Nie przypuszczam, by skłonił go do tego jakiś ludzki odruch. Po prostu Polacy byli jeszcze potrzebni, przydatni... Ukraińcy mieli mało inteligencji, po wyniszczeniu Żydów dał się odczuć brak wielu fachowców, osadnictwo niemieckie szło opornie, wieści z frontu wschodniego były coraz gorsze. Nie było kim zastąpić Polaków, choć nowe ukraińskie kadry szkolono systemem ekspresowym – nawet w Berlinie w szkołach im. Adolfa Hitlera. Tak kształcił się słynny „przyjaciel Polski”, kawaler orderu Orła Białego, wcześniej depolonizator Chełmszczyzny, Bohdan Osadczuk. Dodatkowo Niemcy nie byli zachwyceni współpracą z Ukraińcami. Okazuje się, że jednak Polacy byli w pracy, w zobowiązaniach o wiele bardziej solidni. Stopniowo Niemcy tracili do Ukraińców zaufanie, tym bardziej po próbie stworzenia osobnego państwa i ogłoszenia przez Stećkę niepodległej Ukrainy. Jak wiemy, Hitler nie chciał słyszeć o takiej samowoli. Nakazał szybko wszystkich organizatorów internować i pogrzebał mrzonki i nadzieje Ukraińców.

Ale nie tylko Polaków, bo i tych Ukraińców, którzy im pomagali, Żydów, Ormian, Czechów, Cyganów, Rosjan....

W trzecim tomie *Dzieci Kresów*, który aktualnie przygotowuję do druku, znajduje się relacja, której fragment mówi o szlachetnym zachowaniu się sąsiada – Ukraińca. Rodzina bohatera wspomnień, by uniknąć niechybnej śmierci z ręki band OUN-UPA, uciekła ze swojej wsi, tuż przed zbiorami, do pobliskiego miasta. Ukraiński sąsiad spakował część zboża, które zebrał z pola Polaka, przyjechał do miasta, odnalazł go i powiedział: *Zebrałem z twojego pola zboże i wiem, że głodujesz z dziećmi, to, co zapakowałem na furę, weź, będziesz miał z czego żyć*. Po powrocie do wsi siepacze z bojówki zakatowali go na śmierć. Pobito go śmiertelnie za dobre serce, za przejaw ludzkiej solidarności. To samo groziło każdemu Ukraińcowi, który ukrył polską rodzinę czy polskie dziecko. „Brudną robotę” wykonywała przede wszystkim najbardziej zbrodnicza ukraińska formacja „Służba Bezpeky” UPA. Aż trudno sobie wyobrazić, że organizacje ukraińskie odpowiedzialne za takie czyny są dziś „sławą i dumą Ukrainy”!

Swego czasu IPN podjął inicjatywę pokazywania Ukraińców, którzy ocalali Polaków z pogromu. Wspomniały pomysł, bo porównywalny z tym, co robi w Izraelu Yad Vashem. I takich bohaterów Ukraina powinna sobie brać za największy przykład.

Co się stało z tą IPNowską inicjatywą?

Pan Romuald Niedzielko napisał na ten temat książkę, a sama inicjatywa spotyka się – i to może jest największy paradoks, z obawami rodzin ukraińskich. Wielokrotnie proszono mnie, bym o pewnych historiach nie pisała – z obawy o konsekwencje. Zamiast dumy, samo wspomnienie o pomaganiu Polakom zaczyna stanowić dla nich realne zagrożenie. W momencie odradzania się skrajnego nacjonalizmu, odbudowywania struktur OUN i gloryfikowania wojaków z formacji UPO-wskich już nie tylko pozostali tam Polacy mogą czuć się niepewnie! O tym, że Polacy żyjący na dzisiejszej *Ukrainie zachodniej*, czują strach, mam namacalne dowody. Na konferencję IPN, która odbywała się w Warszawie z okazji 65. rocznicy ludobójstwa na Kresach II RP, miało przyjechać ponad 20 osób. Przybyła tylko jedna.

Czy wszystkie nacjonalistyczne organizacje ukraińskie w czasie ostatniej wojny dążyły do wymordowania i wypędzenia Polaków?

Oczywiście Ukraińcy nie byli jednorodni. Po rozłamie w OUN wręcz się zwalczali i zabijali. W jednym byli jednak zgodni, w wyniszczeniu Polaków.



A informację o tym dlaczego, wysłano mi z Polski, z lęku by nie wysłać jej z Ukrainy. Dochodzą do mnie informacje, że prawie w każdej miejscowości w zachodnich województwach Ukrainy jest już odrodzona bojówka nacjonalistyczna i prowadzi się militarne ćwiczenia. Dlaczego naszych polityków to nie interesuje? Dlaczego nieliczni polscy obywatele pozostali po ukraińskich wsiach znowu czują się źle, boją się mówić o dawnych zbrodniach, by nie narazić się nacjonalistom. Kto w Polsce zainteresuje się tym, kiedy szowiniści spalą im dom lub ich pobiją? To pokazuje najdobitniej, że nasza miłość do Ukrainy jest coraz bardziej ślepa! Swoim milczeniem, tolerowaniem szowinistów i ich protektorów w Polsce (Związek Ukraińców w Polsce), wielu przedstawicieli wojującego kleru grekokatolickiego i ich „heroizacji” OUN-UPA, zabrnęliśmy w bardzo nieciekawą historię!

Tymczasem nasz Sejm nie zdobył się nawet na uchwałę potępiającą sprawców kresowego ludobójstwa, nawet uznania, że zostało dokonane!

No wstyd! Wielki wstyd! To jest hańba! Dotknięci operacją „Wisła” mają uchwałę potępiającą tę przykrą, ale absolutnie niezbędną dla polskiej racji stanu i bezpieczeństwa polskich obywateli akcję. Tutaj dziesiątki, ba setki tysięcy ludzi – ofiar ukraińskiego szowinizmu nie znajdują uszanowania dla swojej krzywdy we własnym parlamencie. To, jak tłumaczył ten fakt marszałek Komorowski, jest żenujące. Rzekomo pan ten jest historykiem. To woła o pomstę do nieba! Nawet jeśli by pisał pracę magisterską z historii średniowiecznej, to i tak nie widzę nic na jego usprawiedliwienie. Nie można być adwokatem obcych kosztem takiej krzywdy własnych rodaków. Tym bardziej że Katyń nie wywołuje protestów u marszałka. To znieczulica i niekompetencja. Czuję się źle myśląc, że coś, co nazywany patriotyzmem, nie jest już cechą żyjących nad Wisłą „elit” sięgających po władzę nad Polakami.

Skoro sami milczymy... Skoro milczała nasza emigracja. Czy to nie paradoks, że Polacy, których wojna wyrzuciła do Anglii, Ameryki, raczej nie dorabiali się fortun, nie było im łatwo, a powojenna emigracja ukraińska radziła sobie bardzo dobrze i uchodziła za jedną z najbogatszych i dobrze zorga-

nizowanych. Przecież gros z nich musiało wywodzić się z oddziałów związanych z hitlerowcami i uciekinierami z OUN-UPA. Podejrzewam, że wielu z nich mogło uratować życie legitymując się obywatelstwem polskim.

Polska emigracja, która skupiła się w Londynie, najczęściej składa się z ludzi, którzy trafili tam z obozów jenieckich po kampanii z września 1939 r., bądź z tych, którzy zostali wywiezieni w głąb Rosji i stamtąd z Armią Andersa różnymi polskimi drogami trafili na zachód Europy. Ci ludzie nie mieli pojęcia o tym, co wydarzyło się w 1943 r. na Kresach, albo mieli bardzo nikłe pojęcie. Dlatego znaleźli się w pewnym momencie na jednym wózku z uciekającymi przed Rosjanami Ukraińcami. Mieli wspólnego wroga – Rosjan, i wspólnego sponsora, znaleźli więc wspólny język. Stąd mamy problem Giedroycia, czy wcześniej problem Andersa, który wypuszcza ss-manów z SS Galizien, okrywając ich polskim obywatelstwem, żeby nie wydać ich Stalinowi. Ujawniane są przez Brytyjczyków fakty z życia kilku tysięcy owych esesmanów na ziemi brytyjskiej i to jeszcze żyjących w niewyobrażalnym dobrobycie w stosunku do emigracji polskiej. Musimy pamiętać, że zbrodnie przeciwko Polakom, a wcześniej przeciwko Żydom, wiązały się także z grabieżką mienia. Ci ludzie opuszczając ziemię polską mieli pieniądze, precjoza, skarby przez tych esesmanów gromadzone, to pozwoliło im się urządzać w Europie. Część z nich została jednak w Polsce. Tu mamy kolejną sprawę, którą warto byłoby się zająć od strony naukowej. Okazuje się, że nagle na ziemiach zachodnich mieliśmy do zagospodarowania dwa razy tyle ludzi jako przesiedleńców związanych z operacją „Wisła”! Skąd oni się tu wzięli? Kiedy dostaniemy odpowiedź na to pytanie, to okaże się, że z Łemkami będziemy w stanie rozliczyć się i dogadać. Ale i Łemkowie byli najczęściej terroryzowani, zastraszeni i zmuszani do uczestnictwa w mordach. To są prace, które powinni przeprowadzić historycy sięgający do źródeł służb specjalnych, które przy okazji wyjaśnią wiele późniejszych wydarzeń we współczesnej historii Polski. Wielu zbrodniarzy z polskimi papierami tutaj, ale i za granicą działało. Przecież to trzeba wyjaśnić, bo przy okazji poznamy odpowiedź na pytanie, kim są ci ludzie, którzy czynnie,

w tej chwili w Polsce, uniemożliwiają Polakom budowanie pomników upamiętniających ofiary ludobójstwa czy prowadzenie badań historycznych i pisanie prawdy. Twierdzą, że przez długie lata historię stosunków polsko-ukraińskich pisali w Polsce wyłącznie Ukraińcy. Mało tego, w Polsce, na polskich uczelniach, zaczęły powstawać prace o organizacji ukraińskich nacjonalistów, pisane przez Ukraińców, bądź narodowości ukraińskiej. Oni piszą historię na nowo! A nasi historycy? A my siedzimy cicho! Nie mieliśmy innych badań, nie mieliśmy żadnych atutów w rękawie, więc to, co napisali inni, podawano do wierzenia. Pozwoliliśmy sobie na to, żeby ktoś inny napisał historię Polaków. Nie można jednak ich obwiniać. Pragnę zwrócić uwagę, że jeśli ktoś z polskich historyków usiłował zająć się naszą współczesną historią, dostawał etykietkę nacjonalisty, i to trwa do dzisiaj. Nie patrioty, a nacjonalisty! Dlaczego? Ponieważ usiłuje się upomnieć o krzywdy Polaków. Wracając jeszcze do sprawy tej emigracji... Emigracja ukraińska ma się dobrze zarówno w Kanadzie, jak i w Wielkiej Brytanii. Jest bogata, jest wpływowa, może narzucać tam swe prawdy, pisać i wydawać swoją interpretację historii. O ile mi wiadomo, z Polaków tylko pan Piotrowski wydał w Stanach Zjednoczonych książkę, która pokazuje polski punkt widzenia. No i pan prof. Wiktor Poliszczuk, który dla prawdy historycznej zrobił bardzo wiele, ale on jest przecież Ukraińcem. Jako jeden z nielicznych poczuwa się do winy, by bronić honoru swego narodu. Cała reszta to jest zalew nacjonalistycznej literatury, która draży, która kształtuje poglądy w Kanadzie, Stanach Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii. *A przecież ci, co piszą, mają rację, oni napisali swoje litopisy, opisali swoją chwalebna historię wielkiej wojny z Rosjanami, są czyści jak łąka, nie mordowali mieszkańców polskich wiosek, po prostu mordowali sowieckich partyzantów i element niepewny. Zniknięcie setek tysięcy Polaków stanowi według nich jakiś epizod niemogący zaszkodzić wielkiej chwale oręża upowców.*

Skoro nie można liczyć na polityków, to może przynajmniej na Kościół, na kapłanów?

Niestety liczyć nie można. Powtarza się ta sama historia. Nadzieja na to, że wschód

uda się pogodzić czy przeprowadzić na katolicyzm prawosławnych poprzez kościół grekokatolicki, był i jest utopią. Wszystkie te próby kończyły się niczym, ponieważ kościół grekokatolicki jest kościołem *stricte* nacjonalistycznym. W czasie wojny takim był i przed wojną takim był. Nie mówię o wszystkich duchownych, ale bardzo duża część kleru grekokatolickiego ponosi odpowiedzialność za okrutne mordowanie Polaków, ponieważ dawała przyzwolenie, nawet obiecując odpuszczenie grzechów, wzywając w swoich kazaniach do *wyplewienia kątoku, który rośnie w pszenicy*, do wyeliminowania Polaków. To są sprawy, za które ten kościół nigdy nie poniósł odpowiedzialności. Może zdalnie, ale nie naszymi rękami, lecz Rosjan. Ktoś wierzący mógłby powiedzieć „Kara za grzechy”. Jest faktem, że Rosjanie sekowali, aresztowali i zsyłali wielu księży grekokatolickich, doprowadzając ich do śmierci, choć nie z powodu tego, co zrobili Polakom. To były ich wewnętrzne porachunki. Natomiast zadziwiające jest zachowanie naszej hierarchii, która ani jednego z ponad 160 księży, którzy w najokrutniejszy sposób zostali zamordowani przez bojówki OUN-UPA, nie doprowadziła do podniesienia do rangi błogostawionych czy świętych męczenników, a przecież byli to męczennicy za wiarę. Kościół zamiast walczyć o pamięć o swych kapłanach i wiernych, którzy często razem z nimi ginęli w mękach, zajmuje się dzisiaj podlizywaniem się grekokatolikom. A co z potępieniem tych duchownych grekokatolickich, którzy czynnie uczestniczyli w ludobójstwie, święcili noże, odmawiali pochówków pomordowanym itp? Po wojnie próbowano przeprowadzić ankietę dotyczącą udziału księży grekokatolickich w zbrodniach na Polakach, bo część naprawdę miała ciężkie grzechy na sumieniu, nie mówiąc o synach księży, którzy dramatycznie często byli dowódcami oddziałów UPA. Dzisiaj Kościół w tej sprawie w ogóle nie chce zabierać głosu. Dokonuje w oficjalnych wystąpieniach „wybaczenia”. To nadużycie! Wybaczyć mogą tylko ofiary. Zresztą większość z tych ludzi w sercach już wybaczyła oprawcom, ale nie oznacza to, że Kościół ma prawo robić to za nich! A poza tym istnieje jeszcze w naszej religii pojęcie zadośćuczynienia, żalu za grzechy. Wśród przedstawicieli kościoła grekokatolic-

kiego ja tego nie usłyszałam. W wypowiedziach kardynała Huzara i innych dostojników słyhać za to buńczuczność, silne nuty nacjonalizmu i zupełny brak wyrażenia żalu za popełnione przez ten kościół zbrodnie. Oczywiście oni się wybielają, ale ignorowanie tych zbrodni i wybielanie ich przez naszych hierarchów bez żalu i zadośćuczynienia jest niedopuszczalne.

Może ktoś powie, że „dolewam oliwy do ognia”, ale muszę – nawiązując do tych dramatycznych słów, które pani powiedziała, zapytać, jak podchodzić w tym kontekście do sprawy procesu beatyfikacyjnego zwierzchnika kościoła grekokatolickiego z czasów wojny Andrija Szeptyckiego?

Próba podniesienia do rangi świętego Andrija Szeptyckiego, archidieja lwowskiego, budzi oburzenie Polaków kresowych. Człowiek ten w bardzo wielu sytuacjach przyczynił się swoim działaniem w okresie międzywojennym do budowania bezdennej przepaści pomiędzy Polakami a Ukraińcami. Czyniąc to, przykładał rękę do budowania skrajnego nacjonalizmu, szowinizmu. Popierał, finansował i wspomagał wszelkie inicjatywy Polsce wrogie, w kraju i za granicą. W momencie wkroczenia Niemców na kresy w roku 1941 poparł władze niemieckie, i to w całej rozciągłości, pisał listy chwalebne. A potem, kiedy rozpoczęła się rzeź, nie użył swoich wpływów na grekokatolików, a był naprawdę postacią, która mogła to zrobić dla zatrzymania ludobójstwa. Toczył jałowe spory z biskupem Twardowskim, twierdził, że zbrodni dokonują sowieci, nie brał odpowiedzialności. Dopiero kiedy ludobójstwo na Polakach dobiegało kresu, wystosował list do wiernych, którego księża grekokatolicy nie chcieli nawet odczytywać. Wtedy zresztą było już za późno. Kiedy zaczynały płonąć polskie wsie, milczał. Przecież on nie mógł nie wiedzieć zarówno o przygotowaniach, jak i o tym co się dzieło! A teraz robi się z niego świętego człowieka, na którym spoczywa przecież brzemień współodpowiedzialności za rzeź Polaków na Kresach. We mnie też budzi gorący sprzeciw. Szeptycki był jednym z największych w dziejach Polski renegatów. Nie tłumaczy go nic, nawet to, że umierając powiedział Ukraińcom obecnym przy nim, by trzymali się Polaków. Ale to może jeszcze jeden dowód jego chytrkości

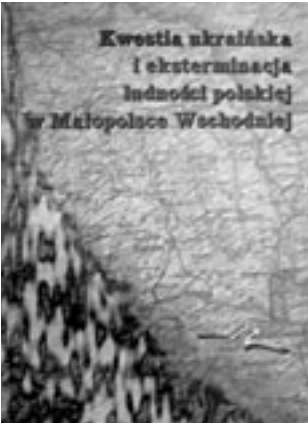
i wiarołomstwa: wciąganie Polaków w ukraińskie spory z Rosją i wykorzystywanie dla swoich celów, wypompowywanie pieniędzy, ale z zyskiem jednostronnym...

Udaje się jednak Pani pisać i wydawać książki poświęcone ludobójstwu Ukraińców na Polakach.

Wydawanie relacji żyjących jeszcze świadków i dokumentów jest moją osobistą inicjatywą. Z zabezpieczeniem finansów na ich wydawanie jest bardzo krucho. Ale jest to norma. Wielu kresowian własnym nakładem wydaje wspomnienia, ale instytucje państwowe nie są tym zainteresowane. Powstają za to książki, i to za polskie, ministerialne pieniądze, jak np. *Tak było w Bieszczadach* czy *Ukraińska partyzantka* Grzegorza Motyki. Autor ten ostatnio nieco się zmytygował w swym bezkrytycznym uwielbieniu dla szowinistów ukraińskich, ale już samo nazwanie morderców – „partyzantami” jest poważnym błędem. Nazwa partyzantka jest przynależna do organizacji zbrojnych walczących z okupantami. Głównym zajęciem tej „partyzantki” było eksterminowanie Polaków, co możemy bez trudu udowodnić. Też książki Motyki jest, że głównym celem UPA, i historycy polscy się do tego przychylają, było budowanie *samostijnego* państwa ukraińskiego. Ja twierdzę, że było dokładnie odwrotnie. Państwo miało powstać wtedy, kiedy tam już nie będzie ludzi innej narodowości. Wiadomo było, że wchodzi Rosjanie i państwa ukraińskiego nie będzie. Mówienie, że ich walka w 1943 r. była walką o państwo, jest po prostu kłamstwem. To była realizacja hasła: państwa ukraińskiego nie będzie, ale i Polaków tutaj nie będzie. I to było główne zajęcie i cel działania bojówek OUN i UPA w 1943 i 1944 roku. Nie żadne walki z okupantami. Do tych dochodziło najczęściej z przypadku. Z regularnym wojskiem wojskowało się o wiele trudniej niż z zaskoczonymi nocą bezbronnymi kobietami i dziećmi. Zabrzmi to paradoksalnie, ale pomoc Niemców – naszych oprawców, tak jak i później Rosjan, okazywała się często jedyną deską ratunku dla Polaków na Kresach!

Pokazała Pani, że jest ogrom materiałów archiwalnych...

O! Na pewno nie jest ich tyle, ile byśmy chcieli!



Jaki jest stan zachowania archiwaliów dotyczących ludobójstwa?

To też problem! Nie wiadomo, ile z tych archiwaliów przetrwa. Wiele jest wciąż nieopracowanych. Poprawność polityczna nakazuje aktualnie gloryfikować UPA i pisać nową oficjalną historię Ukrainy, z pominięciem

zbrodni na Polakach. Może to zaowocować tym, że archiwa będą ulegały tajemniczemu i stopniowemu wyniszczaniu. Wcześniej niszczeniem śladów zbrodni zajmowali się bezpośrednio zbrodniarze i ich rodziny, dziś pogrobowcy OUN-UPA. W dawnych archiwach sowieckich na Ukrainie było dużo takich dokumentów, ale teraz dokumenty te podobno masowo znikają. Jest to zrozumiałe – skoro mordercy stali się nagle bohaterami ukraińskimi, to wszystkie ich czarne sprawy muszą zostać usunięte, zretuszowane. Profesor Poliszczuk, kiedy z nim rozmawiałam, wspominał o „wyczyszczeniu” z dokumentów dotyczących zbrodni archiwów niemieckich. Co do USA też nie byłabym dobrej myśli. Sojusznikom się wybacza, a zasługi szpiegowsko-dywersyjne „wojaków” adoptowanych do Ameryki były niemałe.

Dziwne rzeczy dzieją się też w polskich archiwach. Przemieszczenia dokumentów, które odbywały się w Polsce po 1989 r., doprowadziły do bliżej niewytłumaczalnych uszkodzeń lub po prostu zaniknięcia znacznej ich liczby. W pierwszej połowie lat 90., kiedy otwarto archiwa MSWiA, przeprowadzałam kwerendy w tamtym archiwum i widziałam cały szereg zespołów i teczek, które zamawiałam dla swoich badań. Kiedy po latach, po przekazaniu ich do IPN, chciałam wrócić do tych zasobów, nagle okazywało się, żeteczka, którą mam opisaną, że zawiera 120 różnych dokumentów, miała za ledwie... trzy karty. Reszty nie było! Akta te dotyczyły procesu Oresta Onyszkiewicza, jednego z najbardziej krwawych oprawców ludności polskiej. Rodzina Onyszkiewiczów za czasów II Rzeczypospolitej bardzo silnie

zaangażowana była w ruch szowinistyczny. Niektórzy byli nawet aresztowani za działalność terrorystyczną z bronią w rękę. Orest Onyszkiewicz był bezlitosnym katem ludności polskiej. Za swe zbrodnie, jako jeden z niewielu, został przez polskie władze skazany i stracony.

Wskazała pani na całą masę wątków, którymi mogłyby iść prace historyków. Dlaczego tego się nie robi?

Pamięta pan, jak to ładnie było powiedziane przez Stanisława Wyspiańskiego w *Weselu*? *My by wszystko mogli mieć, byle by my chcieli chcieć!* I tu jest podstawowy problem! Tak jak przed wojną, wielu politykom wydaje się, że proste hołubienie skrajnego ukraińskiego nacjonalizmu, jako przeciwwagi dla Rosji, to nasza polska racja stanu. To jest błąd, ogromny błąd! I póki będę mogła, zawsze będę powtarzała, że każdy nacjonalizm jest rzeczą straszną. Nie wolno leczyć dżumy – cholera. Obie są równie groźne! Tolerowanie i przemilczanie w Polsce faktu, że główni organizatorzy zbrodni ludobójstwa, jej inicjatorzy, ideolodzy są dzisiaj na Ukrainie, aż po Kijów, przyjmowani jako wzór do naśladowania jest niebezpieczne i niedopuszczalne. Trudno nie wspomnieć o tablicy poświęconej Romanowi Szuchewyczowi na murach polskiej szkoły we Lwowie, która jest obrazą dla jej byłych absolwentów. Ktoś, kto takie rzeczy robi, prowokuje Polaków. Ale nikt nie reaguje... To są rzeczy, które po prostu nie mieszczą się w głowie.

To trzeba zatrzymać, tak jak każdy faszyzm. My nie możemy patrzeć na ten proces i przymykać oczy... Co się dzieje dzisiaj w niektórych miastach niemieckich? Wystarczy pojechać np. do Saksonii, by zobaczyć tam młodych ludzi grasujących w czarnych uniformach i jak ujawniają chęć mordowania każdego nie-Niemca. Na Ukrainie Zachodniej są już bojówki i struktury neo-OUN-UPA, wieszane są czarno-czerwone banderowskie flagi, organizowane są marsze i pali się ognie. W restauracji „Kryjówka UPA” we Lwowie wisi hasło *Smert Lacham!* To nie są żarty. Z faszyzmem nie ma żartów. Jeżeli takim organizacjom pozwole się funkcjonować, jeżeli młodzież i następne pokolenia nauczą się szowinistycznego patrzenia na świat, taki naród robi się nieobliczalny

i niebezpieczny dla sąsiadów. Szczególnie tych, co do których (jak Polska) szwinięci wysuwają żądania terytorialne. Jak zrozumieć oczekiwania Ukraińców co do bronięcia ich problematycznych praw do Krymu, kiedy w gazetach i opracowaniach nacjonalistycznych wysuwane są żądania co do 19 powiatów dzisiejszej Polski?

Pani jako historyk mówi o tych niebezpieczeństwach oficjalnie i w wielu miejscach ostrzega przed ich konsekwencjami, ale nasi politycy tego nie dostrzegają. Jak na to reagować, co zrobić z tym problemem?

W Polsce są ogromne siły, które są zainteresowane utrzymaniem właśnie takiego, a nie innego *status quo* między Polską a Ukrainą. Nie jest to bezinteresowne, z Ukrainy płyną duże, nierzadko korumpujące Polaków kwoty. Ujawniono sporo takich skandali w ostatnich latach, ale to tylko wierzchołek góry lodowej. Ale i to nie tłumaczy wszystkich. Wiele świadczy bowiem o niskiej inteligencji i wyobraźni naszych elit politycznych. Ja zawsze podkreślam: skuteczna polityka międzypaństwowa musi wypadać co najmniej na zero, w sensie bilansu zysków i strat obu stron. Narody kochają się z rozsądku. Prezentowana przez kolejne polskie elity bezwarunkowa miłość w stosunku do Ukrainy jest grubym błędem. Do tanga trzeba dwojga – ludzie muszą mieć wspólne interesy, nie mogą tylko dawać, ale i brać. I to, że Polacy jedynie się cofają i niczego nie wymagają, szkodzi nie tylko nam, ale i Ukraińcom. Pozwala im błędzić. Nie można przymykać oczu na to, że naszej ludności jest na Ukrainie coraz ciężiej, że nie ma nawet namiastki tego, co mają Ukraińcy w Polsce. To nie jest wewnętrzna sprawa Ukrainy! Ukraińcy chcą odzyskiwać domy w Przemyślu. Proszę bardzo, ale za polskie domy we Lwowie dla polskich organizacji. Ukraina to nie jest mały kraj, to potężne państwo.

Cywilizuje się poprzez uczenie, ale i wymaganie. My musimy oficjalnie żądać, po pierwsze potępienia zbrodni, które OUN-UPA dokonała, po drugie domagać się, aby przynajmniej na polskich szkołach nie wieszano tablic ku czci człowieka, który doprowadził do aresztowania profesorów lwowskich i wymordowania ich, i pisał, że Polaków trzeba ciąć w pierś. To jest obraza

dla każdego państwa. Obraza! Musimy się szanować i mieć wyobraźnię, która pozwoli nam zrozumieć, w którym miejscu nasz kraj jest już manipulowany. Powtarzam – my nie możemy się robić zakładnikami Krymu. Nie możemy deklarować integralności części terytoriów, które od początku budzą pewną wątpliwość. Przepraszam, że ja to mówię, ale w tej chwili jest taka sytuacja, że cała Unia Europejska może się zaangażować w krwawy konflikt, który tak naprawdę powinni sobie Ukraińcy z Rosjanami sami załatwić. Nie możemy być też manipulowani tym, że wschodnia część Ukrainy Ignie do Rosji. Ukraina chce sobie tym zagwarantować manewr na dwie strony, a Polacy mają tylko jeden – ich popierać. My też musimy mieć za każdym razem ten manewr, ja nie kocham, nie chcę, boję się Rosji, ale też nie chcę i nie mogę milczeć, kiedy na Ukrainie człowiekowi skazanemu w Polsce przed wojną na siedmiokrotną śmierć za terroryzm, odpowiedzialnemu moralnie za ludobójstwo na kilkuset tysiącach Polaków, w centrum miasta Lwowa stawia się pomnik. Za chwilę dojdzie do tego, że polskie wycieczki będą miały obowiązek składać tam kwiaty?!

Na zakończenie mogę tylko wyrazić nadzieję, że jednak tylko żmudna praca historyków przyniesie w przyszłości właściwy efekt. Skoro ani nasi politycy, ani kościelni hierarchowie nie uznają za stosowne rozwiązać tego problemu we właściwy sposób.

Niestety praca historyków trwa długo, a życie pisze nowe scenariusze. Był lepszy czas, by sprawy rozliczyć i załatwić. Nie powstrzymaliśmy nacjonalistów. Ukraińcy formułują roszczenia w stosunku do powiatów dzisiejszej Polski. Na *Ukrainie Zachodniej* zapanował całkowicie etos banderowski, młodzież garnie się do pochodów i bojówek nacjonalistów. Kijów powoli też zapada na tę chorobę. To zła dla Polaków wiadomość, a dla ofiar ludobójstwa spełnienie koszmarnego snu. Tymczasem nasza „polityka wschodnia” zamiast powstrzymać – napędza te zjawiska. To kompletny brak wyobraźni...

Tekst ilustrują książki autorstwa dr Lucyny Kulińskiej.

Maryla Wolska

Poznanie

Raz mnie wzięli – pamiętam oczyma –
Rodzice,
Miałam wtedy kuse trzy lata
I weszli ze mną w jakąś kamienicę,
Była narożna i popielata.

Dziś już jej nie ma.

Schodami
Szło dużo ludzi z nami,
Do pokoju gdzie się paliły świece.
Nie wiedziałam, czy to dzień czy noc,
Bo okno zasłaniał koc,
Ale jak od choinki,
Było całkiem jasno.

Ludzie tam stali,
Jedni przy drugich, ciasno,
Sami dorośli.
Pośród zielonych zarośli,
Koło jakiejś długiej skrzynki
Starsi panowie płakali...
Nie mówiło się dzień dobry nikomu,
Trzymałam się mocno Tatka
I bardzo chciałam do domu...

Lecz nie pisnęłam nic.

Urzekł mnie migot świec,
Gęsta, jarząca rabatka,
Dziwiły wianki zielone,
Większe od mojej obręczy,
Wstażki aż do ziemi zwieszzone,
Szerokie, białoczerwone
I wąsate między cierniami kłoski...

Widziałam że wuj Pawłowski,
Pani Janowska z panią Jezierską i Mama
Na gołej podłodze klęczy –
I mówią pacierz – pewno do tych świec?

Nie rozumiałam nic.

Wtem ktoś, nie wiem sama,
Może dziadzio Darowski,
Może pan Żuliński Tadeusz, a może Tatko,
Nagle – podniósł mnie z ziemi
I rękami mocnymi



Seweryn Goszczyński

Podtrzymał blisko,
Tuż przed tą świecącą rabatką,
Nad wielką, długą kołyską,
Pełną kwiatów i poduszek,
Na których cicho spał jakiś obcy staruszek...
Na piersiach miał krzyż
I obrazek między kwiaty wetknięty.

Trzymana przez czyjeś mocne ręce,
Zahaczona o jakiś czarny kołnierz,
Jak lalka w krótkiej sukience,
Wysoko nad ciżbą czamar i peleryn
Zapytałam:
– Czy ten dziadzio to święty?

Na to ktoś z tych co najbliżej stali:
– Nie mała, to żołnierz!
Polak, co bił Moskali
I pisał wiersze.

Nazywał się Goszczyński Seweryn.

Teraz umarł i poszedł do nieba.
Dobrze się przypatrz, mała,
Trzeba, żebyś zapamiętała...

Nie rozumiałam nic.

A jednak – ten dźwięk nazwiska
I ta rabata świec,
Ta długa w kwiatkach kołyska,
Umarły żołnierz – Moskale – i wiersze,
To było ze śmiercią i Polską
Moje poznanie pierwsze.

Nie zapomniałam nic.

Jerzy Masior

Wciąż wrzesień

Jeszcze wciąż w uszach, jeszcze tam,
na mej ulicy stuk piechoty.

Z Wandą na Leśnej nocna straż,
szczęka pelotka – znów naloty.
Skrzy się pogoda, wrzesień drży,
że może Niobe, że powróci,
lecz przerwa w snach, runęło coś –
lęk naszych orbit nie obrócił.

I pójdzie to za nami wciąż,
marsz ku niewoli – kula w skroń,
pogarda stepów, tajgi chłód
i podle słowa, martwa dłoń.
Kałmuckich żrenic czujna straż,
rozpięta gwiazda krzyżowania;
już nie batalion i nie pułk,
lecz rozkaz nie do wykonania.

Już się wypalił tamten dzień
i nawet słodycz śliw jak dawniej,
ale to stamtąd wszystko jest,
spiekota warg w wrześniowej trawie.
A więc na pamięć jeden dzień,
bezdroża czasu, wieku koniec,
nad mogiłami pośród wzgórz
krzyże do dziś nie postawione.

Zły kolor nieba z dnia po noc,
dym najczarniejszy nad Zniesieniem,
popiół spalonych wtedy lat,
kasztanów na Podwalu cienie,
i wciąż te pokonane dni,
i marsz ku chwale pokonanych.
Tam porzucony hełm na bruk,
amarant w słońcu pogrzebany.

Pozostał krzyk i hałas barw,
i podglądanie jak tam teraz –
lirnik stepowy ponad tłum
i bramy, które omijamy.
To nie odeszło. To tam jest.
Jeszcze nie runął strop pamięci,
choć nam burzą gniazdo snów:
są jeszcze pory rozpoczęcia.

Franciszek Jaworski

NA WYSOKIM ZAMKU

Niniejsze opowiadanie zaczerpnęliśmy
z książki pt. „Lwów stary i wczorajszy”
(Lwów 1910)

Można wymyślać na Lwów z całą pasją
lwowskich reporterów, psioczyć i łajdaczyć
na wszystkie porządki miejskie, ale niepo-
dobna pozostać głuchym na wdzięki miasta,
któremu wszystkie dokoła pagórki się kłonią,
a wieniec drzew co dnia go do snu kołysze.
Bo choć ulice lwowskie w dzień upalny okry-
ją się szmatami rozpalonego słońca, choć
się rozdzieli wszystkie cyna na dachach i odbije
palącymi promieniami o głowę przechodnia,
to przecież od czasu do czasu zaszumi las
na Pohulance znanym nam już wspomnie-
niem wesołego mecenasa Węgłęńskiego,
Kaiserwald coś o starej rodzinie Lonszanów
opowie, lasy Hołoska zaszemrzą echem
zamarłych procesów, ozwie się Kortumówka
Horacjuszowym wierszem na swoim dwor-
ku, słowa młodości wyśpiewa Park Stryjski
i zadumają przejmą stare lipy na Zofiówce,
co kościółek piastują między sobą, dzieło
mieszczki Hannlowej i Łukiewicza fundację
posagową dla biednych pańienek.

Dobre, pocziwe miasto. Do swoich fi-
listrów przemawia całym smętkiem swojej
historii, przynosi im echa kopyt kozackich,
moskiewskich, tureckich, szwedzkich, węg-
gierskich, które jego pola ongi tłumity, sypie
im szumy drzewne od wszystkich rogatek,
a w tych szumach równie tyle krwi utoczony
na pobojuwisku, ile pieśni, co ją Cerera blada
na pszenicznym wyśpiewa zagonie.

Dobre miasto. Cicho gwarzy o tym, co
było, a z powieścią nie narzuca się tym,
którzy jej nie pragną. Nie nosi swojej historii
z namaszczeniem i majestatyczną powagą,
ale szepce ją tylko cichaczem człekowi, co
samotny zabłądzi na jego uroczyska, dla
reszty zaś ludzi ma strój nowożytny i pod-
kasaną śpiewkę kabaretu.

Tak czasem starzec sędziwy suknię
do kolan zatoczy i w tan pójdzie szeroki,

a ludzie się śmieją dobrym uśmiechem... bo i tacy są ludzie.

A kiedy się zaduma człowiek na Wysokim Zamku, to wysokie drzewa dopowiedzą mu wszystko: powie coś kopiec w blaskach księżycy skąpany, odległym echem szumi wzgórek koło „groty samobójców”, nawet lew kamienny, co kiedyś progi ratusza zdołał, przerwie swe długie milczenie, a z cieni nocnych wypełnie jakąś nieznaną gwara, dziwny język lwowskich „batiarów”.

Inaczej tu niegdyś bywało na Zamku, na Wysokim, skrzydłato i górnie, czasami smutno i straszno. W cieniu drzew filister jeszcze wówczas swojej nie chłodził łysiny, mamki się z dziećmi nie rozsiadały, ani par gruchających nie było, ani rozmarzonych spojrzeń

w pień wszystkich, co murom zamkowym swe życie powierzyli.

Do Wysokiego Zamku przyłgnęły wspomnienia, jakie tylko miał kiedykolwiek Lwów w długim swoim istnieniu dziejowym. Pomni on jeszcze ruskiego księcia Lwa i straszną tragedię, gdy od trucizny zadanej przez ruskich bojarów padł ostatni władca Rusi Jerzy II. Tutaj stała potem twarda stopa Kazimierza Wielkiego i węgierskich królów, snuły się plany na zagarnięcie Rusi i litewskich ksiąząt.

Jagiełło tutaj osadzał najniebezpieczniejszych więźniów – a za Zygmunta Augusta dział się na Wysokim Zamku jeden akt tragedii Halszki z Ostroga, mnogich włości obłąkanej dziedziczki.



Wysoki zamek w trakcie budowy

w oczu głębię przepaścistą. Inaczej bywało przed wiekami, gdy w tym miejscu, sterczał ruski zamek, drewniana ruskich kniazów stolica i patrzył ostrokołem swoim na nieliczne monastery u stóp swoich, kościółek Jana Chrzciciela, podgrodzie i na lesistą kotlinę Pełtwi, w której nawet jeszcze idea dzisiejszego Lwowa nie drzemała.

Inaczej tu było kiedyś, gdy na dominującym, drzewami obrosłym wzgórzu, wznosił Kazimierz Wielki, Zamek Wysoki, kamienny, ze szczybatymi basztami, które miały być obroną miasta, a stały się jego kłątą, tak wówczas, gdy roje zbójców gnieździły się w podzamkowych gęstwinach, jak i wtedy, gdy dzikie zastępy Krzywonosy, kozackiego pułkownika, pod nim stały, mordując

I huk armat Grothusa w czasie drugiego oblężenia Lwowa i orli wzrok Karola XII króla szwedzkiego, który stąd dopatrywał najsłabszego miejsca lwowskich fortyfikacji. Wówczas jednak Zamek Wysoki świecił nagimi zboczami, a wichry po nim hulały. Górę zamkową ogołoco z drzew jeszcze w szesnastym wieku i odtąd każdy deszcz rysował głębokie szczeliny, a wiatr dał piaskiem na miasto i zrywał dachy budynków zamkowych. A jednak lubił lwowianin to miejsce od dawna. Co niedziela jeszcze przed trzystu laty spieszyły postrojone mieszczki na Zamek Wysoki, tak samo jak i dziś patrzył mieszczanin z dumą na miasto swoje i na rozległą równinę, która starego burmistrza-poetę Bartłomieja Zimorowicza natchnęła opisem krajobrazu skąd:

... może człek dorzucić tak daleko okiem
Ile przez dzień kroczyści koń przepędzi
krokiem...

Czasem jednak ze wzgórza Wysokiego Zamku biegły spojrzenia przestrachu i grozy w dal siną, wypatrując, azali nie zakłębią się płomienne dymy najazdu, nie runie chmara nieprzyjacielska. W takich chwilach dumał i Jan Sobieski na Wysokim Zamku patrząc, gdzie by najlepiej zejść turecką potęgę, i hetman Stanisław Jabłonowski nocami wypatrywał ordy tatarskiej.

Ale oto inny obraz. Zachowało go kilka starych rysunków i trochę niedołączonych sztynchów. Na górze zamkowej, tak samo nagiej, sterczy już tylko rudera, której rozmiary z roku na rok się zmniejszają. Schodzą stare kamienie i cegły z budynków zamkowych do miasta, jako materiał, z którego się wznosi wielka kamienica przy ulicy Łyczakowskiej 3 i kilka innych jeszcze kamienic. Całą górę zamkową, wraz z rudera Wysokiego Zamku, darował cesarz Józef II w r. 1786 miastu, tam sobie spokojnie kopało kamienie, wybierało piasek i biadało nad tumanami kurzu, sypiącymi się stamtąd, i nad lawinami błota, co po każdym deszczu spływały w sąsiednią Sieniawszczyznę. Zresztą nikt dobrze nie wiedział, co począć z tym fantem. W r. 1806 zgłaszało się konsorcjum pewne żydowskie z chęcią nabycia góry, ale targu nie dobito, gdyż przemysłni potomkowie Izraela wzdrali się podać, co zamyślają z nabytkiem uczynić. W r. 1839 znowu zgłosił się pewien przedsiębiorca z projektem budowy holenderskich wiatraków na szczycie góry zamkowej, ale i ten nic nie wskórał, bo wówczas góra miała już inne przeznaczenie, a nawet inna jej nazwa była sądzoną. Wysoki Zamek nie brzmiał zbyt lojalnie w uchu biurokratycznym, więc przechrzczono go na „Sandberg”, o którym jeszcze w r. 1863 śpiewał jakiś domorosły poeta lwowski:

*Nadpełtwańska Muzo! Dziewico Lembergu,
Co z wdzięki cudownymi – krocząc po Sandbergu
Podobna księżycowi wznosisz nos perkaty...*

W r. 1835 rozpoczęto roboty koło zalesienia góry zamkowej, którą poprzednio wyrównano, wypychając jej i wyrównując, jak starej kokietce, boki... ziemią wybraną spod fundamentów rozpoczętej właśnie budowy starego

teatru hr. Skarbka. Pozasypywano więc dziury, drzewka zasadzone podrasstały, w 1845 r. wybudowano kosztem 22 000 zł istniejącą po dziś dzień restaurację i grotę, do której przyłgnęło później miano „groty samobójców” i „Sandberg” począł się prezentować wcale przyzwoicie, zwłaszcza co środę po południu, na „plac-muzyce” wojskowej, na którą spieszono całe lojalne społeczeństwo lwowskie, przygłuszając niemieckim charkotem resztę wspomnień ongi „Wysokiego Zamku”. Tylko na szczycie, dokąd rzadko się spacerowicz zapuszczał, sterczały resztki ruin, ale i one przeznaczone już były na zagładę.

Wkrótce jednak i nazwa „Sandberg” nie wystarczyła lojalności. W r. 1851 odwiedził cesarz Franciszek Józef górę zamkową, a z tej przyczyny biurokracja uznała *unisono*, że dla byłego Wysokiego Zamku *secundo voto* „Sandbergu” najodpowiedniejsza będzie nazwa *Franz Josefs-Berg*. I znalazł się znowu poeta, który „Sandbergowi” każe być dumnym z tego powodu i woła nań:

*Erheb dein Haupt jetzt doppelt stolz und
prachtig Franz – Josefberg soll jetzt
dein Name sein.*

Ale oto kopiec Unii Lubelskiej nowe daje namaszczenie górze zamkowej i bodaj raz na zawsze zamyka kwestię jej nazwy. Odtąd już miejsce to zwać się będzie „Wysokim Zamkiem”, tak jak za dawnych czasów i trzeba chyba komitetu „pań ewangelickich”, który urządzając festyn na Wysokim Zamku, przypomni sobie *absolidum dominium* stosowanego kapelusza i spróbuje wskrzesić nazwę nadaną Wysokiemu Zamkowi przez biurokrację, nazwę, która najmłodszemu pokoleniu lwowian jest wprost nieznaną.

Inne były to czasy kiedy, po niefortunnym co prawda, usunięciu reszty ruin dawnego zamku wznosić się począł na jego miejscu kopiec Unii Lubelskiej, kiedy w dżdżystym i chmurnym dniu 11 sierpnia 1868 kładziono tam kamień węgielny kopca z napisem „Wolni z wolnymi, równi z równymi”, a na ten kamień posypały się nasamprzód grudki ze wszystkich ziem naszej wielkiej ojczyzny, ze wszystkich znakomych miejscowości historycznych. Rzucono tam wówczas garść ziemi ze wszystkich pobojoiwisk od Grunwaldu i Tannenbergu aż po Sołowijówkę i Radziwiłłów – z grobów Kościuszki, Lelewela, Mickiewicza, Kniaziewiczza, Słowackiego, Ostrowskiego, z grobu pięciu ofiar na Powązkach,

z grobów męczenników naszych na Sybirze pochowanych, ze wszystkich kopców i mogił na ziemi polskiej znajdujących się, z ziemi Jerozolimy, z góry Kalwarii, a nawet hen gdzieś z daleka od San Francisco grudkę ziemi obcej, ale polską krwią i potem przepojoną, ziemię wygnañców.

Dobre, poczciwe miasto. Wtenczas kiedy Warszawa jeszcze wojsko miała polskie, a Kraków własną republikę, owe miasto nasze jęczało pod strasznym obuchem, ono pierwsze zakosztowało gorzkiego chleba niewoli, wyciągnięte zostało na męki konania – a jednak po stu latach nic a nic nie zapomniało, ani nauczycieli potrzebowało, aby się poczuł polskim i odetchnąć powietrzem od... morza do morza.

A jeszcze jedną chwilę opowiada Kopiec samotnemu włóczędze, chwilę górna i lotną, kiedy dnia 13 października 1871 gościł u siebie Wielkopolan, a Lwów cały wielkie miał święto podówczas i jeszcze...

... Ale oto lewka stary, ratuszowy lewka z dawnego ratusza kampańowskiego, obdarty i obszarpany zabiera głos i ze zwykłym lwowskim sarkazmem opowiadać zaczyna, jak go tu ni z tego ni z owego pewnej nocy przynieśli... policaje.

Bo ni z tego ni z owego przyszedł lwowskiej tromtadracji koncept uroczystego przeniesienia lewka z podwórza ratuszowego na górę Zamkową. Tszczono go więc z wielką paradą i pierwszego dnia zaniesiono aż do ul. Teatyńskiej. Policja jednak obawiając się dalszej demonstracji, uniemożliwiła ją w ten sposób, że nocą sama przeniosła lewka na Zamek – tak że dalsza procesja stała się w ten sposób bezprzedmiotowa.

Lwów cały „ryczał” ze śmiechu, a dwa lewki gubernialne, mniejsze, które strzegły wejścia do ówczesnego gmachu policji, mało nie pękły ze złości, że ich autonomicznego kolegę z ratusza taki spotkał honor ze strony władz rządowych. Co prawda i sam lew nie wiedział, po co go wytransportowano na kopiec i czysto lwowskim dialektem wołać miał: „Dalibóg, niech mnie piorun trzaśnie, *wenn ich weiss* na co oni mnie tu postawili i co ma znaczyć *diese ganze Geschichte*”, ale mimo to jubel był ogromny, a nawet znalazł się poeta, który wzniosła odą „łacińską” uczcił ten historyczny wypadek. Jest to *Ode in Leonem Magistratualem per Policajos in opcum transportatum*, w której autor opisu-

je, jak księżyc i gwiazdy osłupiały na widok policajów transportujących o północy lwa ratuszowego na kopiec, a kończy wzniosłą apostrofą i okrzykiem radości – teraz mamy na kopcu patrona wszechkołtuństwa:

Nunc habemus Leonem in Kopco, patronum Omnis coltuniae.

Ale noc już głucha zapadła, a w jej cieniach pełzną jakieś dziwne postacie, jaskrawo odziane dziewice obok jednostek odznaczających się efektownym strojem. Zachichocą od czasu do czasu puste przestrzenie lub krzyk się o nie odbije i zamrze gdzieś wspólnie z hukiem oddalającej się z Podzamcza lokomotywy, to wreszcie przeciągły się odzwie, wyuzdany śpiew.

Piosenka batiarów. Rycerze nocy wyszli na swoje gody.

A jednak ładny jest Wysoki Zamek i ciekawe czasem potrafi opowiedzieć historie.

FRANCISZEK JAWORSKI (1873–1914), ur. w Gródku Jagiellońskim. Szkołę średnią i studia prawnicze ukończył we Lwowie, pracował w magistracie lwowskim jako koncepcista i archiwista, dochodząc do stanowiska sekretarza magistratu. Od 1897 redaktor odpow. organu Stronnictwa Ludowego „Kurier Lwowski”, zamieszczał artykuły w tygodnikach lwowskich i warszawskich. Współzałożyciel i członek prezydium Tow. Miłośników Przeszłości Lwowa. Pisał felietony i opowiadania, był pisarzem-popularyzatorem przeszłości. Jako inicjator i redaktor „Biblioteki Lwowskiej” ogłosił szereg prac swego pióra na temat historii i zabytków Lwowa, w tym *Lwów stary i wczorajszy*, *O szarym Lwowie*, *Lwów za Jagiełły*, a także *Przewodnik po Lwowie i okolicy z Żółkwią i Podhorcami*. W latach międzywojennych zapomniany.



Leszek Sawicki

Korzenie, drzewo, złote liście (2)

KRÓTKA OPowieść O KLUBIE KWITNĄCEJ WIŚNI SPISANA PRZEZ «PASKARZA»

W wojsku. Tolek, Tula i ja wylądowaliśmy ostatecznie w 8. Zapasowym Batalionie Piechoty WP w Jarosławiu. Stasiu był u rodziców w Leżajsku, Bolu-Bolu – po drugiej stronie frontu (pod Warszawą), Jaśku szczęśliwie uniknął aresztowania wyjechawszy z Wesołej do Przeworska, tuż przed oblawą, dla zdawania matury (jeszcze tajnej). Wspieraliśmy się nadal, pomagaliśmy lokować się na batalionowych stanowiskach z „pisarzy”, na Wigilię ustroiliśmy własną klubową choinkę. Tula opuścił wojsko już w lutym 1945, po wyzwoleniu Krakowa (gdzie przebywali jego rodzice), zwolniony z powodu krótkowzroczności. Ja i Tolek dostaliśmy się w marcu 1945 do Oficerskiej Szkoły Lotnictwa w Zamościu, skąd – tuż przed końcem wojny – Tolek został zrzęcznie zwolniony z przyczyn zdrowotnych. Ja pozostałem w wojsku do marca 1947 r. w administracji Szkoły Lotniczej w Dęblinie jako „starszy pisarz 4. eskadry”, ale już w październiku 1946 zapisałem się na studia na Uniwersytecie Wrocławskim.

W lecie 1945 roku w Klubie nastąpił krótki okres „rozbicia dzielnicowego”. Odnaleźliśmy się wszyscy razem dopiero pod koniec 1945 roku. Większość zdążyła już zdać matury i rozpocząć studia. Radosny wspólny wieczór sylwestrowy wraz z naszymi lwowskimi przyjaciółkami odbył się w Gliwicach. Studiujący tutaj Tolek i Tula zdobyli dla siebie mieszkanie przy ulicy Kolberga, które dla Klubu stało się „Home nr 2”.

Studia. Wszyscy klubmeni studiowali i choć mieszkali w różnych miastach (Wrocław, Kraków, Gliwice, Łódź, Gdańsk), utrzymywali ze sobą żywe kontakty. Korespondencja odbywała się na zasadzie listu – „solitera”: sklejanego tasiemca, do którego każdy doklejał na końcu wiadomości o sobie i wysyłał następnemu, w kółko, według ustalonego koła obiegu. W tym czasie tradycja nasza wzrosła o wspólne wycieczki górskie: letnie w Tatrach i Beskidach – piesze, z ple-

cakami, i zimowe – turystyczne narciarskie, również wędrowne. Trwałą tradycją stały się też wspólne sylwestry, spędzane zawsze w schroniskach górskich. Klubmeni ukończyli następujące studia: Tolek – chemię w Gliwicach, Bolu-Bolu – medycynę wojskową w Łodzi, Jaśku – mechanikę w Gdańsku, Staszek – architekturę w Krakowie, ja – geologię we Wrocławiu. Tula, klubmen o najbujniejszej fantazji, uciekł w 1948 roku małą łodzią żaglową przez Bałtyk do Szwecji i tam, po latach trudnej egzystencji, ukończył w Goeteborgu politechnikę (wydział mechaniczny). Studia odbywaliśmy w głodno-chłodnych czasach, niektórzy samotnie, inni wspomagani przez rodziny, które w międzyczasie ekspatriowały się ze Lwowa.

Jasiek zmienił nazwisko z Dudryka na Darlewskiego. Mnie udało się odszukać korespondencyjnie kolegę z naszej klasy, Zbyszka Ojaka w Anglii.

Idee klubowe. Główną ideą, której w tym czasie hołdowaliśmy, była idea podróży morskiej dookoła świata, jaką mielibyśmy odbyć po zakończeniu studiów i zbudowaniu własnego jachtu. W tym kierunku szły nasze przygotowania, zdobywanie stopni żeglarskich, literatura. W miarę jak przed obywatelami PRL zamykały się granice, a warunki finansowe zacieśniały zaledwie do możliwości mieszkania, mebli i skromnego życia, cel ten coraz bardziej się od nas odsuwał. Później małżeństwa i zakładanie rodzin pogrzebały tę ideę całkowicie. Najdłużej podtrzymywał ten miraż Tula w Szwecji, widząc taką możliwość dla siebie w tamtejszym ustroju. Nasza ostateczna rezygnacja bardzo go przynębiła, zawiedliśmy go.

Tula i Tolek przez dłuższy czas żyli ideą morską, pływali po morzach otaczających Europę, a Tolek dosłużył się stopnia kapitana żeglugi wielkiej i przez wiele lat kierował szkoleniem żeglarzy na Śląsku. Niektórzy z nas emocjonowali się również wspinaczką wysokogórską.



Skład personalny. Do „Związku Pięciu Przyjaciół” Tula został przyjęty w 1944 roku; nie było go we Lwowie przy narodzinach Klubu w 1940 roku, gdyż wyjechał był wówczas z rodzicami do Generalnej Guberni. Małpa przestał się po jakimś czasie z nami kontaktować, ale zachował dożywotnio tytuł „Członka, Który Potem Odpadł”. W 1960 roku przyjęliśmy nowego członka – Wicia (Witolda Czerwińskiego), z gimnazjum Kistryna we Lwowie. W 1981 roku zmarł Bolu-Bolu, a Wicio w 1998 roku. Jest nas nadal pięciu, tak jak w formule tytułowej KKW.

Nowe tradycje. Z biegiem czasu utrwały się nowe tradycje, inne zanikały. Zamiasz wspólnych sylwestrów w górach (które zaniechaliśmy w 1960 roku) powstały „Wieczory Trzech Króli”, kontynuowane do 1988 roku. Trwałą tradycją Klubu jest „Święto Kwitnienia Wiśni” obchodzone na wiosnę. Jest to dwudniowy zazwyczaj zjazd połączony z bankietem, z imprezami (prezencja, film, teatr, atrakcyjna wycieczka itp), obchodzony co roku w innej miejscowości, w otoczeniu najbliższych z rodziny.

Wspólne zamięłowanie wszystkich klubmenów – to górską turystykę narciarską. Jesteśmy jednymi z ostatnich Mohikanów, którzy cenią sobie wycieczki zimowe na nartach, z plecakami i z mapą, na „fokach” podpinanych pod deski. Byliśmy (w 1959 roku) jednymi z pierwszych zdobywców Bieszczad zimą. Przeszliśmy na nartach wiele grani tatrzańskich i prawie wszystkie główne szlaki Beskidów. W latach 1948–1960 każdy tydzień wielkanocny spędzaliśmy w Dolinie Pięciu Stawów Polskich. Obecnie co roku odbywamy „wyrpę zimową” – tydzień na nartach w pierwszej dekadzie marca – w któ-

rymś z górskich schronisk lub pensjonatów w Beskidach. My, tj. klubmeni sami, bez żon.

Przez kilkanaście lat klubmeni z żonami i dziećmi wspólnie spędzali wakacje (w Murzasichlu, Białce i Krościenku), a później, gdy pojawiła się możliwość spędzania wakacji za granicą – w bułgarskim Sozopolu.

Nowe idee. Po upadku idei morskiej, nazwanej w Klubie „Round the World”, powstała nowa idea: podróży dookoła świata po trochę, czyli „RtW per partes”. Asumptem do niej był jednoroczny wyjazd Paskarza do Wietnamu, gdzie pracował jako geolog, i wyjazd Bola-Bola do Korei Północnej, jako lekarza Międzynarodowej Komisji Nadzoru i Kontroli. Zwolennikami tej idei są Jaśku i Paskarz. Odbyli oni wspólnie (też i ze swymi rodzinami) wiele trampingowych wypraw, początkowo po Europie, a następnie do Indii, Sri Lanki, Pakistanu, Birmy, Indonezji, Peru, Tanzanii, Kenii i Chin, w tym też i zdobywając szczyty górskie w Himalajach i Kenii. Inicjatorem tych i wielu innych wypraw był Paskarz, a każda z nich kończyła się wesołą imprezą z pamiątkami i okolicznościowymi piosenkami, organizowaną przez Paskarza i Magdę. Staszek odbył swą „podróż życia” do USA. Pozostali klubmeni są krajowymi domatorami, ale cenią sobie wycieczki górskie w Polsce.

Gry i zabawy tych lat. Każde spotkanie klubowe odbywa się na wesoło (choć prawie że zupełnie bez alkoholu; ten po latach studenckich nie jest częstym u nas napojem). Zawsze przygotowujemy jakiś element atrakcji lub humoru. Lista tych „klubowych szpasów” jest długa. Wiek ani stanowisko nie przeszkadza nam, aby czuć się wówczas jak w XI Budzie. Na XX-lecie Klubu we Wrocławiu (1960) został wypuszczony balon-sputnik (na ciepłe powietrze). Jeden z bali „Święta Kwitnienia Wiśni” odbył się w teatralnych perukach (nawet wyszliśmy w nich na miasto); na „Wieczór Trzech Króli” do Gliwic jechało pociągiem trzech króli w koronach; w Łańcucie w przerwie uczy jeździliśmy po parku karetami pocztowych Potockich.

Nakręciliśmy trzy krótkometrażowe filmy fabularne na wąskiej taśmie: „Miłość Hrabicza”, „Upadek Hrabicza” i „Syn Hrabicza”. O wydarzeniach w Klubie mówią ballady – „Piosenki Dziadkowe”, układane z okazji spotkań i uroczystości (głównie pióra Krysi i Jaśka Darlewskich). „Szpasy klubowe”, opowiedane naszym wnukom, cieszą się u nich zainteresowaniem. Niech dziadzio opowie...

Miejszem wielu spotkań klubowych stało się wybudowane przez Tolków „Ranczo” – domek w Grodźcu pod Skoczowem. Tamże był niezwykle uroczyste obchodzony jubileusz Klubu – 50-lecie KKW. Klubmeni w wieńcach ze złotych liści na głowach wspominali swą pięćdziesięcioletnią, wywodzącą się ze Lwowa przyjaźń.

PIOSENKA DZIADKOWA NA JUBILEUSZ 50-LECIA KKW

*odśpiewana przez Jaśka na Buczu,
2 czerwca 1990*

Dziadus, choć stary i już całkiem łysy,
Przyszedł na Buczę wylizywać misy,
Bo tu KKW obchodzi w niedziele
Złote wesele.

Wtrynłać się tutaj dziadus ani myślił,
Boć to zjazd Klubu jest Kwitnącej Wiśni,
Lecz zaprosiła go jedna dochtórka,
Klubmena córka.

Zaczął więc dziadus przypominać z trudem,
Kiedy to pierwszy raz się spotkał z Klubem
I wyszło mu, że było to we Lwowie
Na Łyczakowie.

Bardzo już dawno, przed pół wiekiem
prawie
Właśnie na pierwszej klubowej zabawie,
I wtedy dziadus, wzięwszy lirę w rękę
Śpiewał piosenkę.

Od tego czasu, dosyć regularnie,
Choć mu się nieraz powodziło marnie,
Przyjeżdża na Klubu uroczystości,
By bawić gości.

Był w dużych miastach i w niejednej dziurze,
Raz w Katowicach, raz w Grodźcu-Zagórze,
Ale najwięcej razy był w Gliwicach
I w Karłowicach.

A że Klubmenom często tylek swędział,
Więc jęli tego się po świetle szwendać.
Pod sprytnym hasłem ciągaliby swe gnaty
„Round the World” na raty.

Pierwszy był Tula, co mógł zginać marnie,
Gdy w sztorm kajakiem wypłynął z Jastarni,
Lecz wylądował – chociaż bez niczego
Na szwedzkim brzegu.

Następna postać dobrze wszystkim znana
To Kowalenko w randze kapitana.
Pływał po wielu morzach, od Bałtyku
Do Adriatyku.

Bolek, co raczej niewiele się ruszał,
– Dziś, Panie Boże, świeć nad Jego duszą –
Zrobił najdalszą wyprawę z kolei
Aż do Korei.

Staszek z początku w Er-ef-enie hasał,
Biegał po wyspie Fehmam na golasa,
Ale ostatnio przestawił swe szyki
do Ameryki.

Jasiek od lat zalicza górskie kraje,
Zwiedził był Alpy, Andy, Himalaje,
Kaukaz i Pamir, a w sercu Afryki
Szczyt Kenii dziki.

Ale są wszyscy przy Paskarzu zerem,
Bo on z nich najsłynniejszym globtroterem,
Co rusza dziś każdego prawie lata
Gdzieś na kraj świata.

Wicio jedyny z ferajny klubowej
Boi się wytknąć za granicę głowę,
Kręci się w kółko tylko w okolicy
Wisły i Szczawnicy. ▶



Znów razem po wojnie. Gliwice, styczeń 1946



- ▶ Dziaduś czasami z nimi się zabierał,
Tu sechł na słońcu, tam z głodu umierał,
A nawet latał – z sercem pod kolanem
Aeroplanem.

I chociaż pięknie było w Alma-Acie,
Na wyspie Bali czy w murzyńskiej chacie,
Czy też w Nairobi, Umie lub Bombaju –
Najlepiej w kraju.

A tutaj, gdzie się dzisiaj wszystko zmienia,
Dziaduś Klubowi składa swe życzenia,
Aby bez zmiany, poprzez dalsze lata
Zwiedził kęs świata.

Grunt. Klubmeni nie pozostawili rodzin we Lwowie, od którego do niedawna byli odcięci czerwoną kurtyną. Tradycje lwowskie, kulturowane przez nas, były do 1985 roku wyłącznie wspomnieniowo-sentymentalnej natury. Od 1986 roku zaczęliśmy żywo współdziałać z organizacjami kontynuującymi je. Paskarz i Jaśku (a wcześniej i Wicio) działają w Towarzystwie Miłośników Lwowa, są członkami zarządów, organizują różnorodne akcje, odwiedzali Łwów.

Drzewo. Klubmeni pożenili się, o dziwo, nie z lwowiankami (z wyjątkiem Paskarza, ożenionego z Magdą Konieczną, z Bogdanówki). I tak żoną Jaśka została Krystyna Szmyd z Krosna, Bola-Bola – Anna Baluch, również krośnianka, Staszka – Joanna Roguska z Radomia, Tolka – Barbara Gałuszka z Katowic, Wicia – Katarzyna Wolniewicz z Kalisza (zmarła); Paskarz, po śmierci Magdy ożeniony z Marią Sobolewską z Warszawy; Tula – ze Szwedkami (primo: z Kerstin, rozwiedziony, secundo: z Marianą). W większości ich domów są utrzymywane lwowskie tradycje. Żony szanują nasze

zamiłowania, pomagają w zjazdach, towarzyszą w uroczystościach.

Mieszkają: Tolek w Katowicach, Jaśku w Gliwicach, Staszek w Krakowie, Paskarz we Wrocławiu, Tula – na zmianę w Avignon i Goeteborgu.

Bolek spoczywa na Cmentarzu Powązkowskim w Warszawie, Wicio – na cmentarzu przy ul. Bujwida we Wrocławiu.

Gałęzie. Klubmeni mają łącznie 11 dzieci. Są to: Maria Darlewska-Turant (ur. 1954) i Tomasz Darlewski (1956), Joanna (Kowalenko) Sielicka (1953) i Ewa (Kowalenko) Kopczyńska (1956), Aleksandra (Sawicka) Maksymiak (1954), Agnieszka (Szczęk) Polańska (1952), Marcin Szczęk (1957), Maria (Janiszewska) Czerwińska (1957), Wojciech Janiszewski (1956), Marcin Czerwiński (1957). Zmarła Wanda-Solveig Martula. Dzieci są pożenione lub zamężne; wszystkie ukończyły studia wyższe. Wnuki klubmenów (których jest szesnaścioro) żyją w Gliwicach, Krakowie, Wrocławiu, Warszawie, w Wielkopolsce, w Beskidach i w RFN-ie

Dalszymi liśćmi na gałęziach klubowego drzewa są również Sprzymierzeńcy Klubu, którzy stanowią liczną gromadę, oraz Dobrodzieje Klubu, z których najznamienitszym jest Zbyszek jako opiekun Bola-Bola w czasie jego operacji w Londynie. Wspominamy serdecznie również innych nieżyjących Dobrodziejów: inżyniera Zbigniewa Opałka, gospodarza leśniczówki Wesoła, państwa Helenę i Tadeusza Darlewskich z Krościenka, Helenę Blicharską („Drumle”) z Janowa i innych, od których doznaliśmy wsparcia i serdeczności w chwilach dla nas ciężkich.

Praca zawodowa, osiągnięcia. Po zakończeniu studiów czterech klubmenów poświęciło się pracy naukowej (Jasiek, Tolek, Wicio, Paskarz) lub zawodowej medycznej (Bolu-Bolu), osiągając stopnie doktorskie; Wicio, Paskarz i Tolek – stopień docenta, Jasiek – tytuł profesora zwyczajnego. Staszek zajmował się architekturą historyczną (cerkwiami i bożnicami), ale był też m.in. urzędnikiem, prelegentem i kamieniarzem. Pełnili różne kierownicze stanowiska; najwyższe – Jasiek, jako dyrektor Insty-

tutu Budowy Maszyn na Politechnice Śląskiej w Gliwicach (wykładał również na wyższych uczelniach w Krakowie i Opolu); Tolek i Paskarz byli kierownikami placówek naukowo-badawczych (Tolek – również wykładowcą na AGH w Krakowie). Wicio stał się cenionym wykładowcą na wrocławskiej Akademii Rolniczej, znawcą fizjologii roślin; Paskarz był twórcą wielu map geologicznych Dolnego Śląska, a Tolek wielokrotnym wynalazcą i racjonalizatorem w dziedzinie materiałów budowlanych.

Przynależność partyjna: Tolek i Paskarz byli przez czas jakiś członkami Stronnictwa Demokratycznego, pozostali – bezpartyjni. Paskarz przez pięć lat pełnił społecznie funkcję ławnika sądu we Wrocławiu, a Jasiiek jest nadal przodownikiem Górskiej Odznaki Turystycznej PTTK.

Wszyscy byli członkami „Solidarności” w latach protestu. Wicio, aresztowany za prasę podziemną w 1982 roku, spędził trzy miesiące w więzieniu i został zwolniony przez uciążliwie działający sąd Śląskiego Okręgu Wojskowego. Karierę wojskową osiągnął tylko Bolek (zakończył służbę jako podpułkownik-lekarz); Paskarz dosłużył się stopnia starszego sierżanta. Pozostali unikali służby wojskowej jak ognia.

Złoty wiek, złote liście.

Z biegiem lat każdy z klubmenów zaczął prowadzić „swoje” życie, odległe od spraw młodości, „budy” i Lwowa, pełne większych czy drobniejszych kłopotów. Gdy jednak zejdziemy się razem – natychmiast odnajdujemy się na wyspie wspomnień, na której istnieją nadal realne lwowskie ulice, domy, ludzie, tercjan „Dziadzio” Ładuński z potężnymi wąsami, belfrowie, koledzy w granatowych mundurkach... Od tego się zawsze zaczyna; potem we wspomnieniach wracają potańcówki, syreny alarmowe, marsz do Sarzyny, kolory czapek akademickich, złamane narty, widok ze szczytu Babiej Góry...

Każdy temat wywołuje po sobie dalsze wspomnienia, odślaniają się kurtyny pamięci. Dlatego właśnie Klub jest dla każdego z nas odskocznią myślową, relaksem, miejscem w którym zawsze odnajdujemy się: młodzi, głupi i nie obciążeni balastem doświadczeń,



Wspólne wakacje w Murzaszchliu, 1958

jak gdyby życie można było przećwiczyć raz jeszcze.

Wszyscy klubmeni są dziś emerytami.

Wiśnia w ogrodzie na Łyczakowskiej nie istnieje, w miejscu tym powstały pięciopiętrowe bloki mieszkalne.

Tak pokrótce przedstawia się historia grupki przyjaciół ze Lwowa. Osiągnęli oni swój srebrny, a potem złoty wiek, przeszli przez wiryże i burze życia, otoczyli się rodzinami, żaden nie osiadł na mieliźnie. Cenią sobie to „wspólne przyjemne spędzanie czasu” mieszczące się raczej bliżej złotego środka celów i zamierzeń niż na ekstremach życia. Pozostawiają po sobie nieco słowa pisanego – książki, artykuły, skrypty, kronikę, trochę dobytku dla potomnych – domek w Beskidzie, mieszkania, jakieś niezbyt luksusowe samochody, fotografie, pudełka z kolorowymi przeźrociami... Oby pozostała pamięć o ich przyjaźni, która przetrwała od czasów lwowskich do dziś – przez ponad sześćdziesiąt lat. Przyjaźń – to wartość rzadko dziś spotykana, godna złotego wieńca ze złotych liści.

Wrocław, w sierpniu 2008



„Jeszcze Polska nie zginęła...” Członkowie Klubu Kwitnącej Wiśni na wydepcze, czerwiec 2008. Od lewej: Jasiiek Darlewski, Tolek Kowalenko, Leszek Sawicki

GROBY PRZODKÓW

Zniszczone groby przodków wołają i płaczą niezależnie od narodowości i wyznania. To podobnie jak mówienie źle o umarłych. Stare rzymskie powiedzenie mówi *De mortuis nihil, nisi bene* (O umarłych dobrze albo wcale), bo oni już się nie mogą bronić, a przecież każdemu oskarżonemu przysługuje obrona.

Minęły 63 lata od opuszczenia rodzinnego domu i moich rodzinnych stron. Początkowo tęsknota była wielka, ale czas leczy rany, a realia historyczne każą pogodzić się z losem. W ciągu tych ponad sześćdziesięciu lat byłam trzy razy w rodzinnych stronach i w moim rodzinnym domu. Ostatni raz w 2007 roku. I nie wiem, czy to wpływ czasu, czy mój wiek – 86 lat – wpłynęły na to, że nie przeżyłam tych odwiedzin tak intensywnie uczuciowo, jak w latach 70., gdy dom rodzinny zobaczyłam pierwszy raz po wysiedleniu.

Zawsze, gdy jestem w Kamionce Strumiłowej, odwiedzam kościół i cmentarz, na którym leżą moi dziadkowie i krewni. Nagrobki moich bliskich są zachowane, pomniki z piaskowca trembowelskiego z całkiem czytelnymi napisami, nawet z 1900 roku. Groby są zniszczone tylko wpływem czasu, a nie działaniem człowieka. Wokół wysokie zielska, ale trudno wymagać starania od obcych ludzi.

Na starym cmentarzu w Kamionce zachował się też w dość dobrym stanie duży ogrodzony grobowiec właściciela dóbr Wiśtockiego. Spoczywa tam sam ziemianin i jego syn, który zginął na wojnie z bolszewika-

mi w 1920 roku. Jak na ironię losu, kilka kroków dalej stoi duży pomnik żołnierzy radzieckich z ostatniej wojny. Pomnik jest okazały, a na jego szczycie mimo zmian politycznych i wielkiego przełomu zachowała się duża czerwona gwiazda. I takie dwa duże grobowce stoją prawie obok siebie i nikomu to nie przeszkadza. Oto autentycznym historyczny w najczystszy wydaniu.

Na tym samym cmentarzu zachował się też w dość dobrym stanie nagrobek ze zdjęciem Ludwika Sierpińskiego, ucznia 7 klasy gimnazjum starego typu z wczesnych lat 30. Ludwik był komendantem harcerstwa i zdobywcą I miejsca w gimnazjalnych zawodach pływackich na Bugu. Niedługo po zawodach utonął podczas kąpieli w tej rzece. Był jednakiem, jego ojciec pracował w szkole przemysłowej w Kamionce. Zawsze na Wszystkich Świętych harcerze pełnili wartę na grobie Ludwika. Do dziś jest rozpoznawalny na zdjęciu nagrobnym w mundurze harcerskim.

Wróciłam do Wrocławia. A ponieważ mieszkam na Oporowie, jadę do centrum obok Cmentarza Grabiszyńskiego. I pamiętam jeszcze, że w latach 50. wzdłuż ulicy Grabiszyńskiej stały, zachowane w dobrym stanie, duże, bogate grobowce niemieckie. W późnych latach 50. zostały rozbite i wywiezione jako gruz za miasto. W tym samym czasie zostało zniszczone krematorium i kolumbarium z urnami poniemieckimi na tym cmentarzu.

Pamiętam też, jak na przełomie lat 40. i 50. w centrum Wrocławia robotnik zbijał inskrypcje na budynku. Zwróciłam mu uwagę, że to nie niemieckie, ale łacińskie napisy, na co odburknął: „a co się pani na tym zna”.

Wiem, że w okresach przełomów dzieją się złe rzeczy, dyktowane nie rozważą a emocjami. Szkody tych działań widać dopiero wte-



Fot. Kazimierz Włech

Dokończenie na s. 70

MAMA FILIPPI

Jesień 1935, Lwów, ul Fredry 1. Na miękkich nogach weszłam po raz pierwszy do dyrekcji Gimnazjum im. Adama Mickiewicza. W wielkim, ciemnym pokoju siedziała za ogromnym biurkiem drobna postać. Z dwu okien za jej plecami padało na nią światło słonecznego dnia i rozświetlało dokoła głowy, jak aureolę, puszyste, siwe włosy. To było pierwsze wrażenie, zapamiętane na całe życie, jak czołówka filmu. Następne wrażenie dało pamięci film dźwiękowy: odezwał się głos cichy, miękki i pełen czegoś, co sprawiło, że przestałam się bać, a serce zalała fala trwałej i bezwzględnej ufności.

Do danych biograficznych, które udało mi się zestawić*, pragnę dodać osobiste wspomnienia.

1. Postać pani Olgi Filippi (tak zwano ją we Lwowie, a wśród nas, „Filipianek”, nazywałyśmy ją „Mamą Filippi”, co należy rozumieć jako najcieplejszą serdeczność) sama chwyciła za serce. Była to drobna pani, ubrana skromnie, ale elegancko, o pięknej głowie „rzymskiej matrony”, z chmurą puszystych włosów, wtedy już zupełnie siwych, ujętych w węzeł. Jasne oczy patrzyły z niezwykłą dobrocią, uśmiech rozświetlał piękną twarz.
2. Pani Olga miała w sobie wielką pogodę ducha i rzadkie poczucie humoru. Np. pewien mój „psi kawał” na Prima Aprilis musiałam przed nią powtórzyć, gdy jej o nim opowiedziano. Umiała się cieszyć cudzą młodością.
3. Dobroć „Mamy Filippi” była ogólnie znana, ale żadna z nas nie śmiała jej nadużywać, gdyż szczerze i powszechnie wielbiłyśmy naszą Panią Przełożoną. Stroje uczennic z wyższych klas były tolerancyjnie traktowane w naszej szkole. Przed maturą dostałam ładny płaszcz zimowy, ale jedna z koleżanek, córka biednej wdowy, miała nowy płaszcz znacznie ładniejszy, bogato przybrany futrem. Powiedziała mi w tajemnicy, że Pani Przełożona zaprowadziła ją do ele-

ganckiego sklepu i kazała sobie wybrać taki, jaki jej się najbardziej podoba. Było to „wiano” na chwilę opuszczenia szkoły, po latach ulgowych opłat i bezpłatnych kolonii. Jest to przykład nie tylko dobroci, dyskretnych gestów pomocy, ale także zrozumienia młodzieży, jej marzeń i kompleksów.

4. Pani Filippi czujnie pracowała nad tym, by formować charaktery nie tylko uczennic, ale i uczących. Sama była przykładem i zachętą. Jej osobistą zasługą był dobór grona nauczycielskiego: wszyscy byli naszymi przyjaciółmi, kochali i rozumieli młodzież. Mogłam to ocenić w pełni, porównując stosunki w innych gimnazjach, znanych mi osobiście.
5. Nasze gimnazjum słynęło z urodziwych dziewcząt. W moich latach 1935–37 pamiętam trzy piękności: Irka Łempicka, córka profesora UJK, uroda filmowa, bezbłędna (wywieziona do Rosji, następnie w II Korpusie – znów najpiękniejsza), Zosia Herbut, drobna, z oczami „jak filiżanki” (z jednej z najstarszych polskich rodzin rycerskich, nie znam jej losów) i Iwa Paszanda (nie znam jej losów), jasna blondynka o delikatnych rysach i ślicznej, aksamitnej cerze.
6. Sławek Żychowicz, syn Pani Przełożonej, był wysokim, przystojnym chłopcem i miał wśród uczennic mnóstwo wielbicieli. Studiował na Politechnice i był dość zarozumiały, czemu trudno się dziwić. Był zaręczony z naszą najpiękniejszą, Irką Łempicką. Podobno osiadł po wojnie na emigracji w Argentynie.

* Nie znamy tych materiałów.

Kto z Czytelników znałby dalsze losy koleżanek wymienionych przez Autorkę, a także innych – miałyby dziś około 85 lat? Ewentualne wiadomości zamieścimy w Archiwum Wschodnich Małopolan.

Przedstawiamy Czytelnikom niezwykle interesujące, ważne, można rzec – fundamentalne opracowanie śp. dra Tadeusza Krzyżewskiego, które zestawia polską literaturę na temat dziejów i kultury Lwowa, napisanej w różnych okresach historii i w różnych miejscach świata.

Pierwszy z tych okresów, najdłuższy, to literatura czasów staropolskich, wieku XIX (do I wojny światowej) i lat międzywojennych. Dla tego okresu Autor streścił podstawową pracę Łucji Charewiczowej, której 65. rocznica tragicznej śmierci przypadła w tym roku.

Okres drugi to literatura powstała w czasie II wojny i po wojnie, aż do upadku komunizmu, skromna ilościowo w Kraju, bogata na emigracji.

Autor ukończył swoją pracę w 1978 roku, to znaczy przed 30 laty (opublikowano ją rok później w londyńskim Biuletynie Koła Lwowian; tym samym artykuł nie jest dostępny przeciętnemu czytelnikowi w Kraju). Praca nad inną

jeszcze książką, a w końcu późne lata życia, a z drugiej strony niezwykła obfitość najnowszej literatury o Lwowie i Małopolsce Wschodniej (przede wszystkim krajowej) nie pozwoliły mu na podjęcie od nowa opracowania okresu współczesnego. Jest to więc zadanie dla młodego badacza, zainteresowanego utraconą trzecią stolicą polskiej kultury.

Do tekstu T. Krzyżewskiego wprowadziliśmy niewielkie korekty. Już we wstępnej dedykacji – aby nie mylić Czytelników – napisaliśmy o 90. (a nie 60.) rocznicy Obrony Lwowa, a nieco niżej o 70. (a nie 40.) rocznicy wydania ostatniego tomu „Biblioteki Lwowskiej”. W wielu miejscach podawane inicjały imion autorów książek zastąpiliśmy pełnym brzmieniem, wychodząc z założenia, że dla nowego czytelnika autorzy ci to już mało znana historia. Wobec upływu 30 lat od napisania poniższego artykułu wiele osób wtedy żyjących dziś nie żyje – przeto w szeregu miejsc, w informacjach o nich, zamieniliśmy czas teraźniejszy na przeszły.

Tadeusz Krzyżewski

MIŁOŚNICTWO LWOWA I JEGO POWOJENNI HISTORIOGRAFOWIE (1938–1978)

Ku uczczeniu 90. rocznicy Obrony Lwowa oraz pamięci doc. dr Łucji Charewiczowej, historyka, miłośniczki Lwowa i jego przeszłości, więzionej i zmarłej w Auschwitz w 47. roku życia.

Wśród rocznic lwowskich szczególnie pragniemy przypomnieć wszystkim miłośnikom Lwowa i jego dziejów, iż przed 70 laty, w 20. rocznicę Obrony Lwowa, ukazał się w naszym mieście ostatni tom *Biblioteki Lwowskiej*. Był to kolejny tom XXXVII, który ukazał się pod koniec 1938 r. pt. *Historiografia i miłośnictwo Lwowa* (str. 291, 52 ilustracje, w opracowaniu doc. Łucji Charewiczowej, sekretarza Towarzystwa Miłośników Przeszłości Lwowa).

Wydawanie *Biblioteki* zostało podjęte z początkiem XX w. (1906 r.), a jej ostatni tom stał się jakby ukoronowaniem pięknej wiedzy o Lwowie historycznym i współczesnym, opracowanym przez zna-

komitą znawczynię tematu, która w proroczym przeczuciu czekających miasto klęsk i zagłady jego historycznych osiągnięć w służbie ojczyźnej sprawy, dokonała epickim piórem zwieńczenia trudów i dążeń tych wszystkich, którzy pracowali nad materialnym rozkwitem miasta i jego sławą historyczną myślą, słowem i uczynkiem.

Książką tą, napisaną z miłością i głęboką znajomością dziejów rodzinnego grodu, zbudowała sobie zarazem epitafium pośmiertne Autorka, kustosz Muzeum Historycznego m. Lwowa. Chcielibyśmy, aby ten artykuł przywrócił pamięć tej Uczonej, męczenniczki sprawy niepodległości i całości Polski, która zmarła w kaźni oświęcimskiej, a w kraju nie doczekała się po wojnie stosownego wspo-



mnienia i miejsca w Panteonie Pamięci Narodowej, tak samo jak wiele Polek, bojowniczek sprawy narodowej z Ziemi Wschodnich.

W 1976 r. ukazał się w Warszawie wydany nakładem „Książki i Wiedzy” pokazny tom pt. *By nie odeszły w mrok zapomnienia. Udział kobiet polskich w II wojnie światowej*, gdzie o lwowskich patriotkach, szczególnie zaś tych wywiezionych i zamęczonych w sowieckich łagrach – nie ma ani słowa! W wymienionej książce zamieszczono osobny rozdział zatytułowany *Kobiety w KL Auschwitz-Birkenau* pióra Emeryki Iwaszko, ale i tam, jak i w indeksie nazwisk, nie znajdujemy żadnej wzmianki o śp. Łucji Charewiczowej.

Dlatego tym opracowaniem czcimy nie tylko pamięć Autorki *Miłośnictwa Lwowa*, ale i tych wszystkich Lwowianek-miłośniczek Lwowa i Ziemi Wschodnich, które zginęły w służbie Narodu i rodzinnego Grodu w latach 1939–1945.

* * *

Dorobek piśmienniczy, poświęcony dziejom Lwowa, jego zabytków i mieszkańców, przedstawia zespół prac o bardzo różnorodnym charakterze. W ich skład wchodzi zarówno prace naukowe, oparte na znawstwie metod i źródeł badania przeszłości, jak i amatorskie kompilacje zacieklej szperaczy archiwalnych i dyletantów, często bezradnych wobec ogromu wielojęzycznego materiału, nagromadzonego wokół burzliwych dziejów Lwiewego Grodu. Wszystkich jednak autorów i kronikarzy łączy jeden wielki sentyment, wywodzący się z chęci wykazania, że Lwów to wielka rzecz i wielkie jego znaczenie historyczne oraz narodowa wartość.

Ta wspniana przeszłość była i będzie zbiornikiem dążeń i uczuć szeregu pokoleń lwowian, a zwłaszcza tego ostatniego, ustępującego już, które jednak trwa jeszcze we Lwowie lub „tuła się po świecie”, przechowując w sercach i myślach jak skarb największy wspomnienie tego wszystkiego, co po dewastacjach i celowych zniszczeniach zaborców oraz okupantów pozostało polskiego we Lwowie i co zaważyć może na patriotycznym wychowaniu przyszłych pokoleń Polaków.

Bogactwo tematów jest wielkie i obejmuje różne dziedziny życia przedstawicieli kilkunastu narodowości działających we Lwowie. Sposób naświetlania tematu zależy od pochodzenia i przodków lwowian, spośród których

niemal każdy posiada w swym rodowodzie jakiegoś Ormianina, Niemca czy Austriaka, Węgra, Szkota, Czecha, Rumuna lub Włocha, Greka, Tatara czy Żyda, nie mówiąc oczywiście o zasiedziały, tubylczych Polakach lub Rusinach. Wyodrębnienie narodowości ukraińskiej w historiografii Lwowa zaczęło się na dobre dopiero w XX wieku, szczególnie w oparciu o tendencyjne i separatystyczne badania szowinisty ukraińskiego, jakim był prof. Michał



Hruszewski (1866–1934).

Jest w czym wybierać, toteż cały wachlarz dziejowych zagadnień omówionych przez Ł. Charewiczową został podzielony dla przejrzystości na 14 rozdziałów, w których oddzielnie naświetlono historiografię Lwowa za czasów Rzeczypospolitej niepodległej, ożywienie miłośnictwa przeszłości miasta w pierwszym okresie autonomicznym oraz rozwój badań naukowych *sub auspiciis universitatis* aż do czasów odzyskania niepodległości Polski.

Oddzielnie analizuje Charewiczowa współpracę polskich i ruskich badaczy przeszłości Lwowa – takich jak Dionizy Zubrzycki, Jan Wagilewicz, Izidor Szaraniewicz i ks. Antoni Petrusiewicz, by szczegółowo omówić okres wskrzeszenia tradycji staropolskiego Lwowa przez wielką trójkę dziejopisów – Wł. Łozińskiego, S. Schnur-Pełowskiego i F. Jaworskiego, a następnie przedstawić znakomitych popularyzatorów historii, obrony zabytków i przyrody Lwowa, jakimi byli J. Białynia-Chołodecki, Ignacy Drexler, J. Sas-Zubrzycki, B. Janusz i M. Opałek.

Dla rozbudzenia miłości do miasta i ugruntowania jego legendy szczególne znaczenie miała twórczość znakomitych pisarzy i literatów starszego i młodszego pokolenia: Jana Lama, Kazimierza Chłędowskiego, Ludwika i Zdzisława Dębickich, Juliusza Starkla, a zwłaszcza Stan. Wasylewskiego i Kornela Makuszyńskiego, którzy fikcją literacką łączyli umiejętności z najnowszymi odkryciami warsztatów naukowych miasta oraz badaniami historycznymi

uczonych szkół wyższych. (np. S. Wasylewski – *Lwów*, 1931 r.)

Osobno ujęła Ł. Charewiczowa historiograficzne poczynania rzemieślników lwowskich, artystów, miłośników sztuk pięknych, literatury i teatrów; sporo uwagi poświęciła historii rozwoju księgarstwa, zbiorów i bibliotek. Obszernie omawia historiografię kościołów i poczynania duchowieństwa wszystkich trzech obrządków, bogate *politica* i *militaria* lwowskie – z obszernym wyszczególnieniem wojennej roli Lwowa, dziejów wojennych oblężeń, zabory, germanizację w dziejach miasta i jej zwalczanie, niedole wielkiej wojny światowej oraz walki polsko-bolszewickie.

Sporo uwagi poświęca Ł. Charewiczowa historiografii najnowszych zagadnień urbanistycznych Lwowa, dziejom instytucji użyteczności publicznej, opieki społecznej, parków i cmentarzy.

Wreszcie wnikliwe naświetlenia doczekały się w tej pracy zagadnienia ukraińskiego ruchu historiograficznego we Lwowie do 1938 roku i dzieje tworzenia ukraińskiej wiedzy o naszym mieście; w rozdziale *Germanica-Armenica-Iudaica-Bohemica* omówiła autorka obcojęzyczne prace innych mniejszości narodowych, dotyczące Lwowa.

* * *

Sięgając do najdawniejszych drukowanych źródeł mówiących o Lwowie, za pierwszy historycznie, topograficzny opis miasta uważa Charewiczowa napisane po łacinie dziełko aptekarza Jana Alembeka (zm. 1636) pt. *Topographia civitatis Leopolitanae*, które ukazało się w VI tomie wydawnictwa *Civitates orbis terrarum*, wydrukowanego w Kolonii w 1628 r. W tłumaczeniu polskim opublikowane zostało dopiero w 1816 r.

Należy w tym miejscu nadmienić, iż wcześniej jeszcze – o czym nie wspomina Charewiczowa – bo w r. 1578, ukazała się w Weronie wydana po łacinie księga Aleksandra Gwagnina *Kronika Sarmacyej*, w której zamieszczony został krótki opis obronnych fortyfikacji Lwowa i jego organizacji miejskiej. W przekładzie na język polski dzieło to ukazało się już w r. 1611 w Krakowie, nakładem drukarni Mikołaja Loba.

Pierwszym jednak, któremu przystoi rzeczywiście miano *miłośnika przeszłości Lwowa*, był jego palestrant i pisarz miejski Józef Bartłomiej Zimorowicz (1597–1677), dla którego Lwów stał się „droższym ponad życie”. On to napisał po łacinie historię umiłowanego miasta, opartą na kronikach miejskich, doprowadzoną do 1633 roku i nazwał ją *Lwów troisty* (*Leopolis Triplex*) czyli Kronika m. Lwowa, obejmując okres ruski, zamknięty na 1292 roku, niemiecki do 1549 i polski do 1633 r.

Tłumaczenie polskie dzieła, dokonane dość zawiłą polszczyzną przez M. Piwockiego, ukazało się dopiero w 1835 r., toteż do znajomości Lwowa i popularyzacji jego przeszłości przyczyniły się przede wszystkim późniejsze, po polsku wydane, kompilacje historyczne ks.

Ignacego Chodynieckiego pt. *Historia stołecznego królestw Galicji i Lodomerii Miasta Lwowa...* (Lwów 1829, nakładem księgarni Pfaffa, wznowione przez Karola Wilda w tanim wydaniu w 1865 r.) oraz przez Rusina Dionizego I. Zubrzyckiego, po polsku napisane, źródłowe, aczkolwiek tendencyjnie ujęte *Kroniki m. Lwowa*, doprowadzone chronologicznie do 1782 r. (Lwów 1844, z drukarni Stauropigialnej).

Kroniki wzmożyły zainteresowanie przeszłością Lwowa, choć równocześnie wywołały silne sprzeciw w stosunku do orientacji politycznej autora, jednego z niewielu spotykanych wówczas w Galicji zwolenników jedności polityczno-kulturalnej Rusi z Rosją (carską).

Z tych źródeł wywodzą się także początki orientacji wschodniej niewielkiego odłamu ukraińskiego społeczeństwa lwowskiego, którego przedstawiciele nazywano potem pogardliwie „chachłakami”. Wyniki jednak II wojny światowej w sposób nieoczekiwany przyniosły realizację ich przewidywań i w dziejach Lwowa powstała nowa „formacja” historyczna, której historiografowie niewątpliwie dadzą nazwę *Lwów sowiecko-ukraiński*. Jest to już czwarte oblicze dziejowe Lwowa, nazwanego przez Zimorowicza *troistym*.

Po okresie wszechstronnie ugruntowanych prac uczonych, historyków tej miary co Fryderyk Papée (*Historia Lwowa w zarysie* II wyd. 1924), Władysław Łoziński, Aleksander Czółowski, Tadeusz Mańkowski, Ł. Charewiczowa, prof. Jan Ptaśnik, twórca własnej, historycznej



szkoły badawczej, Franciszek Bujak i jego szkoła ekonomiczna, Karol Badecki oraz tylu innych, wykazujących decydujący w ciągu 600 lat wpływ żywiołu polskiego na rozrost, dziejową prężność oraz kulturalną, promieniującą siłę Lwowa – ostatnia wojna przyniosła wraz z zaborem miasta i utratą jego polskiego oblicza, również upokarzającą niewolę kulturalną, wyrażającą się w całkowitym zakłamaniu lub negacji tego wszystkiego, co polskie w jego przeszłości. To zasadnicza cecha historiografii Lwowa, produkowanej na obszarach ZSRR, mimo iż publicyści sowieccy dobrze sobie zdają sprawę z roli kulturalnej i piękna tego miasta, ukształtowanego na najlepszych wzorach Zachodu przez Polaków.

Wystarczy zacytować ustęp z tłumaczonego na język polski przewodnika po ZSRR Sergieja Tołstoja, który pisząc o Lwowie używa superlatywów mocniejszych niż przy opisie rdzennych miast radzieckich: *...Ulice i place tego wspaniałego miasta podobne są do ogromnego muzeum – muzeum pod gołym niebem...* (Tołstoj S., *Mały przewodnik po ZSRR*. Kraków 1967, s. 119).

Ostatnią już chyba, rzeczową i obiektywną, choć z ukraińskiego punktu widzenia ujętą pracą informacyjną o naszym mieście, była napisana przez kobietę – Olenę Stepaniw, książka pt. *Współczesny Lwów*, wydana w okresie niemieckiej okupacji Lwowa (dr Olena Stepaniw, *Suczasnij Lwiw*, Lwów, Ukrain. Wydaw. 1943, s. 168). Oparta na obszernej literaturze fachowej polskiej i ukraińskiej, ma wszelkie cechy rzetelnego dokumentu, obrazującego położenie polityczne, stan gospodarczy i topografię Lwowa w wojennym roku 1942.

Mówiąc o niemieckiej okupacji należy wspomnieć o przedziwnej gazecie „gadzinowej”, jaka wychodziła we Lwowie w czasie od 10 sierpnia 1941 do połowy lipca 1944, pod znanym w dziejach galicyjskich nagłówkiem „Gazeta Lwowska”. Podobnie jak jej poprzedniczka, która pod redakcją Władysława Łozińskiego stała się żywym i niefałszowanym orędownikiem polskiego życia kulturalnego w stolicy dawnej Galicji, tak również wojenna „Gazeta” podjęła, nie przez wszystkich zrozumianą, lecz akceptowaną przez władze podziemne – inicjatywę, by stać się przedsta-

wicielem polskich potrzeb kulturalnych i przypomnieć to wszystko, co w dziejach Lwowa było związane z żywiołem polskim.

W „Gazecie Lwowskiej” pracował konspiracyjnie Stanisław Wasylewski i dzięki jego inspiracji redakcyjnej ukazało się na łamach tego czasopisma wiele wartościowych, często odkrywczych artykułów i przyczynków, dotyczących polskiej przeszłości miasta oraz jego mieszkańców.

W zespole, jaki zdołał wokół siebie skupić Wasylewski, nie brakło piór najlepszych popularyzatorów, piszących anonimowo lub pod pseudonimem, przy czym wśród wykorzystanych materiałów znalazło się wiele *leopolitanów* przygotowanych uprzednio dla uczczenia 600. rocznicy polskiego Lwowa, która przypadała na rok 1940.

Zważywszy, że było to jedyne oficjalne pismo codzienne wydawane w języku polskim dla szerokiej mas ludności polskiej, liczącej wówczas w *dystrykcie Galicji* ponad 2 miliony osób, nie można nie docenić wpływu kulturalnego tej gazety *dla pokrzepienia serc* tej części mieszkańców ziem wschodnich, która znajdowała się w defensywie wobec naporu ludności ukraińskiej.

Do tematyki historiograficznej tego dziennika należałoby powrócić i starać się w formie antologii ocalić przynajmniej częściowo od zapomnienia najbardziej wartościowe *leopolitana*, które zostały opublikowane na łamach tej rzekomej „gadzinojki”, dopóki istnieje kilka jej kompletów zachowanych jeszcze w bibliotekach krajowych.

Ażeby zakończyć rozważania, dotyczące ukazujących się podczas i po wojnie we Lwowie oraz w ogólności na wschód od Bugu innych materiałów, związanych z dziejami naszego miasta i ziemi lwowskiej, należy podkreślić, że przy ich wydawaniu kierowali się autorzy przede wszystkim możliwością wyeksponowania jego rzekomej, rewolucyjnej przeszłości ukraińsko-sowieckiej. Przemilczanie czy wprost wymazywanie polskiej przeszłości z życia mieszkańców Lwowa było w pierwszych latach powojennych tak nachalne, że w obronie swej narodowej identyczności musieli lwowiacy uciekać się do różnych demonstracji i wybiegów.

Ilustruje je najlepiej anegdota o zaciętym lwowiaku, który w obliczu śmierci pole-



cił umieścić na własnej klepsydrze wyrażne wyjaśnienie, identyfikujące jego lwowską przynależność: ... *obywatel m. Lwowa, urodzony w Austrii, żył w Polsce, umarł w ZSRR, nie wyjeżdżając ze Lwowa...*

Urzędowa odraza do łączenia pojęć *Lwów* i *Polska* przeniosła się także na teren PRL i znajdowała swoje odbicie np. w praktyce wystawiania paszportów. Do niedawna na paszportach obywateli urodzonych we Lwowie zamieszczano jedynie klauzulę *urodzony w ZSRR* bez podawania miejscowości. Ponieważ jest to niezgodne z przepisami wymagającymi miejscowości urodzenia, na paszportach wystawianych obecnie umieszcza się tylko nazwę *Lwów*, bez określenia państwowej przynależności miasta, którą w chwili urodzenia petenta była Polska.

Noc dezinformacji historycznej zaciągnięta nad krajami bloku wschodniego przeciera się bardzo powoli...

POWOJENNA HISTORIOGRAFIA LWOWA W KRAJU

Ewolucje historiograficzne obowiązujące przy pisaniu o Lwowie i Ziemi Lwowskiej można podzielić z grubsza na trzy etapy, związane z nazwiskami przedstawicieli władzy partyjnej w PRL. Najbardziej rygorystyczne były zakazy „za Bieruta”, kiedy to ustalono zasadę, że w historiografii krajowej istnieje tylko *Lwów galicyjski*, jako stolica dawnej prowincji austriackiej, a o polskim Lwowie lat międzywojennych pisać *niezła!* Zbyt świeża i bolesna była rana zadana organizmowi polskiemu przez oderwanie „trzeciej stolicy” od Macierzy, więc trzeba było wytworzyć próżnię informacyjną, aby Polacy w tym powojennym *stanie nieważkości* zapomnieli o znaczeniu historycznym, kulturalnym i gospodarczym kresowego miasta.

Po przełomie październikowym 1956 r., „za Gomułki”, wraz z odwilżą polityczną nadciągającą z obszarów imperium sowieckiego po załamaniu się kultu Stalina, trzeba było rozluźnić kleszcze cenzury także i w Polsce. *Lwów* wypłynął na szpalty gazet w relacjach kilku reportażystów jako kwitnąca stolica Zachodniej Ukrainy Radzieckiej, a nawet z okazji 700-letniej rocznicy założenia Lwowa, jaką obchodzono w listopadzie 1956, zauważono istnienie w tym mieście niewielkiej, bo przekraczającej zaledwie 20 000 osób mniejszości

polskiej. W dalszym ciągu jednak tolerowano tylko galicyjskie przyczynki historiograficzne związane ze Lwowem, wspomnienia o strajkach robotniczych, komunizującym Kongresie Pracowników Kultury w maju 1936 i działalności redagowanego we Lwowie przez Kuryluka, również lewicowego tygodnika „Sygnały”.

Pojawiły się wówczas także wartościowe wspomnienia literackie o pewnym pięknym mieście na Wschodzie, którego ulice są wszystkim doskonale znane, ale nazwa – niestety trudna do wymówienia w myśl starożytnego ostrzeżenia: *nomina sunt odiosa!* Spróbujcie znaleźć nazwę *Lwów* w uroczych opowiadaniach Parandowskiego *Zegar słoneczny* (już 8. wydanie ukazało się w kraju) czy łyczakowskich relacjach młodzieńczych Witolda Szoligini *Dom pod żelaznym lwem...*

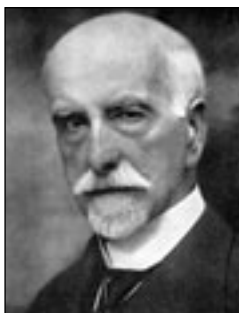
Pomimo wszystko okres ten zaowocował największą liczbą wydawnictw historycznych i wspomnieniowych o naszym mieście.

Na trzecim etapie, „za Gierka”, pamiętliwa cenzura dopuściła przede wszystkim do szeregu wznowień literackich, pamiętników i relacji wojennych, nierzadko pisanych przez rosyjskich uczestników wyprawy wojennej na zachód, ale pod pretekstem braku

papieru ograniczono nakłady wydawnictw, których ośrodkiem jest *Lwów*, do liczby egzemplarzy koniecznych dla zaspokojenia potrzeb jedynie kilkuset bibliotek w Polsce. Tak np. rozprawa polonistyczna K. Poklewskiej o *Galicii romantycznej 1816–1840* wydana została w Warszawie w roku 1976 w 1200 egzemplarzach, większy artykuł T. Krzyżewskiego pt. *Weterani lwowskiego czasopiśmiennictwa humorystycznego 1834–1918* przyjęto do druku w „Kwartalniku Historii Czasopiśmiennictwa Polskiego” w 1976 roku, ukazującym się w 800 egzemplarzach, przy czym nakład tego kwartalnika przeznaczony dla wybranych – zmniejszono w r. 1978 – do 500 egzemplarzy!

Chronologicznie biorąc, zaraz po zakończeniu działań wojennych w latach 1945–48 przystąpili nieliczni, uratowani z zagłady Żydzi polscy do udokumentowania swych straszliwych przeżyć, które także we Lwowie miały swój ponury odpowiednik w postaci likwidacji przez hitlerowców getta i obozu janowskiego.

Zważywszy, że przed wojną blisko 1/3 mieszkańców Lwowa podkreślała swoje pocho-



dzenie żydowskie, jest ta „literatura zagłady” wstrząsającym dokumentem końca nie tylko pewnej epoki w dziejach naszego kraju, lecz również zjawiskiem towarzyszącym likwidacji polskiego Lwowa. Dlatego ta część historiografii o naszym mieście powinna być znana każdemu rodowitemu lwowiakowi.

Najbardziej dramatycznym piórem w tym zakresie rozporządza Maksymilian M. Borwicz (Boruchowicz), który wydał w serii dokumentów Wojewódzkiej Żydowskiej Komisji Historycznej w Krakowie m.in. *Uniwersytet zbiorów* oraz *Literaturę w obozie* – dotyczące janowskiego obozu śmierci, jego życia, twórczości literackiej, a następnie likwidacji. Równie ważnym, zwiększył dokumentem jest praca dr. F. Friedmana *Zagłada Żydów lwowskich*, L. Weliczкера *Brygada śmierci* (pamiętnik z obozu janowskiego) oraz spisany odręcznie w latach 1941–42 dziennik 12-letniej Janki Hescheles pt. *Oczyrna 12-letniej dziewczyny* (Kraków 1946).

W tym chudym dla Lwowa okresie krajowego ruchu wydawniczego lwowiacy podawali sobie z rąk do rąk jako curiosum książkę Jana Parandowskiego *Niebo w płomieniach* (1947) oraz pochodzącą z ekonomicznego seminarium prof. F. Bujaka, który osiadł w Poznaniu – pracę historyczną Janiny Bieleckiej *Kontrakty lwowskie 1768–1775*. (Poznań 1948).

Najbardziej jednak wartościową pozycją tego okresu były, uchodzące za sensację obyczajową, dwutomowe *Pamiętniki* Kazimierza Chłędowskiego, znakomitego eseisty, historyka i wytrawnego znawcy obyczajowości, byłego ministra ds. Galicji. Pamiętniki te przygotował do druku i wstępem opatrzył prof. Adam Knot (Wrocław, II wyd. 1957). Było to wówczas jedyne dzieło historyczno-obyczajowe przedstawiające życie stolicy Galicji w latach 1870–1880, barwnie, interesująco i złośliwie, jeśli chodzi o osobistości życia politycznego i kulturalnego, nadające ton ówczesnej epoce. Zgodnie z życzeniem autora ukazały się one dopiero w 30 lat po jego śmierci, gdy z dawnej monarchii austro-węgierskiej nie pozostał kamień na kamieniu, zrabowany Lwów przepadł zarówno dla Polski, jak i dla Austrii, pojęcie *galicjanin* stało się mitem historycznym, a złośliwe wspominki o dawnych działaczach



politycznych, które miały być rewelacją dla potomnych, prowokują obecnie do uśmiechu tylko wyrozumiałych historyków i łowców pieprzonych anegdot. Pozostały jednak ciekawym dokumentem obyczajowym, z którego można się dowiedzieć, jak Galicjanie lat autonomicznych jedli, pili, jak mieszkali, jak się kłócili i rządzili.

Dając wyraz przemożnej chęci nawrotu do lwowskich tradycji, próbowali wrocławscy lwowiacy zaraz „po październiku” reaktywować tygodnik pt. „Nowe Sygnały”, publikując w latach 1956/1957 kilka oryginalnych dialogów Szczepka i Tońka oraz wprowadzając na łamy tego czasopisma dowcipne, lwowskie migawki wspomnieniowe, pisane przez „Pacalychę”, znakomicie ilustrowane karykaturami K.

Baranieckiego. Pochodzący ze Lwowa redaktor Leszek Goliński (zm. 1967), umieścił w „Nowych Sygnałach” kilka wnikliwych esejów o dziejach lwowskiego ruchu literackiego w czasie wojny, szczególnie zaś informacje dotyczące twórczości Grupy Młodych Poetów Lwowa „Żagiew” w latach 1942–44. W 1957 ogłosił Goliński także powieść autobiograficzną pt. *Rocznik szesnasty* – ze swej młodości spędzonej

w latach 1934–1938 w murach gimnazjum lwowskiego, oczywiście w niewymienionym z nazwy mieście.

Wkraczając poza ustalony szablon publicystyczny inicjatywa wrocławska została przez cenzurę „prawidłowo” oceniona i pismo doczekało się likwidacji zaraz po nagłym zdławieniu chlubnej pamięci słynnego z odwagi i prawdomówności tygodnika warszawskiego „Po prostu” (1958 r.)

Pożyteczną działalnością wydawniczą podjęło lwowskie, a obecnie wrocławskie „Ossolineum”, wznawiając publikacje najcenniejszych dzieł St. Wasylewskiego (zm. 1953 r.), oczywiście z wyjątkiem monografii *Lwów*, ale za to wzbogacone o nowe pozycje wspomnieniowe tego poczytnego autora pt. *Pod kopułą lwowskiego Ossolineum* (1958) oraz *40 lat powodzenia. Przebieg mego życia* (1959) – prawdziwa kopalnia gawędziarskiej wiedzy o życiu i ludziach międzywojennego okresu we Lwowie. Jeszcze wcześniej ukazały się w tym wydawnictwie *Wspomnienia ossolińskie* prof. S. Łempickiego (1948) oraz wydane w War-

szawie 1957 r. *Złote paski* – wspomnienie szkoły galicyjskiej z lat 1900–1905 oraz 1934, dotyczące losów wychowanków V gimnazjum bernardyńskiego.

W latach 1957–59 cykl reportaży o Lwowie współczesnym zamieścili w czasopismach krakowskich: M. Kupłowski, Janusz Roszko, Jan Kalkowski, Jan Paweł Gawlik; w prasie warszawskiej zaś Jerzy Janicki.

W tych latach ukazały się także literackie opracowania wspomnieniowe, dotyczące losu uratowanych z pogromu Żydów lwowskich, jak np. Jerzego Broszkiewicza *Oczekiwanie* (I wyd 1947, IV wyd 1972), Ady Kessler *Nie chcę nocy* – wspomnienia z lat 1939–1945 (Poznań 1962); Julian Strykowski zrelacjonował dzieje ruchu komunistycznego we Lwowie przed wojną i w czasie okupacji w powieści *Czarna róża* (1962), zaś ówczesny dyplomata Marian Naszkowski, absolwent polonistyki UJK, naświetlił rolę komunizmu w życiu młodzieży akademickiej i dzieje działaczy prosowieckich we Lwowie oraz w ZSRR w latach 1934–1945 w dwu źródłowo, choć stronniczo opracowanych tomach *Niespokojne dni* (1958) i *Lata próby* (1965).



Do kuriozalnych pozycji wy-dawniczych tego okresu należy zaliczyć powieść Julii Prajs (Bristiger) pt *Krzywe litery* (W-wa 1960). Autorka – pułkownik UB, zm. 1972, znana była we Lwowie, a potem w Warszawie jako „krwawa Luna”; w powieści swej omawia walki polsko-ukraińskie lat 1918/19, opisując m.in. zmagania o dworzec główny, w których brali udział H. de Laveaux, kpt. Bartel i „Nils”-Łapiński, przy czym uważa oczywiście, że *Galicja Wschodnia i Lwów powinny zostać ukraińskie*. Niezależnie od powyższych okoliczności nie można autorce odmówić pewnego talentu literackiego.

Życie młodzieży przedmieścia gródeckiego w czasie okupacji i walkę podziemną z niemieckimi żołnierzami i policjantami opisuje na podstawie dziennika osobistego, prowadzonego w latach 1941–1943 Jacek Wilczur: *Do nieba nie można od razu* (wyd. „Książka i Wiedza” 1961).

Spśród lwowskich wspomnień osobistych drugiego i trzeciego okresu trzeba wymienić J. Parandowskiego: *Akacja* – opowiadania, W-wa 1967; M. Opalka *Ze wspomnień biblio-*

fila – Wrocław 1963; oryginalne i już w tytule prowokacyjne: *Wysoki Zamek* – młodzieńcze wspomnienia naszego mistrza „science fiction” Stanisława Lema (zdobyły III nagrodę Radia WE jako jedna z najlepszych książek polskich roku 1966!), dalej *Wspomnienia* Maryli Wolskiej i Beaty Obertyńskiej, lwowskie pamiętniki matki i córki, napisane polszczyzną klarowną jak kryształ (W-wa 1974); *Odfamki wspomnień* (lwowskich) Wiktora Frantza (1972 r. – obszerna recenzja S. Legeżyńskiego w Biuletynie Koła Lwowian, Londyn nr 25) oraz prof. Bogdana Zakrzewskiego *Fredro i Fredrusie*, relacjonujące na podstawie korespondencji ostatnie lata życia Fredry oraz jej rodziny na Chorążczyźnie (Wrocław 1974).

Stosunkowo najbardziej wszechstronnego

opracowania doczekał się w latach powojennych teatr lwowski, którego dzieje po dawnych galicyjskich monografiach S. Schnür-Pepłowskiego obejmujących lata 1780–1890, omówiono w następujących źródłowych dziełach: Franciszek Pajączkowski – *Teatr lwowski pod dyrekcją Tadeusza Pawlikowskiego 1900–1906* (Kraków 1961), Barbara Lasocka – *Teatr lwowski w latach 1800–1842* (W-wa 1967) i Jerzy Got

– *Na wyspie Guaxary. Wojciech Bogusławski i teatr lwowski 1789–1799* (Kraków 1971).

Repertuar i dzieje teatru w okresie 1918–1945 omówili oddzielnie w swych wspomnieniach dyrektorzy sceny lwowskiej: Janusz Warnecki (Kozłowski) – *Mój najdłuższy monolog* (W-wa 1971) oraz Bronisław Dąbrowski – *Na deskach świat oznaczających* (Kraków 1977). Nawet lwowskie recenzje teatralne, pisane przez Jana Paradowskiego w latach 1919–1929 odnalazły się we wspólnym zbiorze tego autora pt. *Kiedy byłem recenzentem* (W-wa 1963).

Poza tym Ossolineum i krakowskie Wydawnictwo Literackie kontynuują wydawanie galicyjskich pamiętników z XIX wieku, spośród których należy wymienić jeszcze Ludwika Jabłonowskiego *Pamiętniki* w opracowaniu K. Lewickiego (1963); Aleksandra Batowskiego *Diariusz wypadków 1848 r.* w opracowaniu i ze wstępem prof. Mariana Tyrowicza (recenzja w BKL nr 28). Niestrudzony ten wydawca i biograf mimo podeszłego wieku kontynuował swą działalność edytorską w zakresie

galicjanów. Stał się również biografem kolejnych prezydentów autonomicznego Lwowa oraz działaczy galicyjskich, których życiorysy zamieszczał regularnie na łamach Polskiego Słownika Biograficznego. W 1978 roku ukazały się w Krakowie b. starannie wydane *Pamiętniki urzędników galicyjskich* – B. Gregorowicza i J. Doboszyńskiego (recenzja w BKL nr 36).

Ponadto Lwów galicyjski znajduje swe stołeczne miejsce i ogólne naświetlenie historyczne w pracach zawodowych historyków – profesorów UJK i UJ – Henryka Wereszyckiego *Historia Austrii* wyd. w 1972, *Pod berłem Habsburgów* – 1975, oraz Stanisława Grodzkiego *W królestwie Galicji i Lodomerii*, Kraków 1976. W 1979 roku ukazała się nakładem Wydawnictwa Literackiego wyczerpująca praca prof. Tyrowicza o pierwszych lwowskich i krakowskich czasopismach, wydanych przed r. 1850, pt. *Prasa Galicji i Rzeczypospolitej Krakowskiej 1772–1850, Studia porównawcze*. Także w 1995 roku wydano obszerny, historycznie naświetlony wybór humorystyki lwowskiej – *Księga humoru lwowskiego* Tadeusza Krzyżewskiego.

HISTORIOGRAFIA LWOWA NA EMIGRACJI

Jeszcze trwała wojna, jeszcze nikt spośród Lwowiaków nie dopuszczał do siebie myśli, że jego najdroższe miasto, najbardziej wierne spośród miast polskich – może być „przekazane” bez walki jednemu z najeźdźców wojennych, gdy dla spragnionych tematyki lwowskiej żołnierzy i uchodźców „z domu niewoli” wznowiono w Jerozolimie wydaną w 1931 r. monografię S. Wasylewskiego *Lwów*.

W ślad za nią, już w 1943 r. ukazała się wydana w Glasgow praca historyczna Stefana Mękarskiego (pod nazwiskiem „Rudnicki”): *Lwów – karta z dziejów Polski*, wskazująca na polskość i dziejowe powiązanie miasta z Macierzą (III wyd. powiększone 1982). Równocześnie K. Ryś relacjonuje w wydanej w Palestynie broszurze o nowej *Obronie Lwowa r. 1939*. Józef Mackiewicz rozpoczyna wydawanie czasopisma „Lwów i Wilno” (1942 r.), C. Smogorzewski pisze *Lwów i Wilno*, zaś Komitet Org. Związku Ziemi Południowo-Wschodnich przypomina w Londynie o *600-leciu powrotu Grodów Czerwieńskich do Polski* (1943) oraz

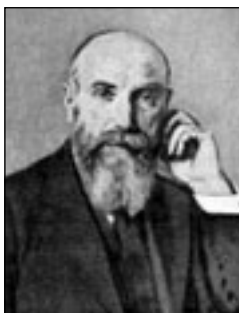
o znaczeniu dla Polski tej ziemi w pracy *Ziemia Wschodnie* (Londyn 1943).

Od chwili zakończenia wojny, bez względu na orientację polityczną, bez względu na rozrzut osiedlenia lwowskich uchodźców na globie ziemskim i ich zasoby materialne, rozpoczyna się historiograficzna wojna drukiem, pieśnią, słowem i uczynkiem z tymi, którzy chcieliby zaprzeczyć zapisanej w sercach lwowskich prawdzie: *...I każdego szkoda słowa, jakaż Polska, ta bez Lwowa?...*

Bez Lwowa, którego bohaterską młodzież wspominają z uznaniem nawet cudzoziemcy, poświęcając jej najserdeczniejsze rozprawy takie, jak wydana po angielsku przez Rosę Bally: *A city fights for freedom. A rising in Lwów* (London 1956); wokół którego oplatają się najbardziej żywe wspomnienia, stanowiące pożywkę dla twórczości całego życia: Józef Wiltin – *Mój Lwów* (II wyd. Londyn 1975); Kazimierz Schleyen: *Gawędy lwowskie* (II wyd. Londyn 1967), I. Wieniewski: *Kalejdoskop wspomnień* (Londyn 1971) czy też rozważania dyplomaty J. Frylinga, spisywane na całym świecie, ale zawsze z myślą o rodzinnym Lwowie pt. *Złote litery, srebrne litery* (Londyn 1974, recenzja M. Wagnera w BKL nr 28).

Jedno jest chyba miasto na świecie, któremu poświęcono tak płomienne i niegasnącą miłością przepelnione strofy, jak *Kantyczki lwowskie* Mariana Hemara zebrane w tomie *Chlib kulikowski* (Londyn 1971) oraz tak rzeczowo i przyjaźnie traktujące swych uczonych, jak np. matematyków, o których pracy we Lwowie i jej wynikach wierną relację podał w Nowym Jorku S.M. Ulam, matematyk światowej sławy (*Adventures of a Mathematician*, 1976).

O mieście tym piszą i nie przestaną pisać Lwowiacy, zrzeszeni w regionalnych Kołach Lwówian na całym globie, a zwłaszcza w Chicago, gdzie ostatnimi czasy ukazały się takie wydawnictwa: „Orleńta”, miesięcznik wydawany w latach 1955–1956; wspomnienia Zdz. Czernańskiego: *Kraj lat dzieciennych* (1971); J. Szygowski: *Tak się zaczynało* (we Lwowie, 1972); w Los Angeles: *Pamiętnik Lwowa* (1968); w Kanadzie w Toronto w tygodniku „Głos Polski” M. Elbich zamieścił w 1976 r. cykl 9 felietonów pt. *Lwów – miasto serc*; w Szwecji wychodzi „Głos Lwowa”, wydawany przez tamtejsze Koło Lwówian.



W Australii – zmarły w 1978 r. Andrzej Chciuk, ostatni w świecie autor piszący bałakiem w prozie i wierszu (w kraju wiersze takie pisał tylko W. Szolginia), wydał swój urzekający indywidualnym odczuciem Lwowa *Pamiętnik poetki* (Melbourne 1961) oraz opublikował nakładem Polskiej Fundacji Kulturalnej w Londynie wspomnienia: *Atlantyda. Opowieść o Wielkim Księstwie Bałaku* (1969) i *Ziemia księżycowa* (1972) – raz jeszcze przypominające środowisko lwowskie, które zbierało się na sympozjach artystów w Knajpie Literackiej „Atlasa” – Edzia Tarlarskiego.

Ogniskiem i soczewką, skupiającą przez parędziesiąt lat wysiłki historiograficzne lwowiaków rozsianych po świecie, jest nasze Koło Lwowian. Na kartach „Biuletynów” wydawanych przez Koło półrocznie, w „Zeszytach Lwowskich” i monografiach, udało się Zarządowi Koła powiązać w harmonijnej współpracy najwartościowsze pióra i autorytety fachowe, ze zmarłym w 1982 r. prezydentem prof. S. Ostrowskim na czele. Ich na razie bezowocna, ale wytrwała walka o polskość Lwowa i jego powrót do rodziny wielkich miast polskich oparta jest na prawdzie historycznej i długofalowej, polskiej racji stanu.

Różnorodność treści „Biuletynów”, ugruntowana pod kierownictwem gen. Stanisława Kuniczaka i wzbogacona pod redakcją mgra Adama Treszki [obu już niestety nieżyjących], spełniała kompleksowo rolę bieżącej kroniki oraz rejestratora faktów czy wydarzeń na emigracji, związanych z historią i terażniejszością Lwowa. W tym zakresie przejęło to wydawnictwo na obczyźnie rolę historiograficzną, którą w kraju pełniła *Biblioteka Lwowska*.

Zasługą Koła i londyńskiego ośrodka wydawniczego było przede wszystkim utworzenie podstawowego „korpusu” historiografii Lwowa przez wydanie 3 edycji książki S. Męcarskiego *Lwów – karta z dziejów Polski*, ujmującej zwięźle i całościowo historię miasta; opublikowanie w 1974 roku przez Polską Fundację Kultury i Fundację Lanckorońskich dzieła prof. Tadeusza Mańkowskiego *Dawny Lwów – jego sztuka i kultura artystyczna*, które jest monografią architektury miasta w jej dziejowym rozwoju po wiek XIX, oraz wydanie ukończonego w 1977 r. liczącego 540 stron (7 zeszytów) zbioru folklorystycznego *Lwowskie*

piosenki. Zapoczątkowana przez dr. Stefana Uhmę w kraju, zredagowana i twórczo uzupełniona przez dr. Mariana Wagnera w Londynie, jest ta księga skarbnicą pieśni i anegdot oraz ciekawostek obyczajowych Lwowa i stanowi godną reprezentację naszego miasta w wielkim ogólnopolskim dziele etnograficznym stworzonym w XIX wieku przez Oskara Kolberga.

„Korpus” tak ujęty jest bazą dla kontynuacji twórczych prac w zakresie dociekań historycznych, artystycznych, architektonicznych i folklorystycznych, a na przyszłość stanowi podstawę odbudowy niezapomnianej atmosfery życia i dziejów kultury naszego Grodu.

* * *



Zaprezentowany w niniejszym opracowaniu fragmentarycznie – ze względu na ograniczone rozmiary artykułu – dorobek globalny ostatnich 40 lat historiografii Lwowa, świadczy o nieprzemijającej żywotności tematyki, tworzącej potężną siłę napędową dla lwowiaków, dążących do wywalczenia polskiego Lwowa i jego powrotu w granice niepodległej Rzeczypospolitej.

Trzeba podkreślić na zakończenie, że historiografia powojenna naszego miasta domaga się opracowania jeszcze jednego, wieńczącego dzieła popularyzatorskiego, które dokonałoby wielkiej syntezy dziejów, bohaterskich walk i męczeństwa obywateli Lwowa w imię jego przynależności do kultury zachodu; dzieła, które zobrazowałoby jego tężyźnię, hart, niezwalczony optymizm i upór w służbie wielkości naszego Kraju, tworząc wizję Miasta, dla którego i w którym warto żyć, wierząc, że w razie potrzeby warto także dla Niego umrzeć. Wizję tak piękną, że i następne pokolenia entuzjastów Lwowa odczuwałyby to samo wzruszenie, jakie w nas wzbudza dawny wiersz miłośnika Lwowa Mieczysława Opałka:

*Miasto wież dumnych i zielonych wzgórz,
Powiedz nam, miasto, jak to się stało,
Żeś ty jest dla nas jak upojna kruż
I nasze serca łatwo zwojowało?...
Żywoć twój ciężki nie płynie wśród róż,
Z dawnych splendorów niewiele zostało –
A przecie, przecie, miłe brzmienie LWÓW
Jest dla nas jednym z najpięściwszych słów!*

Zofia i Tadeusz Z. Bednarscy

Malarz Stanisław Dębicki

Lwowskie lata 1894–1903 i jego kontakty z Krakowem

Kochał bardzo kraj, a do Lwowa był szczególnie przywiązany – tak napisał po śmierci artysty jego przyjaciel Tadeusz Rybkowski¹. Istotnie tak było. W stołecznym mieście Galicji zamieszkał Dębicki po powrocie z Francji, i tu wkrótce w grupie artystów prym wodzić zaczął, a środowisko zaakceptowało go serdecznie. Wspomniany autor przypominał, że ponownie (po kontaktach na studiach w Wiedniu), kiedy zszedł się z Dębickim we Lwowie dopiero w 1894 roku, wówczas wśród gromady artystów lwowskich *Stanisław Dębicki grał – jak to mówią – pierwsze skrzypce. Było to zastugą prawdziwie wielkiego talentu i wielkiej kultury artystycznej, jaką w swoich pracach wykazywał*².

A wspaniały piewca rangi lwowskiego grodu – Stanisław Wasylewski w swej książce *Lwów*, omawiając lata 1900–15, tak prezentował rolę naszego bohatera:

*Czołową postacią lwowskiej cyganerii jest artysta, bez którego, jak ktoś powiedział, nie wyobrazić sobie świata artystycznego Lwowa w tej dobie: Stanisław Dębicki czyni na mniejszą skalę, to co w Krakowie Wyspiański. Kładzie fundamenty pod zdobnictwo książki*³.

Bo i rzeczywiście – ten urodzony w Lubaczowie w 1866 r. artysta na lwowskim terenie dał się wkrótce poznać wszechstronnie. Obszerą listę lwowskich zaangażowań Dębickiego rozpoczniemy od spraw Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych. Tu wystawiał jako portrecista, pejzażysta, wedutysta. To krakowianin – Stanisław Wyspiański, odwiedzając lwowską wystawę TPSP 25 października 1892 r. zapisał w swoim raptularzu, iż oglądał akwarele Makarewicz a oraz *piękne akwarele Stanisława Dębickiego, o którym Łoziński powiedział: to jest genialny człowiek...*⁴ Tę prostą uwagę możemy podziwiać!

Zaangażował się też Dębicki w działalność Towarzystwa od razu po wznowieniu jego bytu jako samodzielnej organizacji – 1 stycznia 1895 r. wszedł do komisji znawców⁵. To jemu powierzyło TPSP opracowanie

medalionu na cześć prezesa Towarzystwa. O czym sam Dębicki też pisał w korespondencji z Feliksem Jasieńskim⁶. To Dębicki brał udział w delegacji TPSP w listopadzie 1901 r. u namiestnika i marszałka krajowego Andrzeja hr. Potockiego, interweniującej o dotacje i poparcie działań TPSP⁷. A kiedy zaściankowość TPSP we Lwowie mierzyć świątłych artystów počęła, Dębicki – jako jeden z trzydziestu sześciu innych artystów – podpisał w 1912 r. apel o wyższy poziom wystaw lwowskiego TPSP i kontakt ze współczesnym ruchem artystycznym⁸. To w dokumentach lwowskiego TPSP jest poświadczenie, iż we Lwowie w 1897 r. powstało Stowarzyszenie Malarzy dla Podniesienia Sztuki Religijnej, którego akt i on podpisał⁹. Dębicki opracował wreszcie afisz dla TPSP.

O związkach Dębickiego z lwowskim sołkstwem przypomina *Spis imienny uczestników IV Złotu Sokolstwa Polskiego*, jaki odbył się we Lwowie w dniach 27–29 czerwca 1903 r., który zgromadził 5083 uczestników członków lwowskiej Macierzy¹⁰.

O roli Dębickiego w stworzeniu wartościowej estetycznie karty pocztowej w lwowskiej firmie wydawniczej Henryka Altenberga kompetentnie wypowiedział się Zenon Przesmycki (Miriam) w „Pro arte” w eseju *Karty pocztowe*, stwierdzając: *... w serii drugiej spotykamy zaraz na wstępie majstra skończonogo (...) Stanisława Dębickiego – omen magnum – nikt prawie nie zna w Warszawie, a nie wiem, czy dość go ceniono we Lwowie. A jednak jest to ten z naszych artystów, który niewątpliwie nauczył się od Japończyków (...) odgadł tajemnicę ich tworenia i umiał ją przystosować do zupełnie innych tematów (...)*.

*Dębicki posiada zdumiewającą miarę i takt artystyczny, że jego kompozycje nie przygniatają, nie zapychają karty, lecz lekko, a jednak nieodzownie z nią się wiążą – zrozumie każdy, jak szczęśliwie udało się p. Altenbergowi, że miał tuż we Lwowie takie go majstra*¹¹. A piękne karty pocztowe

rozprowadzane były i w Krakowie, o czym wspomina – nie szczędząc pochwał lwowskim artystom – monografista ilustrowanych pocztówek Jerzy Zieliński¹².

Tenże sam autor esejów zawartych w „Pro arte” – Przesmycki, w rozdziale o drzeworycie japońskim zauważył, że obok kolekcji Feliksa Jasińskiego – mniejszy może co do wielkości, lecz nader ciekawy i cenny w szczegółach jest zbiór drzeworytów [Stanisława Dębickiego – *dopisek TZB*]...¹³ A wielcy zbieracze „japonów” cenili się wzajemnie i serdeczne kontakty utrzymywali – zrazu korespondencyjne, później osobiste. Zaświadcza o tym bogaty plik korespondencji Dębickiego skierowany do Ja-



Stanisław Dębicki, autoportret
(S. Krzysztofowicz-Kozakowska, *Sztuka Młodej Polski*, wyd. Kluszczyński, Kraków)

sieńskiego, przechowywany w Bibliotece XX. Czarotoryskich Muzeum Narodowego w Krakowie. Dowiadujemy się z tych listów, iż Dębicki miał zlecone przez Jasińskiego *wydostanie czegokolwiek od kolegów*, co szło z oporami, choć udało mu się pozyskać prace Aleksandra Augustynowicza, Bogdana Lubienieckiego, Juliana Makarewicza, Michała Płonskiego czy Zygmunta Rozwadowskiego¹⁴. W ten sposób poznajemy również krąg artystów lwowskich, z którymi Dębicki się stykał. On rozszyfrował podpisy „japonów” i ustalał, kto był czym uczniem¹⁵.

Zapowiadał Dębicki 25 maja 1903 r. nadesłanie pracy do krakowskiej Teki grafików, zaznaczając że *będzie o wiele lepsza od szkicu pp. Solskich*. Świadczy to, iż robił Dębicki portret tym krakowskim artystom sceny. Zlecał tu też zadbanie przez Mangghę o należyty kształt swej rzeźbiarskiej pracy w srebrze, pisząc tu: *Równocześnie wyślę plakietę dla Łozińskiego. Marudziłem długo, ostatecznie wylepiło się coś*¹⁶.

To Dębicki namówił Jasińskiego, by ten nabył wszystkie rysunki do *Bajki o Kasi i królewiczu*, a dzięki temu wspaniałemu darczyńcy dziś posiadają je zbiory Muzeum Narodowego w Krakowie¹⁷.

Listem z 22 lutego 1906 r. Dębicki przedstawiał Jasińskiemu propozycję nabycia kilkudziesięciu druków japońskich, dodając o sposobie spłaty zestawu: *W razie gdyby przypadł Wam do gustu, nie będziecie potrzebowali spieszyć się z zapłatą*¹⁸. I wiadać do transakcji doszło. Jest też w liście z maja 1906 r. po raz pierwszy mowa o żonie p. Stanisława, czyli Marcelinie z Opałków – *Baba dziękuje za pamięć i pozdrawia wzajemnie*¹⁹.

Niezwykle istotny dla tematu naszego studium jest niedatowany list Dębickiego do Jasińskiego o następującej treści: *Drogi Panie! Byłem niedawno w Krakowie i ku mojemu zgorzseniu nie zastałem Was w domu. Stryjeński chce mnie sprowadzić do Krakowa jako instruktora dla rzemieślników przy Muzeum Techniczno-Przemysłowym...*²⁰

Wiemy zatem, że Dębicki do Krakowa zaglądał, usiłował spotkać się z szacownym zbieraczem, a i zamierzał podjąć się obowiązków pedagogicznych w mieście pod Wawelem. Do tego tematu w korespondencji z Jasińskim wraca jeszcze nasz bohater w jednym z następnym listów, stwierdzając

z ukrytą nutą zawodu: ... sztuka krakowska nie dopuszcza mnie do siebie (...) może cały Kraków jest wielkim kretowiskiem. Na szczęście nie przywiązywałem wagi do pertraktacji z p. Stryjeńskim. Toteż o żalu nie ma mowy...²¹

A kiedy na łamach lwowskiego „Słowa Polskiego” w listopadzie 1901 r. rozgorzała dyskusja nad wypowiedziami Feliksa Jasieńskiego na marginesie uwag o Maxie Klinge- rze na temat misji przyszłej polskiej sztuki, Dębicki – zgodnie ze swą naturą – usiłował sprawę załagodzić, sam w tej sprawie wydał z innymi oświadczenie i pisał: *Dodać muszę, że p. N, jak i p. W z resztą całej redakcji „Słowa Polskiego” uczuli szczerzy żal z powodu Waszego rozgoryczenia. (...) Przekonałem się również, że żywią tu wszyscy dla Was niekłamany szacunek, zresztą inaczej być nie może*²².

Serdeczne kontakty Dębicki–Jasieński, przeniesione ze Lwowa do Krakowa, owocowały również opracowaniem efektownego ekslibrisu dla wielkiego zbieracza, a także pracami portretowymi, ukazującymi Mang- ghę.

W rozlicznych lwowskich pasjach Dębic- kiego istotne były zainteresowania teatrem. Polegały nie tylko na przyczynieniu się do wystroju pięknego budynku, na bywaniu z kolegami na premierach, ale również na współpracy jako dekoratora i kostiumologa. W tworzeniu malowideł dla Teatru Wielkiego odegrał Dębicki rolę, dając projekty, a później je realizując. Było o tym dość głośno, zwłaszcza gdy okazały budynek – dzieło architekta Zygmunta Gorgolewskiego – został uroczystie otwarty 4 października 1900 r. Wtedy można było podziwiać wspaniale prezentujące się dekoracje: widowni jako dzieła Stanisława Reychana, klatki scho- dowej – Antoniego Popiela, w foyer głów- nie Stanisława Dębickiego – w środkowym plafonie alegoria Poezji, w zachodnim Ta- niec, we wschodnim Muzyka. Nadto alego- rie Miłości, Niewinności, Sprawiedliwości i Mądrości oraz sceny z *Balladyny* Juliusza Słowackiego i *Zemsty* Aleksandra Fredry²³. Jako scenograf i kostiumolog wystąpił przy realizacji dramatu autorstwa Takeda Izu- ma pt. *Transakcja, czyli wiejska szkółka*. O poranku japońskim pisał Spectator m.in. ... *Zasługą dyrekcji było, że całą dekorację i kostiumową stronę przedstawienia oddała*

*w ręce artysty malarza Dębickiego, głębo- kiego znawcy świata japońskiego...*²⁴

Takie słowa zapewne musiały satysfak- cjonować naszego bohatera. W trzy ćwierć- wiecza później, po wystawieniu owego ja- pońskiego dramatu Lidia Kuchtówna, pi- sząc monografią Ireny Solskiej zanotowała: *Sztuka robiła na widzach ogromne wraże- nie. Stroną dekoracyjną zajął się art. mal. Stanisław Dębicki, znawca japońszczyzny. Zachwycano się również inscenizacją*²⁵. *Ta była też dziełem Stanisława Dębickiego!*

W cztery lata po jego śmierci wielka wy- stawa książki i grafiki lwowskiej z czerwca 1928 r. uzmysławiała rozmiar jego dorob- ku w tej tylko dziedzinie, pokazując jego 293 prace! Wymieńmy zatem choć kilka najbardziej znanych pozycji książkowych, jakie ożywił Dębicki kompozycjami okładek i ilustracjami w tekstach autorów polskich i obcych. I tak opracował okładki do: całego cyklu kilkusettomowej Biblioteki Powszech- nej, wydanej przez Wilhelma Zukerkandla ze Złoczowa; w 1895 – *Nowel* Ignacego Macie- jowskiego–Sewera i *Śpiewów historycznych* Juliana Ursyna Niemcewicza z ponad 30 ilu- stracjami; w 1899 – do *Buntu Napierskiego*, poematu dramatycznego Jana Kaspro- wicza z rysunkami; w 1902 – do *Bajek, klechd i baśni* również Kaspro- wicza – z rysunkami i do *Legend* Andrzeja Niemojewskiego z rysunkami do stron tytułowych rozdzia- łów, inicjałami, ozdobnikami: w 1904 – do *Bajki o Kasi i królewiczu* Lucjana Rydla z ilustracjami, *Pieśni ludowych celtyckich, germańskich i romańskich* spolszczonych przez Edwarda Porębowicza; *Prometeusza źle skowanego* Andre Gide’a; 1905 – *Pod niebem indyjskim* Rudyarda Kiplinga; 1909 do tomu studenckiej młodzieży Uniwery- tetu we Lwowie ku czci Słowackiego... On zasiliał okładkami, przerywnikami, inicja- łami pisma warszawskie („Chimera”, „Świat”, „Tygodnik Ilustrowany”), lwowskie („Nasz Kraj”. „Lamus”, „Tydzień”, „Nasza Sztuka”, „Szczutek” i „Liberum Veto”, w którym był kierownikiem artystycznym).

A może współpraca przy albumie o Sło- wackim była antycypacją myśli o krakowskim pogrzebie wieszczą z Krzemieńca? Bo Kra- ków powracał w jego myślach i tęsknotach. On to skomponował okładkę do 11 zeszy- tu „Sztuki Polskiej” poświęconego Matejce z motywami wież Mariackiego Kościoła.

Był twórcą afiszy – również dla lwowskiego Towarzystwa Przyjaciół Sztuk Pięknych – winiet i firmowych znaków, nalepek.

Choć niektórzy uważali go za kontemplatora, trzymającego się na uboczu, to jednak był stałym bywalcem kawiarni Schneidera, a jego pracownia, mieszcząca się przy ul. Pełczyńskiej 7, stanowiła niebagatelny ośrodek życia artystycznego młodopolskiego Lwowa. Ze Lwowa został zaszczytnie wezwany na katedrę po Wyspiańskim w Akademii Sztuk Pięknych, gdzie w wieku 55 lat zmarł w lipcu 1924 r. Po dwu latach ciało jego oddano Lwowowi, miastu, które ukochał szczególnie.

PRZYPISY

- ¹ Tadeusz Rybkowski: *Śp. Stanisław Dębicki*, „Słowo Polskie”, 1924, 3 IX, nr 242
- ² ibidem
- ³ Stanisław Wasylewski: *Lwów*, Wydawnictwo Polskie (Wagner), Poznań, b.d., s. 151
- ⁴ Stanisław Wyspiański: *Kalendarz życia i twórczości 1 III 1890 – ostatnie dni marca 1896*. Opr. Maria Stokowa: *Dzieła zebrane*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1982, t. 16, s. 186
- ⁵ Por.: *Polskie życie artystyczne w latach 1890–1914*. Praca zbiorowa pod redakcją A. Wojciechowskiego. Ossolineum, 1967, s. 178
- ⁶ Por.: Zofia Romerowa: *O grafice Stanisława Dębickiego*. W: *Pamiętnik IX Zjazdu Bibliotekarzy Polskich*, Lwów 1929, s. 77
- ⁷ Wydział Towarzystwa Sztuk Pięknych we Lwowie u namiestnika i marszałka krajowego. „Słowo Polskie”, 1901, 20 XI, nr 542
- ⁸ Por.: *Józef Chełmoński w świetle korespondencji*. Opr. Jan Wegner. Ossolineum 1953, s. 147

⁹ Por.: Biblioteka Ossolineum. Papiery TPSP we Lwowie, Korespondencja 1884–1920. Tom XLVIII, s. 147

¹⁰ Por.: *Pamiętnik IV Złotu Sokolstwa Polskiego we Lwowie*. Lwów 1904, s. 139

¹¹ Zenon Przesmycki (Miriam): „Pro arte”. *Uwagi o sztuce i kulturze...* Towarzystwo Akcyjne S. Orgelbranda i Synów w Warszawie. b.r. (po 1909), s. 249–251

¹² Por.: Jerzy Zieliński: *Pozdrowienia z Krakowa*. Krosno 2005, s. 71

¹³ Zenon Przesmycki (Miriam): „Pro arte”, op. cit. s. 327

¹⁴ Biblioteka XX. Czartoryskich w Krakowie. Rkps 633/II, najczęściej nie datowane

¹⁵ ibidem

¹⁶ ibidem, list z maja 1903

¹⁷ ibidem, list z 7 I 1904

¹⁸ ibidem, list z 22 II 1906

¹⁹ ibidem, list z maja 1906

²⁰ ibidem

²¹ ibidem

²² ibidem

²³ Z internetu: <http://www.lwow.home.pl/teatrwiolki.html>, s. 6 i 8. Por. też Stanisław Wasylewski: *Lwów*, op. cit., s. 153.

TADEUSZ Z. BEDNARSKI, krakowianin, ur. 1934 w Poznaniu. Filolog i dziennikarz, współpracował z ponad 60 tytułami prasowymi. Stworzył cykl o siedmiu malarzach Młodej Polski. Wyróżniony Złotym Laurem Kultury Polskiej, Honorowy Obywatel m. Szczawnicy.

ZOFIA BEDNARSKA, z d. Białas, ur. 1940 w Krakowie. Absolwentka AM w Krakowie, praca zawodowa w Przychodni Przemysłowej w Krakowie, gdzie przeszła wszystkie stopnie, aż po kierownictwo Przychodni. Od 1964 jako żona Tadeusza, współpracuje w wydaniach jego książek.

Pani JADWIDZE CIEŚLAK
naszej kochanej Współpracownicy
i Przyjaciółce, wieloletniej skarbnicze
ZO TMLiKPW w Krakowie,

składamy bardzo serdeczne wyrazy
współczucia i bólu z powodu śmierci
Jej Syna, ADAMA CIEŚLAKA,
cenionego naukowca-historyka,
który odszedł do Pana niespodziewanie
w wieku 54 lat.

Zarząd Oddziału Krakowskiego
Towarzystwa Miłośników
Lwowa i Kresów PW
oraz Redakcja „Cracovia–Leopolis”

Z ostatniej chwili

W Krakowie zmarła 27 września 2008 r. wybitna kompozytorka, profesor i rektor krakowskiej Akademii Muzycznej **KRYSTYNA MOSZUMAŃSKA-NAZAR** urodzona we Lwowie w 1924 r. Tam też rozpoczęła studia muzyczne, ukończone po II wojnie światowej w Krakowie.

Obszerniejsze wspomnienie o Zmarłej zamieścimy w następnym numerze CL.

SYLWETKI

HISTORIA PROFESORA MOZERA

Profesora Wilhelma Mozera wspomina w swej książce „Szlakiem zesańców” o. Marcin Karas, redemptorysta, który spędził we Lwowie lata pierwszej okupacji sowieckiej. Inne jego wspomnienie z tego czasu – o kościele św. Marii Magdaleny i p. Adamie Głażewskim – przedrukowaliśmy z tej samej książki Ojca Marcina w CL 2/08.

Prof. W. Mozer (1889–1958) urodził się we Lwowie w starej rodzinie lwowskiej (od XVIII wieku) o korzeniach austriackich, zasłużonej dla miejscowego przemysłu w ciągu całego wieku XIX.*

Wilhelm Mozer ukończył studia na Politechnice Lwowskiej, jego specjalnością zawodową i naukową była budowa maszyn i wagonów kolejowych oraz technologia metali. Od 1920 r. kierował katedrą na PL, od 1922 profesor. Rozszerzył badania naukowe w swoich dziedzinach, rozbudował laboratoria. Był konsultantem w dziedzinie konstrukcji największych maszyn i wagonów kolejowych w Polsce. Pod jego kierownictwem powstał polski pociąg pancerny we Lwowie w 1918 roku.

Profesor Mozer nie wyjechał ze Lwowa po II wojnie i nadal był związany z Politechniką. Zmarł w trakcie odwiedzin syna w Oliwie, pochowany we Wrzeszczu. Miał 8 dzieci, najmłodszym z synów jest Henryk, muzyk i reżyser teatralny, zamieszkały w Warszawie, autor wspomnień z wczesnych lat powojennych we Lwowie, drukowanych dwukrotnie w CL. Jednym z wnuków Profesora jest Stefan Adamski, obecnie działacz harcerski we Lwowie.

Był profesorem na Politechnice. Specjalność – budowa maszyn. Ojciec ośmiorga dzieci, z tych troje najstarszych było w Polsce. Córka w Gdańsku. Był powszechnie lubiany przez studentów. Rosyjskim językiem nie władał, ale wykładał jasno, do studentów odnosił się życzliwie, za co odpłacali mu się

SŁOWNIK GEOGRAFICZNO- HISTORYCZNY

DERNÓW

Wieś w pow. kamioneckim, wojew. tarnopolskim, położona 3,5 km na płd. od Kamionki Strumiłowej. Leży nad potokiem Sosnowiec, lewym dopływem Bugu. Parafia rzym.kat. w Kamionce, greko-kat. w miejscu.

Należała do klucza kamioneckiego, skupiającego rozległe dobra Józefa Miera h. własnego (pocz. XIX w.). Na krótko majątki po nim odziedziczył syn Antoni, zmarły w 1817 r., a wtedy przypadły one siostrze Antoniego, Agnieszce, która w 1818 r. poślubiła swego stryjecznego brata, Feliksa Miera. Po nich dziedzicem Dernowa został jeden z ich synów, Karol, poseł na sejm galicyjski.

HORODNICA (kopycz.)

Wieś w pow. kopyczyńskim, wojew. tarnopolskim, położona w odl. 14 km. na zach. od Husiatyna, nad rzeką Gniłą, osłonięta od płn. i wsch. pasmami Miodoborów. Kościół parafialny rzym.kat. wybudowany w r. 1893, parafia erygowana w r. 1904. Wcześniej Horodnica należała do parafii w Linkowcach. Cerkiew parafialna gr.kat. w barokowym kościele pojezuickim; w ołtarzu gł. znajdował się włoski obraz Matki Boskiej, przy którym pierścień – votum T. Kościuszki.

W 1. połowie XIX w. Horodnica była własnością rodziny Zabielskich, w 2. połowie stulecia właścicielką była Florentyna z Dzieduszyckich Czartoryska.

HORODNICA (skał.)

Wieś w pow. skałackim, wojew. tarnopolskim, oddalona 4,5 km w kierunku płd. od Skalata. Parafia rzym.kat. w Skalacie, gr.kat. w Krzywem.

W czasach I Rzeczypospolitej należała do dóbr królewskich. W 1549 r. otrzymał ją na zasadzie prawa lennego Florian Baworowski w nagrodę za zasługi. W 1637 r. dostała się w dożywocie Aleksandrowi Cetnerowi za zasługi w licznych wyprawach przeciwko Szwedom, Tartarom i Kozakom. W 1649 r. król dał Mikołajowi Baworowskiemu, rotmistrzowi królewskiemu,

wprost serdecznością. Na imieniny, na Boże Narodzenie, zawsze mu sprawiali jakiś prezent. Był sprawiedliwy dla studentów. Żadnego nie wyróżniał, jednakowo odnosił się do wszystkich. A to wypływało nie tylko z jego usposobienia, ale z jego wiary, religijności. Był głęboko wierzącym i praktykującym katolikiem. Mieszkał tuż w sąsiedztwie cerkwi św. Jura. W każdą niedzielę był na mojej mszy św. i nie tylko w niedzielę, bo i w dni powszednie. I zawsze wtedy przystępował do Komunii św. Tak samo jego syn, który studiował muzykę w konserwatorium. Ten zawsze klękał na oba kolana na początku prezbiterium, tuż przy bocznym ołtarzu, bardzo gorliwie się modlił w czasie całej mszy św. i też przyjmował Komunię św. Szczególnie władzom nie podobało się zachowanie ojca. I nieraz go upominano, zwracano mu uwagę, jak on, człowiek uczony, może tak postępować? On to zbywał milczeniem lub krótko odpowiadał, że to nikogo nie może obchodzić, bo to jest jego osobista sprawa. Ze studentami o tych sprawach nie rozmawia, nie agituje... Władze jednak nie mogły tego znieść. Jednego dnia przywołują go do gabinetu rektora uczelni. Tam zastaje sekretarza partii, naczelnika NKWD, cały komitet partyjny politechniki i jeszcze jakieś osobistości... I wtedy rektor politechniki odzywa się wprost do niego, że tak dalek być nie może z jego postępowaniem, że on wykształcony, uczony, wierzy, praktykuje, kiedy zdrowa nauka, wiedza już dawno wzięła rozbrat z wiarą.

UWAGA, WOŁYNIANIE!

Kto może znać losy rodziny JAKUBOWSKICH z Brzeziny, pow. Dubno, wojew. wołyńskie, oraz ANNY BĄCZALSKIEJ, z domu Jakubowskiej, ur. w 1902 r. w Brzezynie, córki Alfreda Jakubowskiego i Marii z Kołeckich. Anna była żoną osadnika Stanisława Bączalskiego, wywieziona na Sybir w r. 1939 (1940?) wraz z całą rodziną.

Anna Bączalska miała trzech braci; ich matka była akuszerką. Miała siostrę, zakonnicę Marię Kołecką w Warszawie, zmarłą w 1957 r.

W sprawie ewentualnych wiadomości proszę uprzejmie o kontakt telefoniczny na numer 012 266-70-40 – Maria, Kraków.

I że on tym swoim postępowaniem wywiera bardzo zły wpływ na podległą mu młodzież. I tak dalej już nie może być. I trzeba, profesorze, raz się zdecydować i wybrać – albo wiara, albo praca naukowa na politechnice. Innego wyjścia nie ma.

Profesor Mozer wysłuchał tego spokojnie, a gdy rektor skończył swoją mowę, podniósł się, wyjął z kieszeni legitymację profesorską, podszedł do rektora, położył ją przed nim na biurku i głośno powiedział – *spasiba* – dziękuję, uklonił się wszystkim, dodał: *do swidania* (do widzenia) i wyszedł.

We wszystkich, jakby piorun uderzył. Co się działo po jego wyjściu, nie wiem. Na wykłady nie chodził. Na uczelni, wśród studentów wrzawa, krzyki, bunt... Wołanie: my chcemy profesora Mozera! My chcemy profesora Mozera! Ależ on wierzący, wierzy w takie bajki... Nas nic jego wiara nie obchodzi. On jest mądry i dlatego właśnie wierzy, a wspaniale, mądrze wyklada!

My chcemy Mozera – i tak codziennie.

Bodaj po dziesięciu dniach zajeżdża przed dom prof. Mozera piękny samochód rektora politechniki, z niego wysiada prorektor i kieruje swe kroki do mieszkania. Wszedł, pozdrowił, przywitał się i mówi wprost – proszę ze mną jechać na politechnikę, tam profesora wzywają. Po co? Nie wiem. Tam już wszystko załatwione, nie mam po co jechać. Ale ja proszę bardzo. Powiedziano mi, że bez profesora nie mogę się tam pokazać. Pojechał. W gabinecie rektora jest parę osób z politechniki, nikogo z tych, co byli poprzednio. A rektor trzyma w ręce legitymację profesorską prof. Mozera i drżącym głosem mówi: proszę przyjąć tę legitymację i dalej prowadzić wykłady. Prof. Mozer zawahał się, ale rektor podszedł do niego, wręczył mu legitymację, podał rękę i powtórzył: proszę spokojnie kontynuować wykłady.

Co się działo wśród studentów, gdy się ich ulubiony profesor wśród nich pokazał, tego nie potrafię opisać...

* Dziadek Wilhelma, Zygmunt Franciszek Mozer (1818–1886) ur. we Lwowie, był właścicielem fabryki odlewniczej, odlewni dzwonów i in. Uczestnik rewolucji 1848 r., radny miejski, trzykrotny król kurkowy we Lwowie.

Informacje biograficzne o Wilhelmie Mozerze i rodzinie Mozerów zaczerpnięto z Polskiego Słownika Biograficznego, zeszyt 92.

LWOWIANIE

Ze Lwowem związanych było szereg rodzin arystokracji i wyższego ziemiaństwa, których wizytówkami były liczne pałace na terenie miasta. Wśród tych wyróżniały się ogromne pałace Potockich przy ul. Kopernika i Dzieduszyckich przy Kurkowej, ale także te mniejsze – Sapiehów przy Kopernika, Lubomirskich na Rynku czy Siemieńskich-Lewickich lub Turkułów (potem Comello), oba przy ul. Piekarskiej. Na koniec zostawimy dwa, należące do rodzin, o których chcemy tu opowiedzieć, ponieważ w sposób szczególny związały się ze Lwowem: Jabłonowskich i Bielskich*.

Ród Jabłonowskich, który otrzymał mitrę księżęcą w roku 1744**, miał (bo już niestety nie ma) kilka śladów we Lwowie. Pierwszy to ów barokowy pałac, który stał na zachodniej krawędzi Góry św. Jacka, ponad ulicą noszącą miano Jabłonowskich. Niestety zmienne losy tego pałacu doprowadziły go do ruiny, zburzonej już w XX wieku (patrz CL 3/05). Drugą pamiątką był pomnik hetmana Stanisława Jabłonowskiego, stojący najpierw na Wałach Hetmańskich (które wzięły odeń tę właśnie nazwę), potem przeniesiony na plac Trybunalski, naprzeciw kościoła Jezuitów. Był to najstarszy pomnik lwowski. Po II wojnie ślad po nim zaginął...

W późniejszych czasach ród Jabłonowskich stracił znaczenie i większość magnackiej fortuny. Rodzinie pozostał do II wojny pałac w Bursztynie, ale i ten został przez sowieców zburzony. Znikło w końcu nazwisko z książęcym tytułem, bo zabrakło męskich potomków. Liczne za to w każdej generacji były córki. W przedostatnim, liczącym się jeszcze pokoleniu była to m.in. księżniczka Eleonora Jabłonowska, zamężna za hr. Juliuszem Bielskim – oto przyczyna, dla której połączyliśmy tu owe dwa nazwiska.

Hrabiowska, majątna rodzina Bielskich miała we Lwowie kolejno dwa pałace – oba istnieją nadal, choć pierwszy z nich, przy pl. Halickim, stracił swoją pałacową funkcję w XIX w.; drugi zaś, przy ul. Kopernika, dotrwał jako rezydencja do II wojny, a przez kilka następnych miesięcy jako ograniczone mieszkanie byłych właścicieli. W nocy

pozwolenie na wykupienie Horodnicy z rąk Cetnera. W 2. poł. XIX w. właścicielem majątku był Waclaw Baworowski,

HORODNICA (horoden.)

Wieś w pow. horodeńskim, wojew. stanisławowskim, leżąca na prawym brzegu Dniestru, w odległości 10,5 km na wsch. od Horodenki. Parafia rzym.kat. i gr.kat. w Horodence.

W 2. poł. XIX w. należała do Karola Krapnopskiego h. Grzymała.

NIŻBORG NOWY

Wieś w pow. kopyczyńskim, wojew. tarnopolskim, położona nad rzeczką Tajną, 14 km na płn.zach. od Husiatyna. Od płn.wsch. graniczy z Niżborgiem Starym (Szlacheckim). Do 1886 r. obie wsie należały do parafii rzym.kat. w Kopyczyńcach, zaś od tego czasu miały parafię własną pw. Nawiedzenia NPM, ufundowaną przez Jakuba Przybyłowicza. Parafia gr.kat. na miejscu.

W 2. poł. XIX w. własność rodziny Baworowskich. Józef Baworowski, członek austriackiej izby panów, założył ordynację, obejmującą Niżborg i Czabarówkę. Po jego śmierci w r. 1885 ordynację przejął jego syn, Emil Baworowski.

SAPIEŻANKA

Wieś w pow. kamioneckim, wojew. tarnopolskim, oddalona o 46 km na płn.wsch. od Lwowa i kilka km na płd. od Kamionki Strumiłowej. Od wsch. ograniczona potokiem Sosnowiec (lewy dopływ Bugu).

Założona na przełomie XVIII/XIX w. dla niemieckich osadników przez Józefa Miera, który prowadził energiczną akcję kolonizacyjną. Nazwa pochodzi od nazwiska drugiej żony Miera, Anny Agnieszki z Sapiehów. W 2. poł. XIX w., gdy właścicielem był Karol Mier, należała do parafii ewangelickiej w Józefowie.

ŻURÓW

Miasteczko (o pierwotnej nazwie Dzurów) w pow. żydaczowskim, wojew. stanisławowskim, rozłożone po obu brzegach rzeki Świrz (lewy dopływ Dniestru), w odległości 18 km na płd.wsch. od Rohatyna i 15 km na płn.zach. od Bursztyna. Parafie obu obrządków były na miejscu.

Historia. W 1394 r. król Władysław Jagiełło nadał wieś Dzuryn protoplaście rodziny Daniłowiczów. W 1462 r. majątek przeszedł czasowo w posiadanie Mikołaja Sieniawskiego, od którego w 1494 r. wykupił go Dymitr Daniłowicz. Król Zygmunt Stary na prośbę Michała Daniłowicza



Pomnik hetmana Stanisława Jabłonowskiego, najstarszy we Lwowie, zaginął w czasie okupacji sowieckiej



JULJUSZ BIELSKI

urodz. 26 marca 1862 r. we Lwowie
zmarł 24 IX. 1941 w Usz-Tobe
[Kazachstan]

Padł pod ciężarom ręki Pańskiej ale
nie znał skargi ni szumrania.

Sprawiedliwy jeżeli śmiercią będzie
zaskoczony, w pokoju będzie.

Przyjm go Panie do swój chwały bo
cierpiał ponad siły, niosąc krzyż swój
z pokora, cierpliwością i ufnością w mi-
łosierdzie Twojo.

Matko Królowo męczenników wzięj
go pod opiekę Swoją

nadał Żyrynowi w 1510 r. miejskie prawa magde-
burskie oraz pozwolenie na cotygodniowe targi.
W 1539 r. Daniłowiczowie uzyskali przywilej na
jarmarki roczne na św. Marcina.

W rękach Daniłowiczów Żyryn pozostawał
jeszcze w XVIII w. Przypuszczalnie jako spa-
dek po Konstancji z Daniłowiczów Potockiej
przeszedł z końcem tego wieku na własność
Korduli Potockiej. Kolejnymi jego właścicielami
byli Michał i Anna Popielowie, w połowie
XIX w. Wiktoryn Bocheński, na początku XX w.
Stefan Tustanowski oraz Bank Parcelacyjny we
Lwowie, a w okresie międzywojennym Tadeusz
Dębiński.

Parafia rzym.kat. ufundowana została przez
Daniłowiczów w XVI w. W miejsce pierwszego
kościół zniszczonego przez pożar Mikołaj Dani-
łowicz postawił w 1. ćwierci XVIII w. murowany
kościół pw. św. Stanisława biskupa, który istniał
do 1958 r., kiedy to uległ rozbiórce. Budowę tego
niewielkiego, jednonawowego kościoła z wieżą
nad kruchtą fundator powierzył znanemu budow-
niczem lwowskiemu Pawłowi Rzymianinowi
oraz Wojciechowi Kapinosowi. W kościele znaj-
dował się otoczony kultem, uznawany za cudow-
ny, obraz M. Boskiej z Dzieciątkiem, pochodzący
z przełomu XVI/XVII w., w 1944 przeniesiony
do miejscowej cerkwi grekokatolickiej. W cerkwi
zachowały się także inne elementy wyposażenia
kościół, m.in. 5 figur świętych z XVII–XVIII w.
Od 1950 r. do rozbiórki w 1958 r. kościół służył
jako magazyn.

Teksty opracowała dr Maria Taszycka

13/14 kwietnia 1940 państwo Bielscy zostali
wywiezieni do Kazachstanu, a hrabia zmarł
tam kilkanaście miesięcy później.

Pałac przy ul. Kopernika należał za-
wsze do zauważalnych, dzięki ogromnym
kolumnom, jakby przerastającym skalę tego
obiektu, a dobudowanym do nieciekawego
budynku na przełomie wieków XIX/XX.
Jego historia jest barwna. Po zajęciu Lwowa
przez sowieców pałac został oddany zwią-
zkowi polskich literatów, utworzonym przez
okupacyjne władze. Przynależność do tego
związku nie przynosiła honoru. Głównymi
postaciami obok Wandy Wasilewskiej byli
Adam Polewka i paru innych komunistów
(głównie „bieżenców” z Warszawy), ale i nie-
stety Boy-Zeleński. Po powtórny przyjeździe
sowieców pałac został oddany na Dom Na-
uczyciela (radzieckiego oczywiście, potem
ukraińskiego, i tak trwa do dziś). Jest w tym

jednak jaśniejsza strona: w tymże Domu Na-
uczyciela ulokowano Polski Teatr Ludowy.
Opowiadał o tym jego obecny, długoletni dy-
rektor Zbigniew Chrzanowski w poprzednim
numerze (3/08) naszego kwartalnika.

Wracając do właścicieli pałacu: pani Biel-
ska wróciła do kraju w ramach powojennej
„repatriacji”, osiadła w Krakowie i tu zmarła
w latach 70. Potomstwo Bielskich, tak jak
i Jabłonowskich rozproszyło się po świecie,
lecz pod różnymi nazwiskami. Nieliczni żyją
w kraju, większość w zachodniej Europie,
w Ameryce, Australii, Afryce...

* Nie liczymy tu pałacu szczególnego: Kamienicy
Królewskiej przy Rynku.

** Pierwszym księciem był wnuk Stanisława
Jabłonowskiego, hetmana wielkiego koron-
nego, urodzonego w Jabłonowie na Pokuciu
(1634–1702).

JESZCZE O PILOTKACH

*W przedostatnim numerze CL (2/08) zamieściliśmy wspomnienia o dwóch wspa-
niałych pilotkach, pionierkach kobiecego
lotnictwa w Polsce, lwowiankach Danucie
Sikorzance i Wandzie Olszewskiej. W moim
domowym archiwum odnalazłem notatkę
z rozmowy przeprowadzonej z Wandą Ol-
szewską w jej krakowskim mieszkaniu oko-
ło roku 1990, a więc na dwa lata przed jej
śmiercią. Wykorzystałem częściowo te zapi-
ski w tekście o W. Olszewskiej (drukowanym
po raz pierwszy w „Semper Fidelis” 1/93),
pomijając jednak parę szczegółów, które
warto dodatkowo utrwalić. Wszystkie fakty
są zgodne z tym, co pisał p. H. Kleinrok
o Danucie Sikorzance.*

Danuta Sikorzanka i Wanda Longchamps (po mężu Olszewska) były koleżankami w lwowskim Gimnazjum im. Królowej Jadwigi. Po maturze Sikorzanka podjęła studia na Politechnice Lwowskiej, gdzie poznała studentów Politechniki Warszawskiej, którzy przenieśli się na studia do Lwowa (Grzeszczyk, Łopatniuk, Maj, Chorzewski i Laskowski). Konstruktorem szybowców na PL był Wacław Czerwiński (zdaje się asystent prof. Łukasiewicza). W ten sposób Lwów stał się kolebką sportu szybowcowego. Budowano

je w warsztatach Politechniki. Były to lata 1927–29. Związek Awiacyjny Studentów Politechniki, przekształcony w 1928 r. w Aeroklub Akademicki, zbierał się w jednej z sal Politechniki. Sikorzanka, która już wcześniej tam się włączyła, zaproponowała Wandzie Olszewskiej, młodej mężatce (z nadmiarem energii, która nie opuszczała jej do starości), by też się do nich przyłączyła, do pomocy sekretarskiej. Można się jednak domyślać – po dalszych kolejach wydarzeń – że na pracy sekretarskiej się nie skończyło.

Pierwsze loty szybowcowe odbywały się w Czerwonym Kamieniu k. Lwowa i innej jeszcze miejscowości (Bezmiechowej?), ale w tym W. Olszewska nie brała jeszcze udziału. Dopiero ok. r. 1928 na walnym zebraniu Aeroklubu Akademickiego koledzy uchwalili, że przyjmą ją do AA, mimo, że nie była studentką Politechniki. Co więcej, postanowili obie młode kobiety wyszkolić w pilotażu samolotów.

Szkolenie odbywało się na lotnisku lwowskim. Wanda Olszewska latała ze starym sierżantem sztabowym Pakułą na wystużonym francuskim samolocie *Herriot* (mąż o tym nic nie wiedział). Egzamin teoretyczny na pilota zdała w 1929 r. w Ministerstwie Komunikacji w Warszawie.

Przebywanie na lotnisku było ciekawe i tak przyjemne, że obie panie czasem nocowały w budynkach LOT-u.

I etap szkolenia polegał na nauczaniu się *laszowania*, czyli samodzielnego lotu, zaś II – na ewolucjach. Obie młode pilotki przeszły to z powodzeniem, choć nie wszystkim się to udawało. Oceniali je wymieniony Pakuła, a także kapitan Massalski, który do lotnictwa polskiego przeszedł z carskiego Korpusu Paziów. Pani Wanda wspominała, że odznaczał się słownictwem i gestykulacją rosyjskich żołdatów.

Po pewnym czasie zaproponowano obu pilotkom udział w imprezie propagującej lotnictwo sportowe, szczególnie na Śląsku, gdzie bogaty klub miał maszyny, ale nie miał pilotów – imprezę tę opisano już w obu wspomnianych artykułach w CL 2/08. Naszym pilotkom dołączono debiutantki-Ślązaczki: z Olszewską leciała Wardasówna.

Wszędzie, gdzie nasze lwowskie pilotki lądowały, oczekiwały je i witały tłumy ludzi.

Andrzej Chlipalski

STO LAT TEMU

Z końcem czerwca 1908 r. powstał we Lwowie Związek Walki Czynnej. Założyli go działacze Organizacji Bojowej PPS z Kazimierzem Sosnkowskim na czele. Inicjatorem i przywódcą ZWCz był Józef Piłsudski, natomiast bezpośrednio działalnością organizacji kierowała Rada Główna i Wydział Związku, złożony z czterech członków. Organizacja miała charakter zdyscyplinowanej i centralnie zarządzanej organizacji wojskowej powiązanej z PPS-Frakcją Rewolucyjną. Celem Związku było przygotowanie i organizowanie przyszłego powstania zbrojnego w zaborze rosyjskim. Organizacja szybko się rozrosła, obejmując najpierw Galicję, potem obszar Królestwa Polskiego i zabór pruski. Jej komórki powstały nawet na terenie Rosji.

Kalendarium „Dziennik Polski” 149/08

Z TAMTEJ STRONY

W PRZEMYŚLANACH

W czasie tegorocznej wędrowki przez ziemię wschodniomałopolskie trafiiliśmy – nie pierwszy raz zresztą – do Przemyśla n. Była długa rozmowa z księdzem proboszczem Piotrem Smolką, niestrudzonym kapłanem (obsługuje pięć kościołów w okolicy) i rekonstruktorem przemysłańskiego kościoła pw. św. Piotra i Pawła, służącego w czasach sowieckich jako... fabryka parasoli (to były takie szczególne „parasole”, z których można było strzelać). Świątynia była niegdyś pięknie wyposażona, ale wspaniałe barokowe ołtarze musiały ustąpić miejsca maszynom, ponadto została podzielona na dwie kondygnacje.

Po odzyskaniu kościoła w roku 2007 (i zapłaceniu „odstępnego” sowieckim użytkownikom) wszystko to z wielkim trudem usunięto i teraz kościół powoli urządza się na nowo.

O powrocie do dawnego stanu oczywiście nie może być mowy. Ksiądz Piotr wy-



Wnętrze kościoła parafialnego (zapewne XVII-wiecznej) – przed wojną (zdjęcie u dołu) i dziś. Na zdjęciu obok widać pod sklepieniem dawniejsze malowidło, przykryte zapewne podczas budowy barokowego ołtarza głównego w 2. poł. XVIII wieku, a ostatnio odkryte przy odnawianiu ściany za usuniętym przez sowiětów ołtarzem (informacja ks. proboszcza)

daje piśmko „Źródło Wiary” (ukazało się już prawie 60 numerów).

Oprócz artykułów na tematy religijne i poezji zamieszcza się bieżące informacje parafialne, a także materiały historyczne. Numer 53 z 2007 r. zawiera niezwykle ciekawe opracowanie o historii Przemyśla n. i tamtejszego kościoła, omówienie jego architektury oraz utraconego urządzenia i cennego wystroju artystycznego.

W wydawnictwie pomaga NSZZ „Solidarność” Poczta Polska w Białymstoku oraz grono tamtejszych przyjaciół.



POLACY Z POLAKAMI

■ W lipcu, na cały miesiąc, wyjechało z Krakowa osiemnaścioro studentów z UJ i PAT na Ukrainę (za Zbruczem), by uczyć tam młodych Polaków naszego języka, historii i geografii, zresztą nie tylko młodych. Wzięli ze sobą polskie książki i gazety. Organizatorem jest krakowski oddział „Wspólnoty Polskiej”, we Lwowie pomaga im znakomita działaczka, p. Halina Krzemińska.

Doniosły o tym dzienniki krakowskie. W „Gazecie Krakowskiej” z wrodzonym sobie taktem napisała (znana nam już!) Marta Paluch: *Studenci jadą uczyć ukraińskie dzieci. Niezawodna...*

■ W tym roku z oddziału TMLiKPW w Krakowie przekazano do Żółkwi i Czortkowa: 10 worków z odzieżą, 1 worek z obuwiami, narty, 150 egz. książek – lektury dla klas VI i VII oraz literaturę polską.

Na kolonie letnie dla dzieci ze Szkoły Sobotniej w Żółkwi, prowadzonej przez ss. Dominikanki, przekazano kwotę 6000 zł.

Profesor JERZY KOWALCZUK powiadamia, że ukazał się drukiem następny tom monografii z cyklu **SZKOŁY LWOWSKIE**. Historia szkolnictwa, oświaty i wychowania na Ziemiach odłączonych II Rzeczypospolitej – KRESACH POŁUDNIOWO-WSCHODNICH. TOM VI (w czterech częściach):

II (drugie) PAŃSTWOWE LICEUM I GIMNAZJUM im. KAROLA SZAJNOCHY we Lwowie (nr 560).

Autor: Jerzy Kowalczyk, Kraków 2008

Zainteresowanych nabyciem tej monografii uprasza się o kontakt:

J. Kowalczyk, ul. Lublańska 24/2; 31-476 Kraków, tel. (48-12) 411-36-41 lub e-mail: kajot@op.pl lub: kajot@uci.agh.edu.pl

Koszty związane z zakupem tego tomu monografii są następujące:

cz. 1 – stron 552, cena 80 PLN

cz. 2 – stron 478, cena 80 PLN

cz. 3 – stron 282, cena 65 PLN

cz. 4 – w opracowaniu

Cena łączna trzech części VI tomu:

245 PLN plus koszty prowizji i wysyłki.

W Krakowie i dalej

„WSPÓLNOTA POLSKA” – NOWY PREZES

VII Walne Zebranie Delegatów Stowarzyszenia „Wspólnota Polska”, które odbyło się w maju br. w Pułtusku, przyniosło istotne zmiany we władzach tej organizacji, tak ważnej dla stosunków między Rzeczpospolitą Polską a Polakami żyjącymi na obszarach odłączonych od Macierzy po I, a przede wszystkim po II wojnie światowej oraz Polonią, czyli Polakami, których los rozrzucił po całym świecie skutkiem wojen czy warunków społecznych i ekonomicznych.

Po wielu latach piastowania stanowiska prezesa Stowarzyszenia przez prof. Andrzeja Stelmachowskiego, nowym prezesem został b. marszałek Sejmu i b. wicemarszałek Senatu RP, Maciej Płażyński. W pierwszych słowach wywiadu, przeprowadzonego przez redakcję pisma „Wspólnota Polska” (Andrzej Grzeszczuk), nowy Prezes powiedział:

Rodzina mojej matki pochodzi z Wielkopolski, zaś rodzina ojca po części z Lublina, po części z Tarnopola. Tak więc jestem mieszańką krwi polskiej z dwóch stron, dość różnych



w charakterze i w temperamencie. Na Kresach nikt z naszej rodziny już nie został, kiedy zmieniały się granice Polski wszyscy wędrowali wraz z granicami. Niemniej coś pozostało w emocjach, w genach, bo podczas pierwszej mojej wizyty na terenach dawnej Rzeczypospolitej serce biło jakoś inaczej. Ale sentyment do Kresów jest w Polsce sentymentem szerszym niż miejsce urodzenia. Właśnie na tych pogranicznych terenach kształtowała się przecież nasza kultura. We wzorec polskiego patriotyzmu mamy wpisane to wszystko, co działo się w przeszłości na Kresach, które stały się częścią naszego polskiego kośćca.

Redaktor zadał Płażyńskiemu wiele pytań dotyczących dotychczasowej działalności „Wspólnoty Polskiej”, nie zawsze satysfakcjonującej. Z odpowiedzi Prezesa wynikało, że zdaje sobie dobrze sprawę z niedociągnięć i błędów i że będzie się starał działalność tę korygować zgodnie z potrzebami Polaków i Polonii za granicą. Mówiono też sporo o nowej emigracji, o sytuacji na Białorusi i Litwie oraz w Niemczech, gdzie przebywa dziś 2 miliony Polaków. Jedno z ostatnich pytań brzmiało: *Pewne poruszenie w mediach wywołał artykuł Rafała Ziemiakiewicza na temat wypierania z przestrzeni publicznej pamięci o zbrodniach ukraińskich nacjonalistów na Wołyniu...*, na co Maciej Płażyński odpowiedział:

Dotyczy to innego wymiaru tej samej filozofii, o której mówiliśmy w odniesieniu do Litwy i Niemiec – nie poruszajmy trudnych problemów, bo zależy nam na dobrych czy na idealnych stosunkach z tymi państwami. To jest założenie fałszywe [podkr. red.] – przemilczanie historii nie jest dobrym sposobem na budowanie naprawdę przyjaznych relacji i faktycznego partnerstwa. Mamy moralny obowiązek pamięci o tych, którzy zginęli za Polskę. I dlatego rzeź na Wołyniu nie może być przemilczana. Ukraińcy muszą przyjąć do wiadomości, że taka historia miała miejsce na ich ziemi, że trzeba się z nią współcześnie zmierzyć, rozliczyć, ocenić, a my mamy obowiązek strzec pamięci o tych wydarzeniach. Interesom Polski dobrze się nie przysłużymy poprzez przemilczanie albo fałszowanie historii. Dotyczy to również chociażby stosunku liderów państwa ukraińskiego do Ukraińskiej Powstańczej Armii, Organizacji Ukraińskich

Nacjonalistów i ich przywódców. Nic nam ze strategicznego partnerstwa, jeśli będzie budowane na antypolskich mitach czy antypolskich działaniach.

Oby tak było. Tego Polakom za wschodnim kordonem, prezesowi Płażyńskiemu i nam wszystkim szczerze życzymy.

Trochę zdziwiło nas, że w artykule prezentującym Macieja Płażyńskiego jako nowego prezesa „Wspólnoty Polskiej”, zamieszczonym w „Kurierze Galicyjskim” z 27 maja '08, całkowicie pominięto to, co dla nas – a także chyba dla redakcji tego pisma – najważniejsze: jego stosunek do sytuacji i spraw Polaków na Wschodzie oraz jego postawę wobec polityki wschodniej obecnych władz naszego państwa. A jak się okazuje, jest o czym pisać.

WYSTAWA O LUDOBÓJSTWIE

W Muzeum Niepodległości w Warszawie otwarto w lipcu wystawę o dramatycznych wydarzeniach na Wołyniu (w domyśle – i w Małopolsce Wschodniej) w latach II wojny światowej. Jak podały notatki prasowe, wystawa jest zbiorem fotografii i opisuje rok po roku historię tamtej tragedii. *Wołyń czasu zagłady 1939–1945* – to wystawa podzielona na trzy części: pierwsza opisuje życie mieszkańców przed zagładą, druga przedstawia okrutne morderstwa Ukraińskiej Armii Wyzwoleńczej (UPA) na ludności polskiej, trzecia z kolei opowiada o współczesnych śladach tamtych wydarzeń. Jak poinformował Sebastian Urbańczyk z Działu Edukacji i Promocji Muzeum, *część wystawionych fotografii jest na tyle drastycznych, że absolutnie nie należy pokazywać ich dzieciom*. Fotografie te pochodzą z wielu źródeł, m.in. z IPN w Warszawie i Lublinie, z Żydowskiego Instytutu Historycznego w Warszawie, Muzeum Sztuki w Łodzi, Kresowego Ruchu Patriotycznego w Warszawie oraz od osób prywatnych.

Notatki

◆ W październiku br. mija II rocznica nadania imienia **Orląt Lwowskich Szkole Podstawowej w Zabratówce** k. Tyczyna (wojew. podkarpackie) – pisaliśmy o tym pięknym wydarzeniu w CL 1/07.



KULTURA NAUKA

CRACOVIA SACRA

Krakowska noc – Cracovia Sacra – w piątek 15 sierpnia – w święto Matki Boskiej Wniebowziętej i w rocznicę Cudu Nad Wisłą otworzyła wnętrza kościołów, klasztorów i skarbców, wypełniając je muzyką. Wydarzeniem był koncert w Katedrze Wawelskiej. Piękna muzyka stanowiła tło dla wydarzenia, jakim było wystawienie po raz pierwszy przechowywanego w skarbcu katedralnym cudownego obrazu Matki Boskiej Łaskawej z Katedry Lwowskiej. Ten skromny, niewielki obraz ma bogatą historię. Przedstawił ją proboszcz Katedry Wawelskiej, ks. prałat Zdzisław Sochacki, kanonik Kapituły Metropolitalnej.

Obraz powstał w 1598 roku we Lwowie. Twórcą był Józef Szolc-Wolfowicz, mierniczy, geometra miejski, członek Bractwa Malarzy Katolickich we Lwowie. Okoliczności powstania obrazu wiążą się z tragedią rodzinną. Córka Wolfowicza, Katarzyna, żona rajcy miejskiego Domagalicza, utraciła drugie dziecko – kilkuletnią Kasię. Dziadek swój ból, ale i wiarę, nadzieję i miłość wyraził w obrazie, który namalował temperami na desce sosnowej o wymiarach 61,2 x 44,2 cm.

Przed tym wizerunkiem król Jan Kazimierz składał zdobyczne sztandary, dziękując za zwycięstwo pod Beresteczkiem. Przed tym obrazem 1 kwietnia 1656 roku w otoczeniu senatorów i szlachty złożył Ślub, oddając całą Rzeczpospolitą pod opiekę Matki Boskiej. Przed tym cudownym obrazem złożył berło i koronę, uznając Maryję za Królową Polski. Obraz słynący cudami był umieszczony w ołtarzu głównym Katedry Lwowskiej.

W 1946 roku obraz został wywieziony w obecne granice Polski. Był przechowywany w Częstochowie, później u Sióstr Józefitek w Tarnowie, wreszcie znalazł się w Krakowie, w skarbcu katedralnym, co

Teraz pokazujemy piśmko pt. „Dzwonek”, wydawane przez Samorząd Uczniowski tej Szkoły. Cały numer o 16 stronach jest poświęcony Lwowowi i Obronie Lwowa w 1918 roku. Otwiera go artykuł *Dzieje Lwowa w zarysie*, potem mowa o *Młodych obrońcach Lwowa*, na koniec *Wspomnienia* p. Elżbiety Cwynar, mieszkanki Zabratówki, rodowitej lwowianki. W numerze dużo wierszy i ilustracji.

Korzystając z okazji przesyłamy Pani Dyrektor i Gronu Nauczycielskiemu oraz Młodzieży serdeczne pozdrowienia i życzenia zdrowia, pomyślności, sukcesów w pracy i nauce oraz – pamięci o Polskim Lwowie.

Zarząd Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów PW oraz Redakcja kwartalnika „Cracovia-Leopolis”

◆ W kwietniu w Tychach, **zmarł w wieku 103 lat major Aleksander Sałacki**. W 1918 r. jako czternastolatek bronił Lwowa w walkach z Ukraińcami, dwa lata później brał udział w wojnie polsko-bolszewickiej. Podczas II wojny światowej walczył w Pułku Piechoty Strzelców Kresowych w stopniu podporucznika. Wojnę spędził w czterech oflagach. Wojenne losy opisał Sałacki w książce *Jeniec wojenny nr 335*. Po II wojnie pracował jako nauczyciel.

uniemożliwiało oddawanie kultu Maryi w cudownym wizerunku.

Na prośbę środowisk związanych ze Lwowem obraz będzie wystawiany w umówione dni i odprowadzana będzie przed nim msza św.

Nastrój modlitewny wieczoru Cracovia Sacra stworzył jak zwykle – wspaniały występ chóru „Organum” i Kwartetu Instrumentów Dętych, kierowanych przez dyrygenta Bogusława Grzybka. Na organach koncertował Witold Zalewski, wykonując dzieła Cesara Francka i J.S. Bacha. Koncert rozpoczął się odśpiewaniem przez chór chorálu *Bogurodzica* i pieśni *Śliczna Gwiazdo Miasta Lwowa*. Wysłuchaliśmy też 12 pieśni do Matki Boskiej Kalwaryjskiej w opracowaniu J. Targosza. Koncert zakończył utwór lwowskiego kompozytora Mieczysława Sołtysa pt. *Bogurodzica Lwowska*.

Z żalem żegnaliśmy Cudowny Obraz z nadzieją, że będziemy mogli modlić się przed nim częściej.

Marta Walczewska

TROCHĘ LWOWA NA PŁAZÓWCE

Na pewno niejednen Czytelnik bywałą w Zakopanem i wędrujący po jego okolicach (nie tylko w doliny i na szczyty tatrzańskie) zna Płazówkę, położoną na stoku grzbietu, ciągnącego się od Gubałówki ku zachodowi.



Płazówka to formalnie przysiółek Witowa, ale leży odeń dużo wyżej i ma wyjątkowo piękny widok na całe Tatry. Kiedyś zamieszkała tylko przez rody góralskie, dziś odwiedzana jest przez coraz liczniejszych ceprów, skutkiem czego powstaje (niestety!) coraz więcej obszernych domów i pensjonatów.

Na Płazówce jest piękny drewniany kościółek w stylu góralskim, dotąd mało znany. I tu coś dla nas ciekawego: kościół ufundował w 2. połowie XIX w. lwowski ksiądz Jan Stopczyński, ale pochodzący z tych stron. To nie wszystko: projektantem kościółka był Juliusz Bełtowski, artysta rzeźbiarz i profesor Szkoły Przemysłowej we Lwowie, a wykonał go majster ciesielski Józef Nędza-Kubiniac z Kościeliska. Wyposażenie wnętrza i sprzęt do odprowadzania mszy św. dostarczone zostały ze Lwowa. Budowa trwała od 1881 r. do 1892, kiedy kościół został uroczystie poświęcony. (AC)

Skorzystaliśmy z artykułu Artura Rottera w „Dzienniku Polskim” 185/2008.

Kronika

◆ W lipcu na tegorocznym, XXX Festiwalu Muzyki Dawnej w Starym Sączu gościł polski Chór Mieszany „Echo” ze Lwowa, przedstawiając historyczny przekrój muzyki religijnej i świeckiej Lwowa.

◆ Z satysfakcją notujemy imprezy organizowane przez zaprzyjaźnione Muzeum Niepodległości w Warszawie, dotyczące problematyki Kresów Wschodnich (szeroko rozumianych), których historia i kultura posiadała obustronne związki z I i II Rzeczpospolitą. Przed rokiem miała tam miejsce wystawa poświęcona *Brasławszczyźnie**, a ostatnio – we wrześniu '08 – odbyła się prelekcja dr. Jana Skłodowskiego pt. *Żmudz – wspólne dziedzictwo*. Temat ten wpisuje się również w nasze oczekiwania w kwestii badań i popularyzowania kolejnych regionów historycznych, których związki z I i II RP nie były obojętne dla naszych dziejów, naszej kultury oraz wywodzących się stamtąd Polaków. A także w kierunku odwrotnym – w tym przypadku dla Żmudzi.

Spodziewamy się, że doczekamy się szerszej publikacji autora, która wzbogaci naszą wiedzę oraz zapoczątkuje dalszą

serię badań naukowych nad tym regionem i sąsiednimi.

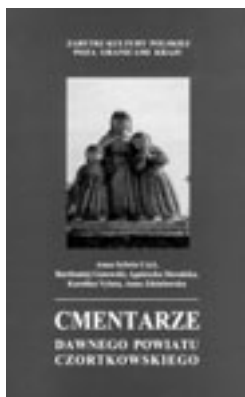
◆ We wrześniu odbył się w Krakowie II Konkurs Piosenki Lwowskiej, połączony z konkursem bałaku. W obu konkurencjach zwyciężył Wojciech Habela – dobrze nam znany z licznych występów w Krakowie i innych miastach. Koncert zorganizował zespół „Chawira” wspólnie z Komitetem Obywatelskim Miasta Krakowa.

Koncert galowy odbył się w niedzielę 21 IX w teatrze „Grotoska”, a uświetnił go występ Haliny Kunickiej, urodzonej – jak ujawniła – we Lwowie przed samą II wojną światową.

Na koniec warto przypomnieć, że Wojciech Habela, aktor, jest synem nieżyjącego już muzyka, muzykologa, popularyzatora muzyki – Jerzego Habeli, lwowianina, współautora – wraz z Zofią Kurzową – księgi o lwowskich piosenkach. Pisaliśmy o nim w CL 2/97.

Książki czasopisma

Nowe książki



📖 Kolejna nowo odkryta seria wydawnicza to *Zabytki kultury polskiej poza granicami kraju*, realizowana pod redakcją prof. Ryszarda Brykowskiego. W tej chwili mamy w rękach dwa tomy z tej serii: – **Cmentarze dawnego powiatu borszczowskiego**, autorstwa **Anny Sylwii Czyż** i dwójga współpracowników*, opracowany przez Koło Naukowe Studentów Historii Sztuki

Uniwersytetu Kardynała S. Wyszyńskiego w Warszawie (2004);

– **Cmentarze dawnego powiatu czortkowskiego**, autorstwa **A.S. Czyż** i czworga współpracowników**, opracowany przez Koło Naukowe jw. wraz z pracownikami Instytutu Historii Sztuki USK (2007).

Przy inwentaryzacjach uwzględniono w zasadzie nagrobki polskie (wyjątkowo dwujęzyczne), powstałe do końca II wojny światowej. W powiecie borszczowskim znalazły się 22 cmentarze, w czortkowskim 34. Zamieszczono sporo fotografii (74 i 110) oraz plany cmentarzy.

Wśród nazwisk pochowanych znajdujemy wszystkie stany: mieszkańców wsi i miasteczek, ziemian, przedstawicieli arystokracji (m.in. Sapiehowie, Lanckorońscy, Potoccy, Wolańscy, Czarkowscy-Golejewscy itd.).

Tomy zostały wydane wspólnie przez Stow. „Wspólnota Polska” oraz Ośrodek ds. Polskiego Dziedzictwa Kulturalnego Poza Granicami Kraju w Warszawie. Wydawcom i Redaktorowi trzeba wyrazić wdzięczność i uznanie oraz życzyć rychłego wydania kolejnych tomów. Takie same wyrazy należą się gronu wykonawców inwentaryzacji z Uniwersytetu Kardynała S. Wyszyńskiego.

* Bartłomieja Gutowskiego i Piotra Janowczyka

** Bartłomieja Gutowskiego, Agnieszkę Skrodzką, Karolinę Wysatą i Annę Zdzieborską

📖 Kolejny tom wydawnictw Biblioteki „Wołanie z Wołynia”, jaki nadszedł z Ostroga via Biały Dunajec, to tom poezji Brata **Adriana Wacława Brzózki** OFM pt. **Sny utraconej ziemi** (2007), na który złożyły się trzy wcześniej wydane tomiki: *Ciche wyznanie* (1995), *Milczące cienie* (1997) i *Ziarno goryczy* (1997).

Brat Adrian nie jest wołynianinem, pochodzi z Wielkopolski (ur. 1963), ale na Wołyniu – w Kowlu, w latach 1993–98 pracował. Widać te pięć lat odcisnęło się w jego duszy mocno – kraina, jej



historia, ludzkie dramaty. Charakterystyczne są dedykacje wierszy: byli to więc najpierw najbliżsi bracia w pracy duszpasterskiej, co oczywiste, ale potem coraz bardziej osoby wybrane, ludzie, którzy stawali mu się przewodnikami: ks. Ludwik Kamilewski, Leon Poppek, Krzysztof Kołtun. Zrozumienie tej ziemi ujawnia się od razu w tytule całego tomu – *Sny utraconej ziemi*, a potem w treści wierszy poświęconych wywiezionym, zamordowanym. I znowu w dedykacjach: *Obróńcom Lwowa 1918 r.*, *Żołnierzom AK...*

Pozwalamy sobie zacytować wiersz *Requiem*:

OBROŃCOM LWOWA z 1918

*Cisza otacza kamienne mogiły
w których spoczywają
Orleńa Lwowskie
Cisza błogosławiona nuci im
„Requiem” Mozarta
przeplatając homilią
przyniesioną przez wiatr
z łacińskiej katedry*

*Ich dusze
w białe szaty odziane
patrzą w twarz Boga
zapominając co było
Bo tam pamięci nie ma
ni tańców niewoli
a każdą łzę otarł im
z pokrwawionych oczu
sam Bóg*

Kowel, marzec 1995

📖 Ciągle jeszcze niedostateczną literaturę na temat wydarzeń II wojny światowej we Lwowie wzbogaca książka wydana przez Wydawnictwo „Unia” w Katowicach (1997): ***Konspiracja lwowska 1939–1944. Słownik biograficzny***, autorstwa **Jerzego Węgieńskiego i Grzegorza Mazura**. Słownik obejmuje 185 biogramów, do których informacje – jak wyjaśnia na wstępie wydawca Jerzy Skwara – zostały zebrane wieloletnią pracą głównie przez prof. Węgieńskiego. Rolą dra Mazura było uzupełnienie i uporządkowanie materiału. Na końcu książki zamieszczono schemat struktury organizacyjnej konspiracji lwowskiej, który wyjaśnia działania poszczególnych osób ujętych w Słowniku.

Słownik nie obejmuje jeszcze wszystkich czołowych działaczy konspiracji (brak

dwudziestu kilku), ani też pełni wiadomości o osobach, pomimo szerokich poszukiwań. Dziś coraz trudniej o nowe informacje – najmłodszy z żyjących dotąd uczestników dobiegają osiemdziesiątki. Można jeszcze liczyć na potomstwo – o ile istnieje i jest zainteresowane oraz posiada jakiegokolwiek materiały). Dlatego wydawca apeluje do szerokiego grona czytelników o ewentualne wiadomości, dokumenty.

Wśród wymienionych działaczy występuje szereg znanych, czasem wybitnych postaci. Należą do nich generałowie Leopold Okulicki, Mieczysław Boruta-Spiechowicz, Marian Żegota-Januszajtis, księża Rafał Kiernicki (późniejszy biskup) i Zygmunt Truszkowski, znakomici profesorowie Eugeniusz Rybka, Adam Gruca, Franciszek Bujak, Antoni Sabatowski, druhna Stefania Stipal...

Nie wszyscy wywodzili się ze Lwowa czy z Małopolski Wschodniej. Spotykamy wiele postaci rodem z Krakowa i zachodniej Małopolski, z Warszawy i Mazowsza, z Wielkopolski, ze Śląska. Byli bowiem polskimi żołnierzami i o całą Polskę walczyli.

📖 Wydawnictwo „Unia” w Katowicach wydało w 2007 r. niedużą książkę **Terezy Domaszewskiej** pt. ***Zrównane z ziemią***, z podtytułem: *Dzieciństwo w Serednem i we Lwowie*. Pozycja ta wzbogaca literaturę wspomnieniowo-dokumentacyjną z Kresów. Autorka z kobiecą dokładnością opisuje środowisko, w którym wzrosła: dom, ogród, krewnych, znajomych, nianie, zwierzęta – wszystko to, co zapamiętała z wczesnej młodości (rok urodzenia 1924), do wybuchu II wojny światowej, która zniszczyła wszystko: nie tylko ustabilizowane życie rodzinne (ojciec, aresztowany przez NKWD, odnaleziony został na „ukraińskiej liście katyńskiej”), ale także zburzyła w sposób dosłowny dwór rodzinny, zabudowania gospodarskie, sad, ogród.



Do tego stopnia, że została tylko jedna okaleczona przez odrabianie części konarów unikatowa czarna sosna. Reszta zrównana z ziemią, tak jak w tytule książki.

O okresie lwowskim 1939–44 opowiada ostatni rozdział: *Pod dwiema okupacjami*. Na wiosnę 1944 r. rodzina przeniosła się do Warszawy...

Książkę czyta się łatwo. Pisana jest zwartym, treściwym stylem. Nostalgii za utraconym dzieciństwem trzeba się domyślać, bo nie wyrażają tego słowa, raczej opisywane fakty. (DTS)

Wieś Seredne leży przy drodze Bursztyn–Kałusz, blisko Wojniłowa, w wojew. stanisławowskim.

📖 Mamy dobry urodzaj na literaturę o Brodach. Niedawno ukazała się książka J. Karpackiej-Nasiek, omawiana w poprzednim numerze CL, obecnie otrzymaliśmy od Brodzian w prezencie – za co serdecznie dziękujemy – nową książkę: **Brody. Przypomnienie kresowego miasta**, autor **Zbigniew Kościów** (Wydawnictwo „Edytor” – staraniem Koła Przyjaciół Brodów, Wisła 2007).

Autor podzielił różnorodny materiał na cztery części. Pierwsza z nich, obejmująca cztery rozdziały, to historia Brodów, poczynając od prehistorii (o tym niżej), aż po współczesność. Omawia nie tylko aspekt historyczny, ale również kwestie społeczne, narodowościowe i religijne, oświatowe i kulturalne. Część druga to słownik Polaków brodzkich (głównie współczesnych, w większości ekspatriowanych po II wojnie), który już wcześniej ukazał się w czterech zeszytach. Część trzecia to zbiór tekstów różnych autorów – zarówno wspomnienia rodowitych brodzian, jak innych – o Brodach. Część czwartą stanowi zbiór nostalgicznych wierszy.

Tak więc problematyka brodzka została tu ujęta dość szeroko i wielostronnie. Każda część wnosi wiele do naszej (ciągle niepełnej) wiedzy o utraconej *małej ojczyźnie*.

Jest jednak zawsze jakieś *ale* – czy-

telnik nie otrzymał wyjaśnienia, kto żył na tych ziemiach we wczesnym średniowieczu (w naszym rozumieniu, tzn. w wiekach IX, X), gdy kształtowały się w tej części wschodniej Europy narody i państwa. Dla nas szczególnie istotny jest wiek X*, bo następne są już dobrze znane.

Ziemie te nasi obecni wschodni sąsiedzi chętnie przypisują ludności ruskiej, a jest to nieprawda. Świadczy o tym m.in. zapis Nestora o zabranii *Lachom* tych ziem w 981 r. Lachowie to wedle źródeł pisanych z IX–XII w. Lędzianie, plemię zachodniosłowiańskie, prapolskie – obecnie pisze o nich wielu historyków, archeologów, językoznawców. Artykuł prof. M. Parczewskiego z UJ przedrukowaliśmy w naszym kwartalniku 2/06 pt. *Przedmurze lędziańskie*, a także całą serię dalszych opracowań.

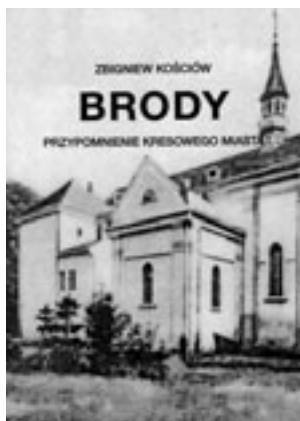
Dodajmy, że Brody leżą niemal w samym środku obszaru uznawanego za lędziański – między Sanem a Horyniem oraz między Wieprzem a górnym Dniestrem. Niektórzy uczeni rozciągają ten obszar nawet dalej na południe, poza Przemyśl.

Na zakończenie polecamy żurawiejki, które znalazły się na końcu części poetyckiej. Trzeba wyjaśnić że w Brodach stał przed wojną 22 pułk Ułanów Podkarpackich i dwie inne jednostki.

* W r. 981 nie ziemie ruskie przeszły w ręce polskie (patrz s. 12), lecz odwrotnie.

📖 Muzeum Zamojskie w Zamościu wydało ciekawy album zdjęć, zatytułowany **Ginące piękno. Detal architektoniczny w zabawkach polsko-ukraińskiego pogranicza** (2005). Album (podpisy dwujęzyczne) dotyczy – prawdę mówiąc – całkiem bliskiego pasa naszych ziem, przedzielonych sztucznie jałtańską granicą, którego wschodnia część pozostaje pod administracją państwa Ukraina. Album jest pokłosiem wystawy, będącej efektem prac badawczych i dokumentacyjnych, prowadzonych po obu stronach kordonu, w ramach projektu *Phare 2003*.

Zdjęcia dotyczą nie tylko detalu architektonicznego, także samej architektury sakralnej, murowanej i drewnianej, oraz zabudowy miejskiej, wiejskiej i rezydencji. Poza obiektami architektonicznymi i ich detalami pokazano krzyże i kapliczki, dzwony, kowalstwo artystyczne.





Pojęcie „ginięcia” wynika z dwóch przyczyn. Jest to zarówno brak dbałości o odbudowę i konserwację starej, zabytkowej substancji, zniszczonej bardziej lub mniej w czasie II wojny i przez lata powojenne, ale także – postęp cywilizacji (w najgorszym rozumieniu), który skazuje stare budownictwo, zwłaszcza drewniane, na zagładę. Zdjęcia pokazują więc nie tylko obiekty niszczone i zniszczone, ale i takie, które pozostają jeszcze w dobrym stanie, lecz ich los jest przesądzony.

Piękna detalu, który oglądamy na zdjęciach, w większości nie znamy, bo w dużej mierze jest dla „zwykłego” oka mało widoczny, niezauważalny. Zdjęcia wykonane przez fachowców, zarówno historii sztuki, jak i sztuki fotografowania, dają nam szansę poznania i docenienia tego.

📖 Mówiąc szczerze, nie pociągają nas książki o Lwowie i tamtych Ziemiach pisane przez ukraińskich autorów. Być może nasz mało pozytywny stosunek do tej literatury wynikał z antypatycznej (wyrażając się delikatnie), przemądrzałej twórczości przeciętniaków, nie wiadomo dlaczego tak bezmyślnie fetowanej w Polsce...

Chyba bardziej strawne byłyby (byłyby, bo nie czytaliśmy, wiemy tylko z notek w krajowych gazetach): **Lwów. Trzy eseje**, napisane przez autorów o nazwiskach **Jurko Prohaśko, Natałka Śniadanko i Jurij Izdryk**, a wydane przez nieznaną nam wydawnictwo „Nemrod”, Kraków 2005. Autorzy nie pchają się – może poza ostatnim – w historiozoficzne roztrząsania bytu. Najbliższy nam wydaje się esej drugi – cytujemy fragment z recenzji Marty Dvorak, GW z 24 listopada '05.

W „Mapie utraconego raju” z lwowskimi mitami w publicystycznym stylu rozprawia się Natałka Śniadanko. Konfrontuje wspomnienia Lwowa – stolicy Galicji, Paryża czy Wiednia Wschodu, z prowincjonalizującym się miastem, z którego ludzie wyjeżdżają do Kijowa albo na Zachód. Zestawia obraz wspańskiego Lwowa, wciąż żywy w zbiorowej świadomości mieszkańców zachodniej Ukrainy, z codziennymi bolączkami miasta – brakiem wody, zdewastowanymi budynkami poddawany

przeniem starych kamienic i wznoszeniem nowoczesnych paskudnych budynków, brzydota nowych pomników, ignorancją władz.

Jedna, która nie bała się napisać prawdy...

📖 Niewielką książeczkę wspomnień ze swojego życia wydała pani **Zofia Dudrówna**, pt. **Moja muzyka** (Kraków 2007). Osoba Pani Profesor jest już dobrze znana w naszym ekspatrianckim środowisku jako członkini TMLiKPW i uczestniczka naszych spotkań (nie mówiąc oczywiście o krakowskim środowisku muzycznym), zaś ogółowi Czytelników CL z dwóch tekstów dla nas napisanych: *Skole, Skole, moja miłość* (1/02) i *Gwiżdzy nad Storożką* (1/03). Owe teksty już zapowiadały ukazanie się tomu wspomnień, który tu omawiamy. Fakty z życia Autorki i Jej rodziny oraz refleksje z nich wynikające zostały oczywiście mocno rozbudowane, wzbogacone, poczynając od

Prof. Zofia Dudrówna (u góry, z lewej) z rektorem K. Pendereckim i koleżankami z Akademii Muzycznej w Krakowie, 1979



ukochanego, pięknego Skolego nad Oporem, poprzez wojenną i powojenną tułaczkę, aż po powrót do kraju i spokojniejsze czasy krakowskie (a zebrało się tego wszak kilkadziesiąt lat) – te ostatnie podane jednak w skrócie, w kilku punktach. Prosi się więc o tom drugi, o szeroki opis kariery zawodo-

wej i liczne podróże po całym świecie. Warto by też – naszym zdaniem – rozbudować wątek Storożki, choćby przez zacytowanie i skomentowanie korespondencji Ojca Pani Profesor z Wandą Młodnicką (Monne) i Marylą Wolską.

Czekamy więc, Pani Profesor!

Wertując wydawnictwa

➔ W „Rzeczypospolitej” z 1–2 sierpnia '08 znalazło się wstrząsające **opowiadanie Włodzimierza Odojewskiego** pt. *On był Polakiem, ona Ukrainką*. Treścią literacko ujętego utworu jest napad młodzików z UPA na dom młodego małżeństwa, które z wyuzdaniem zamordowali, wyrwijąc bestialsko nienarodzone dziecko z wnętrzości.

Narrator i zarazem – z ukrycia – przy-
padkowy świadek tragedii, z trudem dźwi-
gnął się z ziemi, gdy wszystko ucichło. Jego
zdrętwiały umysł zdobył się na modlitwę,
która mogła mu przynieść ukojenie:

*...advocata nostra, illos tuos
miseriordes oculos ad nos converte.
Et Jesum, benedictum fructum ventris tui
nobis post hoc exsilium ostende.
O clemens, o pia, o dulcis
Virgo Maria.*

➔ W czasie beatyfikacji bł. **Siostry Marty Wieckiej** we Lwowie, której uroczystość opisujemy w tym numerze, uczestnikom rozdano pamiątkowe teczki z czterema książeczkami i różańcem. Książeczki były następujące:

- *Siostra Marta Wiecka. Cuda i łaski*. Opracowała s. Adolfina Dzierżak SM (Kraków 2008);
- *Siostra Marta*, autorka s. Małgorzata Borkowska OSB (Kraków 2008);
- *Oddać życie. Marta Wiecka, Siostra Miłosierdzia*, autorka s. Anna Brzęk (Kraków 2008);

wszystkie trzy w języku polskim. Ponadto:

- *Beatyfikacja Siostry Marty Wieckiej, Lwów 24 maja 2008*, z tekstami dwujęzycznymi na mszę św. beatyfikacyjną.

➔ W periodyku „Kombatant” nr 3/2008 znalazł się artykuł Wojciecha Sawickiego* pt. *Dlaczego Stalin nie zrobił z Polski siedemnastej republiki?* Autor na podstawie dość skromnego zasobu posiadanych dokumentów dochodzi do wniosku, że spowodowała to paromiesięczna obserwacja Polaków (oficerów WP, funkcjonariuszy Straży Granicznej, Policji Państwowej, Straży Więziennej oraz urzędników państwowych) – jeńców Katynia, najzupełniej nie poddających się propagandzie politycznej, indoktrynacji komunistycznej oraz werbowaniu agentów, a przeciwnie – powodowała integrację jeńców. Brak „sukcesów” skłonił władze sowieckie do wymordowania tych ludzi. W dalszej perspektywie doświadczenia te spowodowały sposób myślenia Stalina o Polsce i Polakach. W efekcie – gdy kraje bałtyckie stały się republikami sowieckimi, Polska pozostała formalnie (ale nie faktycznie) państwem niepodległym.

W zakończeniu artykułu autor pisze: **Uważam, że w obecnej Polsce brakuje dwóch bardzo ważnych muzeów, które by miały rangę podobną do Muzeum Powstania Warszawskiego, tj. muzeum kresów wschodnich i muzeum katyńskiego.**

* Historyk i archiwista, znawca problematyki komunistycznych służb specjalnych, obecnie z-ca dyrektora pionu archiwalnego IPN.

➔ 40-osobowa grupa młodzieży z Zespołu Szkół Ogólnokształcących w Szarowie k. Krakowa oraz z LO w Wieliczce – jak przeczytaliśmy w „Dzienniku Polskim” z 23 VII 2008 w artykule **Ukraińska lekcja wychowawcza** – udała się na przełomie czerwca i lipca br. wraz ze swym dyrektorem na wycieczkę w Karpaty Wschodnie. W drodze powrotnej, na punkcie granicznym po stronie ukraińskiej w Starzawie/Krościenku *ukraiń-*

scy funkcjonariusze kilkakrotnie zmusili go do zapłacenia drobnych kwot – de facto za „wpuszczenie” i „wypuszczenie” autokaru. A to za ochronę fitosanitarną (20 zł), a to za niestanie w kolejce (10 zł), a to za kontrolę celną (60 zł). Dyrektor płacił, bo nie miał innego wyjścia. – Czuję się upokorzony i bezsilny. Nie było z kim rozmawiać.[...]

Dyrektorowi poradzono, by złożył skargę w Konsulacie Generalnym Ukrainy w Krakowie. Tu mu jednak powiedziano, że powinien się zwrócić do Konsulatu Polskiego we Lwowie. Na pytanie dlaczego, odpowiedziano: – Bo interesy strony polskiej załatwiają ważne konsulaty na Ukrainie – usłyszeliśmy.

A więc: skarga na naganne zachowanie i korupcję celników ukraińskich to jest interes strony polskiej. Czy wobec tego polski konsul powinien udać się do Starzawy i tam zbesztać ukraińskich funkcjonariuszy? I może jeszcze pogrozić palcem?

Zażenowany powiedziałem o zajściu nauczycielom i młodzieży, bo większość nie wiedziała dokładnie, co działo się na granicy. Uznałem, że mam taki obowiązek, zwłaszcza że uczę wychowania obywatelskiego (wiedzy o społeczeństwie), mówię na lekcjach o funkcjonowaniu demokracji – mówi dyrektor.

Najgorsze to, że potem dyrektorowi może się oberwać od przedstawicieli najwyższych władz RP, ponieważ podobno z Ukrainą trzeba elegancko...

➔ Otrzymaliśmy kolejny „Biuletyn Koła Samborzan” – za rok 2008. W numerze, jak zwykle, sporo ciekawych materiałów, głównie wspomnień o samborzanach, którzy odeszli.

Pierwsze – o ppłk. Janie Drotlefie (1913–2008), kombatancie kampanii wrześniowej, żołnierzu Polskich Sił Zbrojnych na Zachodzie, uczestniku bitwy pod Monte Cassino. Po wojnie mieszkał w Wejherowie, z zawodu był ekonomistą (studia w Wilnie). Następne wspomnienie – o Janie Michalcewiczu z Sambora, inżynierze, ale zarazem utalentowanym malarzu-amatorze, zamieszkałym po wojnie w Chrzanowie.

Kolejne wspomnienie – o słynnym Jerzym Kulczyckim herbu Sas (1640–1694), który wedle podań pierwszy sprowadził do Polski kawę.

Tu mamy małą uwagę: autor tekstu napisał, że Kulczycki należał do polskiej szlachty ukra-

ińskiego pochodzenia. Otóż w XVI wieku nie było mowy na tych ziemiach o „ukraińskości”, bo to pojęcie wylansowali nacjonałiści z końcem XIX wieku. Byli natomiast Rusini, a Ukraina leżała hen-hen, za Dnieprem. I nazwisko rodziny Kulczyckich jest ukształtowane na sposób polski. A w ogóle, czy potrzebne jest przypominanie licznych Polakom ich niepolskiego pochodzenia?

I jeszcze wspomnienia o Janie Korczu, rodem z podsamborskich Biskowic, utalentowanym malarzu-kolorystyce. Po wojnie żył i zmarł w Gorzowie Wielkopolskim; o Jerzym Gawrońskim, samborzaninie z urodzenia, inżynierze, a zarazem turyście, miłośniku przyrody (1930–2008, zmarł w Krakowie).

W numerze znalazły się jeszcze dwa artykuły o zakonach w Samborze: Siostrach Służebniczkach NMP (Starowiejskich) i ich działalności wychowawczo-charytatywnej, oraz o Siostrach Franciszkanek Rodziny Maryi, które uratowały ok. 500 dzieci żydowskich oraz 250 dorosłych.

➔ Mieliśmy kilka numerów pisma „Karta”, ciekawego kwartalnika historycznego, ukazującego się od roku 1991. Trudno to jednak zbyt długo przetrzymywać, więc ostatnio przekazaliśmy je do Muzeum Niepodległości w Warszawie. Przed wystaniem jednak wynotowaliśmy najciekawsze dla nas artykuły, które warto zapamiętać.

Nr 13/1994 – Alina Heczko: **Pożegnanie Lwowa**. Autorka opisuje rozterki z okresu kwiecień '44 – maj '45, związane z problemem: wyjeżdżać czy zostać we Lwowie. *Czekamy na koniec konferencji* [w Poczdamie]. *Jeśli wojna – oczywiście zostajemy. Jeśli pokój, a tym samym utrata Lwowa – konieczna będzie ewakuacja.*

– Ryszard Gansiniec (profesor, filolog klasyczny): **Na straży miasta**. Kalendarium osobistych przeżyć, a potem przygotowań do wyjazdu ze Lwowa, od grudnia '44 do czerwca '46.

Nr 16/1995 – Michał Sobków: **W Koropcu**. Obszerna relacja z życia wsi w latach przedwojennych. *Ludność Koropca składała się z trzech narodowości: Ukraińców zwanych powszechnie Rusinami, Polaków i Żydów. (...) Polacy z Rusinami żyli w symbiozie. Nienawiść Rusinów skierowana była przeciw Rosji, która zagarnęła im Ukrainę. W Polsce natomiast cieszyli się swobodą i równością praw. Wolno im było śpiewać*

ich narodowy hymn, wieszać niebiesko-żółte flagi na gmachu ukraińskiej czytelnicy... Kolejna relacja dotyczy sytuacji w czasie trzech okupacji i rozwoju akcji banderowskiej ze szczegółowymi opisami wydarzeń. Tekst M. Sobkova wywołał ostrą reakcję Ukraińca zamieszkałego we Wrocławiu w „Karcie” nr 20/96 oraz rzeczową odpowiedź M. Sobkova.

Nr 19/96 – Stanisław Czuruk: **Grypsy lwowskie**. Autor, student, związał się z konspiracją po powtórny zajęciu Lwowa przez Sowietów (1944). Został aresztowany i osadzony w obozie przy ul. Pełtewnej, wykonując pracę przymusową na terenie

miasta. Z obozu pisał grypsy do rodziny. W 1948 r. wywieziony do łagru na Kołymie, wrócił w 1955 r.

Nr 21/96 – seria 5 artykułów o wojnie polsko-bolszewickiej 1920 r., w tym **Skrzydła nad Polską** K.M. Murraya o utworzeniu eskadry amerykańskiej we Lwowie, dowodzonej przez płk. Cedrica Fauntleroya. Eskadra ta walczyła na całym froncie polsko-bolszewickim. W artykułach nie wspomniano o bitwie pod Zadwórzem.

– seria 5 artykułów pod ogólnym tytułem **Wypędzenie**. W Instytucie Historii Uniwersytetu Warszawskiego rozpoczęły się prace nad tematem badawczym Wypędzeni, w któ-

Obraz zawsze lwowski

W krakowskim „Dzienniku Polskim” z 8 VIII '08 czytamy rozmowę red. Wacława Krupińskiego z ks. Zdzisławem Sochackim, od niedawna proboszczem Katedry Wawelskiej. Rozmowa toczy się na temat cudownego obrazu Matki Bożej Łaskawej z Katedry Lwowskiej, zabranego – dla ratowania – ze swego miejsca przez ks. arcybiskupa Eugeniusza Baziaka, gdy został on zmuszony do opuszczenia Lwowa w 1946 roku. Obraz znajdował się kolejno w klasztorze Bernardynów w Kalwarii, w Krakowie i Tarnowie, a od 1974 r. w Lubaczowie, gdy utworzono tam zastępczą rezydencję arcybiskupów lwowskich. I na końcu, gdy przywrócono faktyczną archidiecezję lwowską w 1991 r., nowo mianowany arcybiskup Marian Jaworski przekazał obraz – jak napisał Redaktor – archidiecezji krakowskiej. Od tego czasu znajduje się on w skarbcu katedralnym na Wawelu.

Nie wiemy, jak interpretować słowo *przekazał*, a także tytuł artykułu *Tu jest jego miejsce*. Czy są to sformułowania redaktorskie?

Ołtarz MB Łaskawej, umieszczony w głównym ołtarzu Katedry Lwowskiej, został ukoronowany diademami papieskimi przez abpa Wacława Sierakowskiego

w 1776 roku. Ma on dwie XX-wieczne kopie: pierwsza znajduje się w Lubaczowie i została osobiście ukoronowana przez Jana Pawła II na Jasnej Górze w r. 1983. Druga, ozdobiona diademami poświęconymi przez Jana Pawła II w czasie Jego pobytu we Lwowie w 2001 r., znajduje się dziś w głównym ołtarzu Katedry Lwowskiej.

Sytuacja wydaje się zawiła. Najbardziej ciekawym oryginał Cudownego Obrazu – ten, który we Lwowie powstał i przez cztery wieki zaskarbił sobie uznanie jako cudami słynący, znajduje się w Krakowie. W istniejącej sytuacji może to być rozwiązanie korzystne, niech jednak wszyscy pamiętają, że ten obraz jest własnością Katedry Lwowskiej, jest jej częścią. Obie ukoronowane kopie – obecna lwowska i lubaczowska, są symbolami, które ten prawdziwy Obraz nam zastępują.

Oryginalny Obraz będzie teraz od czasu do czasu wystawiany dla wiernych w Katedrze Wawelskiej. Natomiast nie przewidyje się eksponowania go na stałe.

Zachęcamy Lwówian z innych miast RP, zwłaszcza bliższych Krakowa, do organizowania pielgrzymek do tej naszej Świętości, oczywiście po uprzednim uzgodnieniu daty z Księdzem Proboszczem (może być za naszym pośrednictwem).

► rym biorą udział młodzi historycy polscy i niemieccy. Dwa artykuły dotyczą wypędzenia Niemców, a trzy osiedlenia się Polaków na tzw. Ziemiach Odzyskanych, jednak bez opisu sytuacji opuszczenia ziemi rodzinnej na Wschodzie.

Nr 31/02 – Jerzy Tucholski: **Powstanie w Czortkowie** – wersja NKWD tragicznie zakończonemu, zorganizowanemu przez polskie podziemie powstania w styczniu 1940 r.

Nr 35/02 – Wspomnienia Jacka Łopuszańskiego, lwowianina, sybiraka, o pobycie na Kołymie i w armii Andersa.

– **Exodus 1942**, kalendarium wyjazdów Polaków z ZSRR. Wyjechało 78 470

żołnierzy i 37 272 cywilów, w tym 13 948 dzieci.

– 2 artykuły o uroczystej odprawie ochotników do SS „Galizien” – seria zdjęć i przemówienia niemieckich dygnitarzy.

– **Centrum Dokumentacji Wypędzeni** – myśli nt. projektu organizacji instytucji.

Nr 41/04 – seria 3 artykułów o dramacie ziemiaństwa polskiego na Ukrainie po rewolucji bolszewickiej.

– artykuł 16-letniego Jarosława Grobelskiego, ucznia z Poznania, o nieudanej współpracy grona młodzieży polskiej i ukraińskiej na temat „historii bliskiej”, spowodowana niechęcią strony ukraińskiej.

PLAC NA PEŁTWI

Ktoś przywiózł nam ze Lwowa świeżo wydany tam komplet 17 widokówek (plus dwa widoczki na okładce), obrazków XIX-wiecznego miasta. Są w tym zarówno stare, kolorowane fotografie, jak i reprodukcje obrazków czy grafik. Jednak – poza dwujęzycznym napisem Lwów oraz krótkimi nazwami obiektów na rewersach kartek (nie zawsze właściwymi) – brak jakichkolwiek informacji o autorach, wydawcy itp. Po prostu jakaś chałtura.

Większość tych widoczek jest dobrze znana z innych wydawnictw sprzed I i II wojny, a także z powojennych reprintów. W efekcie zwróciliśmy uwagę na jedną kartkę – reprodukcję widoku dzisiejszego placu Mariackiego. Z jakiego czasu? – to właśnie jest ciekawe.

Oczywiście nie ma jeszcze mowy o tramwajach, na placu widać tylko wozy i powozy. Tłem jest pierzeja placu, która już nie istnieje – ta z kamienicą, gdzie była znana firma Lewickiego, a dziś stoi *monstrum*, o którym już kiedyś pisaliśmy. Po lewej wi-



dać wierzchołek wieży katedralnej, nie ma jeszcze kamienicy Sprechera.

Najciekawszy jest jednak pierwszy plan. Oto na środku widać mostek, ale koryto Pełtwi jest widoczne tylko po lewej ręce, w stronę Wałów Hetmańskich. Po prawej koryta rzeczki już nie ma. To się zgadza, bo wiemy, że zasklepienie Pełtwi od tego miejsca umożliwiło powstanie placu Mariackiego. Nie ma jeszcze statuy Matki Boskiej, która nadała później nazwę placowi. Obok zasypanej części rzeczki widać rozrzucone bloki kamienne oraz postacie ludzkie – to zapewne robotnicy, którzy przygotowują zasklepienie dalszych fragmentów kanału Pełtwi.

Wydaje się więc, że obrazek przedstawia powstający dopiero plac Mariacki na miejscu wałów miejskich, zburzonych przez zaborców austriackich na przełomie XVIII i XIX w. Plac nie powstał tu od razu, a dopiero po przykryciu biegnącego tędy od-

cinka Pełtwi (pełniącej w tym miejscu rolę fosy przy wałach) – w roku 1841. Nowy plac nazwano wtedy na cześć gubernatora austriackiego – arcyksięcia Ferdynanda. Pozostałe, dłuższe odcinki Pełtwi na terenie miasta zasklepieno dopiero w latach 1883–1905. Na środku placu ustawiono w 1862 r. na studziencie figurę Matki Boskiej, toteż, gdy Galicja uzyskała status kraju autonomicznego (lata 60. XIX w.), zrezygnowano z dotychczasowej nazwy placu i nazwano go Mariackim. W r. 1904 na miejscu statuy wzniesiono pomnik Mickiewicza, a figurę wraz ze studzienką przeniesiono na skraj placu, zarazem początek Wałów Hetmańskich. Tam stoi do dziś, nie licząc przerwy w czasach sowieckich.

Wracając do obrazka – kiedy mógł powstać? Najpewniej około roku 1841, gdy na miejscu koryta Pełtwi zakładano plac Mariacki.

Maksymilian Jamnicki

OBCY ŚWIAT

Dowiadujemy się z prasy, że Polska została zaskarżona przez „Polską Autokefaliczną Cerkiew Prawosławną” do Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w Strasburgu o to, że nasze Państwo nie oddało jej na własność, a jedynie w użytkowanie 24 cerkwie w rejonie Przemysła, Sanoka i Gorlic. Chodzi o to, że cerkwie te należały dawniej – przed kasatą w czasach komunistycznych – do grekokatolików (w Małopolsce nie było wszak prawosławnych), a obecnie Cerkiew Grekokatolicka chce je prawdopodobnie odzyskać.

Mamy kolejny przykład różnic: dwa światy. Kościół rzymskokatolicki nie odnosi się do Strasburga o zwrot wielu swoich świątyń w Małopolsce Wschodniej (i nie tylko), zabranych i zdewastowanych przez komunistów, a potem ofiarowanych przez Ukraińców – komu? Właśnie tym prawosławnym (w kilku wydaniach) i tym grekokatolikom, a nawet baptystom itp. Albo zatrzymanych przez władze na różne cele, np. na sale koncertowe. Nasz Kościół po prostu prosi, inna droga mu nie przystoi.

Tyle, że skutków nie widać. Ale to jest właśnie ten drugi świat.

GROBY PRZODKÓW

Dokończenie ze s. 36

dy, gdy po ustaniu złych emocji spojrzymy spokojnie wstecz.

Za każdym pobycem na Wschodzie odwiedzam Cmentarz Łyczakowski we Lwowie. Miło jest spojrzeć na zachowane w dobrym stanie groby Konopnickiej, Zapolskiej, Grotgera, Goszczyńskiego, profesora Banacha (w grobowcu Riedlów), prof. Balzera i innych. Ileż na tym cmentarzu nazwisk powstańców styczniowych – a ile obco brzmiących: Brandt, Lacher, Lerzel, Fischer i inni. A oni wszyscy walczyli i ginęli za wolną Polskę.

Bo przecież ten obszar był wielonarodowy, wielowyznaniowy i wielokulturowy. Polacy, Ukraińcy, Żydzi, Ormianie, Niemcy, Czesi potrafili żyć zgodnie. Było takie powiedzenie: *Gente Ruthenus – Nazione Polonus* – taka była dawna wielka Polska. A iluż na uczelniach Lwowa było profesorów o obco brzmiących nazwiskach: Longchamps de Berier, Balzer, Weigl, Teisseyre i inni. A ilu z nich zginęło na Wzgórzach Wuleckich z rąk Niemców za to, że byli Polakami.

Może posłuchać rady Angelusa Silesiusa: *Bądź istotny, człowiecze, bo gdy ci świat uciecze, przypadek wnet odpadnie, istota przetrwa snadnie.*

Zakład Literatury Pozytywizmu i Młodej Polski Wydziału Polonistyki Uniwersytetu Warszawskiego zaprasza do udziału w międzynarodowej konferencji pt.

MODERNISTYCZNY LWÓW TEKSTY ŻYCIA – TEKSTY SZTUKI

realizowanej w ramach projektu
DOŚWIADCZENIE EUROPY ŚRODKOWO-WSCHODNIEJ W KULTURZE MODERNIZMU,
która odbędzie się na Uniwersytecie Warszawskim w dniach 10–12 grudnia 2008 r.

Celem naszej konferencji jest próba rozpoznania obrazu Lwowa jako jednej ze stolic kultury polskiej okresu 1880–1939. Ambicje organizatorów idą w kierunku wypełnienia „tekstu lwowskiego” – jako miejsca w kulturze polskiej dotąd nie do końca uobecnionego żywą treścią inicjatyw artystycznych i doświadczeń biograficznych, zwłaszcza tych, które nie mieszczą się w obrębie legendy heroicznej czy mitu patriotycznego. Pragniemy wrócić do zapomnianych zjawisk, nazwisk, fenomenów życia i sztuki nie w obrębie strategii nostalgii – lecz idąc tropem historii kultury.

Chcielibyśmy, aby wystąpienia uczestników konferencji skupiły się wokół Lwowa jako:

- prawdziwego centrum literatury i kultury Młodej Polski;
- odrębnego środowiska literackiego, wyrazistego na tle innych, o autonomicznych cechach i własnych strategiach kulturowych;
- miasta secesji i nowych poszukiwań artystycznych spod znaku europejskiej moderny i odrodzenia lokalności (czy regionalizmu) jednocześnie,
- ośrodka interesujących inicjatyw wydawniczych (takich jak np. działania „ossołińczyków”) i kulturalnych;
- środowiska teatralnego;
- przestrzeni spotkań z historią w obrębie modernistycznej strategii „równania kulturowego”;
- miejsca spotkań z nowoczesnością i jej doświadczeniami, także tymi, które wynikały z dialogu międzykulturowego, jego możliwości i niemożliwości charakterystycznych dla interesującego nas okresu;
- punktu obserwacyjnego przemian związanych z kategorią Europy środkowo-wschodniej i kształtowaniem się nowoczesnej europejskiej tożsamości.

Zgłoszenia (wraz z kilkuzdaniowym streszczeniem wystąpienia) prosimy nadsyłać do końca września 2008 na adres:
lwowski.tekst@gmail.com

O przyjęciu Państwa zgłoszenia poinformujemy do 15 października 2008 roku. Organizatorzy zastrzegają sobie prawo wyboru spośród nadesłanych propozycji referatów. W planach jest wydanie książki pokonferencyjnej.

Oplata konferencyjna (dla uczestników spoza ILP UW): 300 zł (w jej ramach zapewnimy dwa noclegi w hotelu oraz uroczystą kolację drugiego dnia obrad.

Ewa Paczoska

Sekretariat konferencji:

Ewelina Lesisz, tel. 505-995-419

Dawid Osiński, tel. 509-720-936

Afisz Lwowa, 1939. Projekt L. Tyrowicz i S. Mikulaj



Okupanci w naszych oczach

Dokończenie ze s. 8

nazwisko wodza naczelnego polskich sił zbrojnych i premiera nie jest rzadkie i zamieścił w gadzinowym lwowskim „Kurierze” ogłoszenie niewinnego niby rzemieślnika branży skórzanej, które przeszło niezauważone przez cenzurę (powierzoną zapewne gestii jakiegoś tępego volksdeutscha). Oto treść: *Garbarz Władysław Sikorski garbuje skóry iberalesów i innych dzikich zwierząt.* Temu, kto nie kojarzy tej dziwnej nazwy (jakiegoś futerkowego gatunku?) z ówczesnymi okupantami wyjaśniam, że dumny hymn zaczynający się od słów *Niemcy, Niemcy ponad wszystko* brzmi w oryginale *Deutschland, Deutschland ueber alles, a garbować skórę* znaczyło wtedy powszechnie: prac, bić, lać, tłuc, łoić. Ludek lwowski zrozumiał (zapewne dzięki tym, co umieli ten żart zauważyć i rozpowszechnić) i rechotał przez parę tygodni. W tym czasie zresztą iberalesy rzeczywiście brały już w skórę od aliantów. Te chwile uciechy przeplatały się z dniami depresji; skrajne przygnębienie ogarnęło wielu Polaków, kiedy dotarła do nas wiadomość, że właśnie Sikorski zginął niespodziewanie w katastrofie lotniczej koło Gibraltaru. Urwał się żart o iberalesach.

SS-MAN W LEŚNYM ODDZIALE AK

Mój bezpośredni dowódca w plutonie łączności Armii Krajowej (pseud: „Piekarski”) zabierał mnie jako eskortę do przewożenia sprzętu radiowego poza miasto. Notabene słuchanie alianckich audycji władze okupacyjne karały śmiercią. Nikt z nas się nawet nie dziwił temu prawnemu terroryzmowi; tak już Niemców postrzegaliśmy w owym czasie. Kiedy front wschodni zaczął zbliżać się do Lwowa, powtarzały się sowieckie bombardowania, wyczuwało się napięcie na ulicach i nastrój mobilizacji w strukturach konspiracyjnych.

Dla mnie szczególnym przeżyciem na tle narastających wydarzeń był pewien wyjazd do oddziału leśnego w okolicy Winniczek. Dowódcą tego oddziału był zbiegły z transportu jeńców oficer serbski, kapitan „Draża” – postać barwna, która zasługuje na osobny opis. Kiedy dotarliśmy do lasu, nasz kie-

rowca jak zawsze został w samochodzie, a nas z Piekarskim wartownik podprowadził do chałupy, do porucznika. Kiedy oni się naradzali, ja siedziałem przy oknie pod drzwiami i wyglądałem na leśną drogę, bez obowiązku ubezpieczania tamtych. W pewnej chwili pojawił się na ścieżce i skierował w stronę chałupy żołnierz niemiecki w mundurze SS. Miał przewieszony przez ramię pistolet maszynowy MPi (*Maschinenpistole*). Zbaraniałem, ale po chwili uznałem, że nie będę wszczynać alarmu. Przecież nie mógł przejść tak sobie w pobliżu wartownika, a poza tym nie wyglądało to tak, jakby chciał puścić serię z MPi. Pchnął drzwi, które mnie prawie zasłoniły, i od progu służbiście stuknął obcasami. Piekarski wyglądał na zaskoczonego, ale też się nie odezwał, nie mówiąc o sięganiu po broń. SS-man zameldował się, porucznik mówił z nim dość kiepską niemieczyzną (moja byłaby lepsza, ale nie śmiałem ofiarować się z pomocą – zagroziłbym hierarchii). Niemiec chyba zrozumiał rozkazy, odmeldował się i wyszedł z takim samym wojskowym fasonem, a porucznik z pewnym ożywieniem objaśnił sytuację nam obu. Ten SS-man zgłosił się do polskiej partyzantki (nie usłyszeliśmy, z jakich pobudek i za czym pośrednictwem) i okazał się niezwykle przydatny: prowadził ciężarówkę, miał odpowiednie papiery jeszcze na dwa miesiące, mało kto odważał się go zatrzymywać i sprawdzać. Potem nieraz o nim myślałem: nie znał polskiego, więc nie był Ślązakiem czy Poznaniakiem, nie miał nic do zyskania u nas, i był przecież autentycznym członkiem budzącej postrach hitlerowskiej formacji. Nie sądzę, aby udało mu się przeżyć w późniejszych miesiącach, w czasie dramatycznego wycofywania się oddziału Draży na zachód, po przejściu frontu.

NIEMCY SŁABNĄ; PRZEJŚCIE FRONTU

Był to lipiec 1944, gorący czas. Niemcy we Lwowie zostali już prawie odcięci, sowieckie oddziały zwiadu były na skraju miasta. Nie miałem zaświadczenia pracy, bo laboratorium prof. J. Tokarskiego, działające formalnie dla firmy Karpathen-Oel, przestało istnieć, a samego profesora Niemcy ewakuowali do Jasła. Mimo że zawczasu postarałem się o fałszywe zaświadczenie z komórki legalizacyjnej AK, unikałem wtedy

łażenia po mieście bez potrzeby i na jakiś czas zmieniłem adres. Teraz jednak wróciłem – kontrola policyjna na ulicach czy w domach stała się zagrożeniem mało realnym. Natomiast coś w rodzaju paniki wywołała pogłoska o skierowaniu przez dowództwo niemieckie do odparcia natarcia na Lwów dywizji SS sformowanej z ochotników ukraińskich – SS Hałyczyna. Nastąpiła tragedia. Niektórzy Polacy postanowili uciec z miasta i na jego obrzeżu, na zakręcie ulicy Zielonej, zmasakrował ich ogień artylerii niemieckiej z Wysokiego Zamku. Dla mnie szczególnie pamiętny był dzień, w którym zwiadowcy sowieccy dotarli (o czym początkowo nie wiedziałem) do ulicy Jabłonowskich, przebiegającej równoległe do naszej ulicy Zyblikiewicza (bardzo blisko, tuż za rzędem kamienic i podwórzy). Odgłosy strzelaniny odstraszały mnie od wyruszenia do punktu kontaktowego, ale ciągle wychodziłem na nasz w miarę bezpieczny balkon, aby się rozzejrzeć i coś postanowić.

Epizod na balkonie rozpoczął się w sytuacji, kiedy kolejny ogląd najbliższego otoczenia wykluczał wyjście z kamienicy. Na pobliskim placu Prusa, stanowiącym koniec ulicy Zyblikiewicza, pojawił się niemiecki patrol, o którego bliskości świadczyło to, że słyszałem fragmenty rozkazów dowodzącego podoficera. Najpierw: – *Hier machen wir einen Stuetzpunkt – tu zrobimy punkt oporu*. Żołnierze rozmieścili się szybko na skraju skweru, z bronią w pogotowiu (nie mieli MPI, tylko zwykłe karabiny piechoty). Dwóch jednak jakoś dziwnie zaczęło się oddalać w stronę przecznicy, biegnącej pod górę naprzeciw mojego balkonu. Wtedy wrzask: *Die laufen da wieder davon – ci tam znowu uciekają* (i zaraz wrócili do grupy – cha cha; to już chyba defetyzm). Chwilę później w głębi ulicy pojawił się pojedynczy żołnierz, który biegł w stronę tamtych i coś krzyczał. Mijając długi parterowy budynek z oknami wychodzącymi tuż na chodnik schylał się, aby (nadal biegiem) przemknąć się pod oknami. To mu się nie udało. W budynku byli już krasnoarmiejcy, którzy (niewidoczni dla mnie) przedostali się tam ze wspomnianej sąsiedniej ulicy Jabłonowskich, zapewne wcześniej przez nich opanowanej. Jakby na filmie, zobaczyłem tylko rękę z pistoletem mierzącym wprost w głowę tego Niemca. Usłyszałem jeden strzał, i żołnierz padł.

Kiedy patrzyłem na ten dramat, wychylony i odwrócony od placu Prusa, patrol dostrzegł mnie i otworzył ogień, ale wszystkie strzały mię ominęły; straciły tylko pionową kamienną ozdobę na rogu balustrady balkonu. Dałem nura z powrotem do pokoju przez uchylone drzwi (niedrażnięty, choć mi się należało za głupotę). W niedługi czas potem była powtórka i z głupoty, i szczęścia. Patrol się już wycofał, ale gdzieś na przeciwległej pochyłości ogrodu botanicznego siedział snajper. Jego kula przeleciała mi tylko koło ucha i wybiła kawał tynku w ścianie.

Prawdziwy dramat zdarzył się jednak po południu. Pierwszy po długiej ciszy pocisk wystrzelony przez Niemców z Wysokiego Zamku wybuchnął zawadzając o druty tramwajowe w pobliżu naszej kamienicy. W bramie stała naradzająca się grupka sąsiadek; jedna z nich została ciężko zraniona odłamkiem i w nocy zmarła. Armia Krajowa ujawniła się, aby zaznaczyć swoją odrębność i równocześnie współdziałanie z wojskiem sowieckim w walce z okrażonymi Niemcami. Założyliśmy biało-czerwone opaski z literami AK. W budynku na początku ulicy Kochanowskiego zainstalowała się jawnie komenda lwowska, przed bramą ustawiono dwa rkm-y. Zapamiętałem nastrój tej sytuacji, kiedy przywieźliśmy sprzęt do oddziału Draży (w lesie opodal wsi Winniczki) i ja czekałem blisko chałupy, z której właśnie wywołali kapitana, bo zgłosiło się do niego dwóch zwiadowców sowieckich. Usłyszałem: *my przisli swiazawsia s wami – przyszlismy nawiązać z wami łączność*. Chodziło o zacieśnienie okrążenia wokół sporego oddziału Wehrmachtu, który jeszcze bronił się w lesie. Draża zaprosił ich ruchem ręki i wspólnie pochylili się nad stołem, na którym była rozłożona mapa. Ale to współdziałanie nie trwało długo. Po poddaniu się reszty Niemców (w mieście przyglądaliśmy się z satysfakcją kolumnie wycieńczonych żołnierzy prowadzonych ulicą do sowieckiej niewoli) nastąpiło zbrodnicze aresztowanie oficerów AK zbranych w gmachu dowództwa, wśród nich kapitana Draży (który zresztą potem umknął). Nam, szeregowym, kazano zdjąć opaski i wrócić do konspiracji – tym razem przeciw Sowietom (ale chyba już bez planów akcji zbrojnych). We Lwowie głębokie poczucie zdrady pozostało już na zawsze.

SOWIECKA POLITECHNIKA

W jesieni 1944 r. znalazłem się na studiach – na politechnice, bo ta chroniła od poboru do wojska (uniwersytet nie chronił), na wydziale chemicznym. Potem okazało się, że przydzielono mnie na wydział naftowy, o niemal identycznym programie zajęć na pierwszym roku. Jedynie początek wyższej matematyki był przesunięty na później, ale i tak cała nasza grupa studencka, z wyjątkiem Rosjanek, uczęszczała na wykłady z tego zakresu znanego lwowskiego profesora. Wspomniałem Rosjanki, bo po otwarciu politechniki przywieziono z głębi ZSRR całą grupę dziewcząt o bardzo zaniedbanym wyglądzie, ubranych w byle co, owiniętych jakimiś szalami. Ulokowano je w tzw. *churtożytku* – domu akademickim z wyżywieniem, brudnym i prawie nieogrzewanym. Trochę nam było tych dziewczuch żal, także dlatego, że ich przygotowanie do wyższych studiów okazało się na żalonym poziomie; a wszystkie były *otlicznicami*, miały świadectwa ukończenia szkoły średniej ze złotą obwódką (*otliczno* – celująco). W dodatku zajęcia odbywały się przeważnie po polsku – trudność dla nich niebłaha. Na pisemnym kolokwium z chemii czepiały się naszej pomocy (przerzucanie się informacjami między stolikami nie było surowo ścigane). Dla przykładu, pytanie jednej z Rosjanek do mojego kolegi (w tłumaczeniu na polski): *co to są pierwiastki, czy otrzymuje się je przy pomocy syntezy chemicznej?* – generalnie, studia prowadzone były w trybie ulgowym. Cieszyłem się bardzo, ja i wielu innych, że niezależnie od trzyletniego opóźnienia mogliśmy zacząć wyższe wykształcenie.

Z rozbawieniem wspominam jeden przedmiot, prowadzony przez Rosjanina: nauki polityczne. Wykładowcą był dosyć sympatyczny rusek, który starał się nam czasem trochę urozmaicić święte prawdy ideologiczne. Abyśmy lepiej zapamiętali czterech największych zbrodniarzy wojennych (którzy jeszcze wtedy żyli i kierowali niemieckim państwem), podkreślał (jakby to był jakiś znaczący wybór losu), że każde z tych nazwisk *zaczyna*, się na *gie*: Gitler, Gimler, Gering, Gebels. Niestety, nie zdawał sobie

sprawy z tego, że to tylko w języku rosyjskim nie ma rozróżnienia pomiędzy G i H. Podśmichiwaliśmy się, ale nikt nie wyprowadzał go z błędu. Natomiast śmiertelnie poważną sprawą był podstawowy podręcznik tego przedmiotu, autorstwa Stalina: *Krótki kurs historii wszechzwiązkowej komunistycznej partii (bolszewików)*⁷. Jak się przekonałiśmy, wykładowca nie ośmielał się zmienić czy pominąć jakiegokolwiek zdania w tekście tej książki; pewnie znał ją na pamięć. Raz, przy sprawdzaniu wiadomości, trzeba było scharakteryzować frakcję komunistycznej partii carskiej Rosji, tzw. mienszewików. Jeden ze studentów głośno odpowiadał stojąc i wyliczał po kolei okropne wady tych konkurentów frakcji leninowskiej (że oportuniści, że nie kochali klasy robotniczej, że właściwie zdrajcy, itd). Te wiadomości podawał mu po kolei szeptem kolega, trzymając pod pulpitem otwartą na odpowiedniej stronie książkę (oczywiście tę w wersji polskiej, łatwo dostępną). Wykładowca słuchał, kiwał zyczliwie głową (udając, że nie widzi, skąd u tego studenta tyle wiedzy, no i że rozumie dobrze po polsku). Ale po każdym zdaniu dodawał: *da, szto jeszcze (tak, co jeszcze)?* Kiedy jednak merytoryczna treść ustępu o mienszewikach skończyła się, pytanie *szto jeszcze* znowu padło, i znowu. Pytany nie wiedział, co tu jeszcze dodać, powtarzał coś tam innymi słowami, ale nadal słyszał natarczywe: *co jeszcze?*. Wtedy kolega podszeptał mu ostatnie zdanie tego ustępu – i to było prawidłowe zakończenie odpowiedzi: *Tacy byli mienszewicy*. Padło radosne: *wot, haraszo!* – a więc dobrze, żadne zdanie genialnego tekstu Stalina nie zostało pominięte.

Powyższy tekst składa się z wybranych przez autora fragmentów większego opracowania pt. „Notki autobiograficzne”, napisanego w 2005 r. i obejmującego również jego wschodniomałopolski rodowód oraz koleje życia własne i rodziny.

FRANCISZEK NADACHOWSKI, ur. 1923 w Warszawie. Dr inżynier, em. profesor zw. AGH w Krakowie.

LISTY DO REDAKCJI



Pisze z Jeleniej Góry p. red. Krzysztof Bulzacki:

Jak zawsze z wielkim zainteresowaniem czytam „Cracovia–Leopolis”. W numerze 2/08 znalazłem sylwetkę prof. dr inż. Maksymiliana Tytusa Hubera, opracowaną na podstawie książki autorstwa Z. Olesiaka i Z. Engela [...] i jest tu wiele nieścisłości.

Miałem zaszczyt na Politechnice Gdańskiej w roku akademickim 1948–49 wpisać do indeksu: *Prof. dr inż. M.T. Huber – Stereomechanika*. Niestety egzamin zdałem już po wyjeździe prof. Hubera do Krakowa u prof. dr inż. J. Naleszkiewicza.

Zwrócenie uwagi na niemieckość nazwiska jest chybione. Wielu Polaków we Lwowie nosiło niemieckie nazwiska.

Prof. dr M.T. Huber zyskał sławę w 1904 r. jako twórca *hipotezy Hubera*. Jest to hipoteza wytrzymałościowa [...], która polega na obliczaniu odkształceń postaciowych części (elementów) maszyn, np. wałów pracujących na zginanie i skręcanie jednocześnie. Trzeba dodać, że hipoteza ta po pewnych modyfikacjach współczynników stosowana jest do dziś.

Prof. Huber w 1945 r. został profesorem na Politechnice Gdańskiej. Do Krakowa przeniósł się dopiero w 1949 r. [...].

Komisja Wydawnicza Bratniej Pomocy Studentów Politechniki Gdańskiej wydała w 1946 r. trzy tomy skryptów [...] Hubera: *Stereomechanika techniczna, Mechanika techniczna ciał stałych, dawniej „Wytrzymałość materiałów”*. Już w tym tytule wszystko jest powiedziane, co to jest stereomechanika techniczna i czym zajmował się prof. Huber.

Serdecznie dziękujemy za uzupełnienie naszej wiedzy o profesorze Huberze, jakkolwiek z ostatniego zdania niewiele rozumiemy. A co do niemieckiej brzmienia nazwiska, to zawsze warto (w nawiasie) podkreślić, że rodzina była polska, mimo niepolskiego nazwiska. Czytelnicy dobrze wiedzą, że właśnie podobne problemy są przez tych i owych tendencyjnie nadużywane. Sapienti sat – powtarzamy nie po raz pierwszy.

Pisze z Warszawy p. Krzysztof Szolginia:

W kwartalniku „Cracovia–Leopolis” nr 2/08 ukazało się wspomnienie Krzysztofa Bulzackiego *Ostatnie spotkanie z Tońkiem*. Są w nim dwie nieścisłości, które wymagają sprostowania:

1. Spotkanie nie mogło się odbyć na przedmieściu czerwca i lipca 1991 r., gdyż Tońko wtedy już nie żył – zmarł 5 X 1990 roku. Nawiasem mówiąc, rok śmierci Tońka jest błędnie podany (tym razem data o rok wcześniejsza: 1989 zamiast 1990) także w dwóch książkach Jerzego Janickiego (*Czkawka*, s. 165 i 167; *Krakidały*, s. 39) i dwóch Tadeusza Riedla (*Lwów w pamięci i fotografii*, s. 226 i *Chodząc po Lwowie*, s. 205). Kto ma te książki, niech zrobi w nich własną erratę, żeby tego błędu nie powielać!

2. Jerzy Janicki nie wziął sobie na pamiętkę wojskowego beretu Tońka, jak to napisał autor wspomnienia. Beret ten dostał mój Ojciec (Witold Szolginia) po śmierci Tońka od jego syna Anthony'ego. Potem, po utworzeniu w Warszawie Muzeum Niepodległości, Ojciec przekazał ów beret wraz z wieloma innymi pamiątkami z działalności „Lwowskiej Fali” do wydzielonej muzealnej kolekcji „Leopolis”. Można o tym przeczytać w Jego książce *Tamten Lwów* (tom 6, s. 135). Jako ciekawostkę podaję szczegółowy opis beretu zawarty w wykazie darowanych obiektów, sporządzonym 29 VII 1993 r. przez panią kustosz Helenę Wiórkiewicz (s. 60, poz. 244):

BERET WOJSKOWY Henryka Vogelfaengera „Tońka” z Wesotaj Lwowskiej Fali. Gwiazdka na berecie została przypięta przez gen. Stanisława Maczka (z naramiennika generała) po inwazji na kontynent. Sukno granatowe, czarna podszełka, srebrne nici orła, metalowa gwiazdka; średnica (zew.) beretu 27,5. Kilka podziurawień dokonanych przez mole.

PS. I jeszcze jedna uwaga do listu p. Teresy Kondolewicz-Wilk wydrukowanego w tym samym numerze „Cracovia–Leopolis”. Tońko miał jednak młodszą siostrę (różnica wieku była rzeczywiście duża) o imieniu takim samym jak jego pierwsza żona. Pani Leontyna Ostrowska mieszka w Warszawie, utrzymuje regularne kontakty z mieszkającym w Londynie synem Tońka; kilkanaście dni temu rozmawiała z moją Mamą.

Jesteśmy szczerze zobowiązani za te uwagi w obu sprawach. Nie jesteśmy

ZNICZ PODOLA

Ilustrowany Organ Sekcji Kół Krajoznawczych Młodzieży
Podolskiego Towarzystwa Turystyczno - Krajoznawczego
pod redakcją

WŁADYSŁAWA CICHOCKIEGO i JÓZEFA OPACKIEGO

Rok I.

Maj 1936. -

Nr. 5.

Treść 5-go Nru:

S. Stojalowska: Seret. — S. Smoła: Wycieczki a ochrona krajobrazu. —
J. Opacki: Zwyczaje i wierzenia ludowe na Podolu (c. d.)—J. Schwartz:
Czerwonogród. — J. Zwol: Schroniska wycieczkowe P. T. T. K. —
Siejba i plon.

STEFI STOJAŁOWSKA

S E R E T.

Gdy mnie zawołasz, nic mnie nie zatrzyma,
Pójdę, położę się na twojej fali...
Co się ku słońcu buntem wznosi, wzdyma,
I będę na niej jak łódź się kołysać.
Bić wciąż o brzegi twarde jak ze stali...
Oczyrna jasność z niebiosów wysysać!
Na zew twój przyjdę i jak łabędź biały
Przypadnąę pierśią do twojej srebrnej grzywy,
Którą burz szwały i wichry rozwiwały,
I jak skrzydłami nakryję cię całą,
Wstrzymam zazdrośnie fal twoich odpływy..
Lśniące jak lama, co mieni się, pała!
Gdy mnie Serecie wezwiesz, to przylecę,
Jak Posejdona rumaki ogniste..
Z fal twych stopami iskry skrzyszę, wznieceę,
Złoty gościniec za sobą zostawię,
A wzamian wezmę twej wody przeczystej...
I wszystkim rzekom nią pobłogosławię!

oczywiście w stanie sprawdzać wszystkich szczegółów podawanych przez Czytelników wspomnień, relacji. Okazuje się więc, że forma wymiany listów między Czytelnikami i redakcją ma wielki sens, bo prowadzi do prawdy.

Prosimy o dalsze uważne śledzenie zamieszczanych tekstów, ponieważ – wiemy to po sobie – pamięć ludzka bywa zawodna.

Napisał do nas z Kanady p. dr Jan S. Doliwa-Dobrucki, który nr 1/08 naszego kwartalnika otrzymał od druha Andrzeja Pawłowskiego w czasie jego podróży za Ocean na zaproszenie tamtejszego Polskiego „Sokoła”. P. Dobrucki udzielił nam odpowiedzi na dwa pytania, kierowane przez nas do Czytelników w tymże CL 1/08. Pierwszą odpowiedź – w sprawie poety lwowskiego Leszka Golińskiego – przedstawiamy w osobnym artykule w tym numerze. Druga dotyczy również autorki wierszy – Stefi (Stefanii) Stojałowskiej. Czytamy w liście:

... państwo Stojałowscy mieszkali na „mojej” ulicy Browarowej w Czortkowie, a młodszy brat Stefi „pchał” ze mną w gimnazjum przez wszystkie lata, aż do matury 1939 w tragicznym roku. Ano, świat jest tylko wielki w atlasie. Co się stało z pp. Stojałowskimi, gdy nas azjaci wyrzucali z naszych domów w 1944 roku, nie wiem. Ani Stasia, jej brata, ani uroczej Stefi już nigdy nie spotkałem. Dużo, dużo z nas się pogubiło i dziś tylko garstka żyje...

Załączamy również nadesłaną nam odbitkę strony z przedwojennego pismka „Znicz Podola” (maj 1936) z wierszem Stefi Stojałowskiej. Pan Dobrucki wyjaśnia inne nazwiska tam widoczne:

Władysław Cichocki był dyrektorem Gimnazjum i Liceum nr 606 im. J. Słowackiego w Czortkowie.

Józef Opacki był wychowawcą oraz instruktorem wf. w tejże szkole, harcmistrzem Podchorągwi (ZHP) Czortkowskiej, prezesem Podolskiego Towarzystwa Turystyczno-Krajoznawczego, działaczem patriotycznym, dowódcą AK. Aresztowany przez UB, sądzony we Wrocławiu – kara śmierci, zamieniona na długoletnie więzienie, zrehabilitowany, zmarł w Gliwicach.

I na koniec: W CL 1/08 na str. 70–71 zamieściliśmy długi i piękny, niezwykle pochlebny dla nas list Czytelnika, o którym napisaliśmy tylko: z Dolnego Śląska, nie mieliśmy bowiem Jego zgody na publikację. W końcu nadeszła, więc teraz Go przedstawiamy: Pan Kazimierz Bielecki, zamieszkały w Legnicy. Jeszcze raz dziękujemy za tak serdeczny list.

Na zakończenie miły list z Wrocławia od p. dra Tadeusza Kukiza:

Z okazji szczególnego jubileuszu – wydania 55 numeru pisma – pragnę serdecznie podziękować Redaktorowi Naczelnemu Panu Andrzejowi Chlipalskiemu i obecnym PT członkom Zespołu i Rady Redakcyjnej za kilkunastoletnią pracę nad treścią i kształtem Kwartalnika i gorąco pogratulować osiągnięć w tym niełatwym, wymagającym wielkiego wysiłku dziele.

Jestem głęboko przekonany, że roczniki „Cracovia–Leopolis” są i będą nieocenionym źródłem wiedzy o historii naszych ukochanych Kresów Wschodnich nie tylko dla pochodzących stamtąd i ich potomków, ale również dla historyków.

Proszę przyjąć najlepsze życzenia jeszcze wielu osiągnięć.

Bardzo serdecznie dziękujemy Panu Doktorowi za te słowa. Chcielibyśmy dalej służyć naszym Ziemiom Wschodnim i tym wszystkim Polakom po obu stronach kordonu, którzy rozumieją i doceniają wszystko to, co owe Ziemie dla Polski znaczyły, a czego dziś tak bardzo nam brakuje.

KOMUNIKAT

Zarząd Oddziału Krakowskiego TMLiKPW informuje, że w trakcie kwesty na rzecz ratowania zabytków Cmentarza Łyczakowskiego we Lwowie w dniach 31 października oraz 1 i 2 listopada 2008 zebrano na czterech cmentarzach krakowskich kwotę 44 319,48 zł.

W kweście oprócz członków Towarzystwa brała udział młodzież z dwóch szkół średnich Krakowa. Serdecznie za to dziękujemy.

*Wszystkim naszym Czytelnikom, Dobrodziejom, Autorom i Współpracownikom,
Rodakom na Wschodzie i Przyjaciołom –
z głębi serca płynące życzenia spokojnych i radosnych Świąt Bożego Narodzenia
oraz szczęśliwego Nowego Roku 2009 i następnych
składa REDAKCJA „CRACOVIÆ-LEOPOLIS”*

*Szczególne słowa kierujemy do przedstawicieli elit politycznych oraz mediów – życzymy
Wam mądrości i wyobraźni oraz uznania tego co najważniejsze: wyższości dobra naszego
Narodu i Państwa ponad doraźne interesy partyjne i osobiste. Warto pamiętać, że prędzej
czy później Polacy Was zapytają: co uczyniliście dla nas wszystkich, dla Kraju i dla Roda-
ków poza kordonami? Pamiętajcie, że Historii nie da się okłamać.*

Przedstawiamy dwie kolędy. Jedna z nich to poezja staropolska (XVI wiek), poety rodem z Sambora, druga – lwowska, pisana bałakiem.

Kolęda Lwowska

Na Lewandówce,
W cichej kołyscy
Dziecko maleńkie
Jak ptaszyna kwili.
Chodźci na palcach,
Patrzczi si wszyscy,
Lwowski Pan Jezus
Narodził si w tej chwili.

Matka bledziutka,
Matka szczęśliwa
Głaska dziecinę
I do serca tuli,
Głosem cieniutkim
Cicho mu śpiwa.
Luli, ta luli,
Ta lulaj mi, ta luli.

A On aż oczki
Mruży z rozkoszy.
Luli, ta lulaj mi,
Synku najdroższy.

* * *

Matka bledziutka
Nuci i płaczy,
Synku najdroższy,
Ja si myśleć boim,
Ile cierpienia,
Ile rozpaczy
Bedzi przed tobą
I przed miastem twoim.

Jak ciebie strzec
Na ziemi i w niebie?
Kto cię uchroni,

Kto cię uchowa
Przed tym nieszczęściem
Co porwie ciebie
Z ramion matczynych
I tego miasta Lwowa?

Troska okropna
Serce mi płoszy.
Luli, ach, lulaj mi,
Synku najdroższy.

* * *

Nad Lewandówką
W niebie się jarzy
Gwiazda ogromna
Jak miejska latarnia.
Widzą ją oczy
Lwowskich bacciarzy,
Po całym świecie
Nadzieja ich ogarnia.

Śnieg mokry pada,
W gięstej zamieci
Skrzydłami w mroku
Szumią jakieś echa
Zewsząd się złata
Tłum lwowskich dzieci,
Lwowski Pan Jezus
Do nich się uśmiecha.

Chodźci tu wszyscy,
Kłękajci wszyscy!
Taż On we Lwowie znów,
W swojej kołyscy!
Siwe oczęta
Mruży z rozkoszy.
Luli, ach, lulaj-żeż
Synku najdroższy.

*Autorstwo i czas powstania utworu
Redakcji nieznane*



KASPER TWARDOWSKI
(ok. 1592 – przed 1641)

Pochodził prawdopodobnie z mieszcząńskiej rodziny z Sambora. Młodość spędził w Krakowie, studiując zapewne w Akademii Krakowskiej. Wyróżniał się wybitnym wykształceniem literackim. W 1618 r. wstąpił do Kongregacji Wniebowzięcia NMP przy kościele jezuitów. W 1629 r. przeniósł się do Lwowa.

Autor kilku zbiorów lirycznych, z których najważniejsze to *Lekcje Kupidynowe*, wydane w Krakowie przed 1617 r. oraz poematy kolędowe: *Kolęda nowe lato, szczodry dzień abo piosneczki Emanuelowe* (Kraków 1619) i drukowana we Lwowie *Kolebka Jezusowa* (1630). 1618 r. w Krakowie ogłosił poemat *Łódź młodzi z nawałności do brzegu płynąca*, a w 1628 r. *Pochodnię miłości Bożej z piącią strzał ognistych*.

Kasper Twardowski

Kolebka Jezusowa

Na gościńcu Egipskim,
Przy Betlejem Dawidowym.
W bok przedmieścia, na ustroniu
Stoi szopa w szczerym błoniu.

Niczym z wierzchu nie pokryta,
Suchą trzciną wnątrz poszyta,
Od starości w ziemię węgła,
Tam przeczysta Panna zległa.

Kędy przedtem osieł z wołem
Odpoczywał pod okołem,
Na tym miejscu Matka z Bogiem
Rozgościła się z połogiem.

Żydóweczka Bogu miła
Hebrajczyka nam powiła.
Imię Jezus mu nadała,
Jako wieczna mądrość chciała.

Patrz człowiecze jako leży
Ubożuchny, bez odzieży,
Mając Ojca Boga w niebie,
A nie ma czym okryć siebie.

Ten, co ptaszkom barwę daje,
Na wiązce siana przestaje.
Cowszytek świat w palcach dzierzy,
Żebrze mleka u Macierzy.

Użalił się Józef stary,
Posłał podeń swój płaszcz szary.
Bydło, czując swego Pana,
Padło przed Nim na kolana.

A Matuchna z bawełnice,
Którą swoje śliczne lice
Jako zwyczaj zawiązała,
Pieluszek z nich nakrajała.

Na łonie Go swym powiła
I w jasteczkach położyła:
Ta, którego porodziła,
Sama naprzód pozdrowiła.

Wg *Antologia polskiej poezji baroku*,
oprac. J. Sokółowska, 1991

ŁUDZIE W „CRACOVIA-LEOPOLIS” ROCZNIK 2008

Barączowie, rodzina	3/08	Kozioł Stanisław	4/08
Bednarska Zofia	4/08	Krapiec Mieczysław, ks.	3/08
Bednarski Tadeusz Zbigniew	4/08	Legeżyńscy, rodzina	2/08
Bohm-Litwiniuk Barbara	2/08	Madej Agnieszka	1/08
Buczowski Leopold	3/06	Madurowicz-Urbańska Helena	3/08
Bujakowa Maria	4/01	Michalscy, rodzina	2/08
Chrzanowski Zbigniew	3/08	Michalski Michał	2/08
Chwalibogowska Alina	2/08	Mróz Alojzy	4/08
Czarnik Oskar Stanisław	3/08	Nadachowski Franciszek	4/08
Czarnikowie, rodzina	3/08	Obuch Jan, zob. Greb	1/08
Czernecky, rodzina	1/08	Popławski Włodzimierz	2/08
Dębicki Stanisław	4/08	Rogalski Marek	1/08
Donigiewicz Krzysztof	2/08	Romiński Wacław	3/08
Dunajewski Julian	3/08	Ross Juliusz	1/08
Goliński Leszek	1,2/08	Skarbińska Helena	2/08
Greb Henryk	1/08	Skarbiński Krzysztof	2/08
Huber Maksymilian	2/08	Skoczylas Anna	3/08
Jaworski Franciszek	4/08	Twardowski Kasper	4/08
Jaworski Marian, kard.	2/07	Tyzenhauzowie, rodzina	3/99
Karaś Marcin, o.	2/08	Webersfeld Edward	1/08
Kawalerowicz Jerzy	1/08	Węgierski Jerzy	1/08
Kierzyk William Bolesław	3/08	Wiecka Marta, s. bł.	2/08
Knaus Tadeusz	4/07	Wierzbicka Alicja	1/08
Konopka Teresa	1/08	Wolański Jerzy	2/08
Kotliński Tomasz	2/08	Żulińscy, rodzina	3/08

Czasopismo Oddziału Krakowskiego Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich

Redaguje zespół: Andrzej Chlipalski (redaktor naczelny), Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska
Rada Redakcyjna: Andrzej Chlipalski, Barbara Czałczyńska, Ireneusz Kasprzysiak, Barbara Kościak, Romana Machowska, Janusz M. Paluch, Krystyna Stafińska, Barbara Szumska, Maria Taszycka, Danuta Trylska-Siekańska, Marta Walczewska
Strona internetowa CL: www.cracovia-leopolis.pl
Adres redakcji: Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
31-111 Kraków, ul. Piłsudskiego 27, e-mail: info@cracovia-leopolis.pl
Informacje o kwartalnikach CL: Romana Machowska, tel. (12) 637 1321

Skład i łamanie: FALL, Kraków, tel. (12) 413 3500, 294 1528, e-mail: fall@fall.pl
Druk: Drukarnia Pijarów, 31-465 Kraków, ul. Dzińskiego 1, tel. (12) 413 76 51
Nakład 750 egz.

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania i adiustacji nadesłanych materiałów, a także wprowadzania śródtytułów. Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca.
Copyright by Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich, Oddział w Krakowie

dokończenie z II s. okładki

Inne wspomnienia – to listopadowa rocznica Obrony Lwowa, przywoływana co roku, ale w tym roku szczególnie, przypada bowiem okrągła rocznica: 1918–2008. A także rocznica Niepodległości – 11 Listopada 1918.

Rok następny – 2009, to 80-lecie wybuchu najstraszniejszej z wojen. Ta wojna zniszczyła bieg życia paru milionów Polaków, zburzyła budowaną od ponad tysiąca lat na Ziemiach Wschodnich naszą cywilizację, gospodarkę, kulturę, tradycje. Będzie – już jest – dużo materiałów na ten temat, więc zaczynamy ich druk w tym numerze. O sprawach typowo wojennych, o cierpieniach od okupantów, o stratach bliskich, dobytku, domów... A także o budowie nowego, trudnego życia w nowych, obcych miejscach.

Jest też rocznica z naszego TML-owskiego podwórka: 20-lecie Towarzystwa, obchodzone we Wrocławiu. W Krakowie będziemy świętować dopiero w przyszłym roku, bo nasz Oddział zawiązał się w lutym 1989 roku.

Zbliża się Boże Narodzenie – życzenia złożymy na końcu tego numeru, razem z kołędami.

Niniejszy numer CRACOVIA-LEOPOLIS został wydany przy pomocy finansowej Wydziału Kultury i Dziedzictwa Narodowego Urzędu Miasta Krakowa. Redakcja składa serdeczne podziękowanie w imieniu Czytelników, Autorów i własnym.

PISARZE I POECI POLSCY XX WIEKU O WSCHODNIOMAŁOPOLSKIM RODOWODZIE LUB DZIAŁALNOŚCI

1. **STANISŁAW WASYLEWSKI** (1885–1953), ur. w Stanisławowie. Literat, publicysta, historyk. W czasie okupacji niemieckiej 1941–45 prowadził w „Gazecie Lwowskiej” dział historyczny, promujący polskość ziem wschodniomałopolskich. Był za to po wojnie posądzony o kolaborację i prześladowany niesłusznie, ponieważ działalność ta była uzgodniona z polskim podziemiem. Główne dzieła: „Na dworze króla Stasia”, „U księżnej pani”, „Romans prababki”, „Bardzo przyjemne miasto”, wspomnienia „Czterdzieści lat powodzenia”. Rys. S.I. Witkiewicza.

2. **KAZIMIERZ WIERZYŃSKI** (1894–1969), ur. w Drohobyczu. Poeta, eseista; współtwórca grupy literackiej „Skamander”. Od II wojny na emigracji. Wydał tomiki wierszy, m.in.: „Wolność tragiczna”, „Czarny polonez”, „Tkanka ziemi”.

3. **BRUNO SCHULZ** (1892–1942), ur. w Drohobyczu. Pisarz, grafik, nauczyciel rysunku. W książkach „Sklepy cynamonowe” i „Sanatorium pod klepsydrą” opisywał atmosferę miasteczka wschodniomałopolskiego i upadanie tradycyjnego społeczeństwa. Zamordowany przez gestapowca. Autoportret.

4. **MARIAN HEMAR** (1901–1972), ur. we Lwowie. Poeta, komediopisarz, satyryk, autor tekstów popularnych piosenek. Od 1942 w Londynie, prowadził swój niezapomniany kabaret w Ognisku Polskim, pisząc teksty i współpracując z elitą polskich artystów na emigracji.

5. **STANISŁAW LEM** (1921–2006), ur. we Lwowie, z zawodu lekarz. Pisarz, myśliciel, najwybitniejszy twórca polskiej literatury science-fiction. Główne dzieła: „Obłok Magellana”, „Solaris”, a także wspomnienia „Wysoki Zamek”.

6. **ZBIGNIEW HERBERT** (1924–1998), ur. we Lwowie. Wybitny poeta, eseista, dramatopisarz, twórca intelektualnej poezji. Najważniejsze dzieła: „Pan Cogito”, „Raport z obłąkanego miasta”, „Barbarzyńca w ogrodzie”. Był najbardziej godnym kandydatem polskim do literackiej nagrody Nobla.

Słowo od redakcji TEN ROK		Słownik geograficzno- -historyczny DERNÓW ♦ HORODNICA (kopycz.) ♦ HORODNICA (skał.) ♦ HORODNICA (horoden.) ♦ NIZBORG NOWY ♦ SAPIEŻANKA ♦ ŻURÓW	51
Cytaty MIASTO JAK BRYLANT (4)	1	Andrzej Chlipalski JESZCZE O PILOTKACH	56
Władysław Orobkiewicz ZNACZENIE OBRONY LWOWA	3	Archiwum DZIEWIĘDZIESIĄT LAT TEMU	56
Naszym zdaniem NIE PAMIĘTACIE?	5	Z tamtej strony W PRZEMYSŁANACH	57
Radosław Nawrocki NAPRZÓD	5	Polacy z Polakami DO ZAPAMIĘTANIA	58
Historia Franciszek Nadachowski OKUPANCI W NASZYCH OCZACH (1)	6	W Krakowie i dalej WSPÓLNOTA POLSKĄ – NOWY PREZES WYSTAWA O LUDOBÓJSTWIE NOTATKI	58 59 59
Henryk Kleinrok SYN ZIEMI TARNOPOLSKIEJ...	9	Kultura ♦ Nauka CRACOVIA SACRA	60
Eugeniusz Zychowicz NOC JESZCZE	11	TROCHĘ LWOWA NA PŁAZÓWCE KRONIKA	61 61
Rozmowy Janusz M. Paluch ROZMOWA Z LUCYNĄ KULIŃSKĄ	13	Książki ♦ Czasopisma NOWE KSIĄŻKI WERTUJĄC WYDAWNICTWA	62 66
Poezja Maryla Wojska POZNANIE	26	Naszym zdaniem OBRAZ ZAWSZE LWOWSKI	68
Jerzy Masior WCIAŻ WRZESIEŃ	27	Maksymilian Jamnicki PLAC NA PEŁTWI	69
Proza Franciszek Jaworski NA WYSOKIM ZAMKU	27	Naszym zdaniem OBCY ŚWIAT	70
Wspomnienia Leszek Sawicki KORZENIE, DRZEWO, ŻŁOTE LIŚCIE (2)	31	MODERNISTYCZNY LWÓW	71
Helena Żołnierżowa GROBY PRZODKÓW	36	Listy	75
Jadwiga Cieczkiewicz MAMA FILIPPI	37	Kolędy KOLĘDA LWOWSKA	78
Tadeusz Krzyżewski MIŁOŚNICTWO LWOWA...	38	Samuel Twardowski KOLEBKA JEZUSOWA	79
Zofia i Tadeusz Z. Bednarscy MALARZ STANISŁAW DĘBICKI...	47	Ludzie Cracovia-Leopolis	80
Sylwetki O. Marcin Karaś HISTORIA PROFESORA MOZERA LWOWIANIE	51 53		